

PROF. KRZYSZTOF
KORZENIOWSKI
POLITYKA I SPISKIJAKUB DYMEK
ŻEROWANIE NA WOJNIEPROF. MONIKA KUSIAK,
CZYLI POLKA NA ANTARKTYDZIE**POLACY I ŻYDZI****BURZLIWA
HISTORIA**

Obchody 75. rocznicy powstania w getcie warszawskim

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311300

GNAGRODA I MEDAL IM. ZYGMUNTA GLOGERA

OGŁASZAMY
XXXIV EDYCJĘ

Szczegóły:

www.stopkapress.com.pl



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.



NARODOWE
CENTRUM
KULTURY



Podlaskie



URZĄD MIEJSKI
W ŁOMŻY



Marzec razy dwa

W okolicach 8 marca mamy zawsze dwa ważne wydarzenia. Pierwsze – to Dzień Kobiet, modny w czasach PRL, potem obśmiewany. Niestudnie, bo jeśli wziąć pod uwagę to, jak władza pisowska traktuje prawa kobiet i same kobiety, 8 marca staje się dniem coraz ważniejszym. To już nie jest dzień tulipana, tylko dzień pamięci. Izabeli z Pszczyny. Kobiet, które podczas demonstracji były bite pałkami teleskopowymi i atakowane gazem łzawiącym. Kobiet, których akta zabierała z gabinetów ginekologicznych policja. Kobiet, którym zasłaniający się klauzulą sumienia lekarze odmawiali pomocy, choćby tak prostej jak wydanie skierowania na badania prenatalne.

PiS, ramię w ramię z Kościołem, wpełchnęło polskie kobiety w czasy sprzed 100 lat. Woła przy tym, że pora na uspokojenie nastrojów, na uznanie historycznego kompromisu itd. Może tak wołać, bo zabrało kobietom już prawie wszystko. I dlatego dzień tulipana staje się znów Dniem Kobiet.

Drugie wydarzenie to rocznica Marca '68. Tamten dzień poprzedzony był manifestacjami studenckimi w obronie „Dziadów”. Potem był wiec na uniwersytecie, rozprawa z niepokornymi studentami, antysemicka nagonka... Wtedy polityczną inicjację przechodzili studenci liderzy, których później widzieliśmy w szeregach demokratycznej opozycji. Pół życia za to oddali. Czy było warto?

Karol Modzelewski miał wątpliwości. Jemu III RP średnio się podobała. Adam Michnik, którego pytałem, po co tak głowę

nadstawiał, przecież wtedy szans na zwycięstwo nie miał, odpowiadał, że ważny był przykład, że to miało wpływ na innych, że zmieniało postawy. I cytował Miłosza: „Lawina bieg od tego zmienia, po jakich toczy się kamieniach”.

Miał rację. Ale gdy patrzy się na to, jak obecna władza z nim i jego przyjaciółmi postępuje, aż prosi się, by odpowiedzieć Mickiewiczem:

Ręce za lud walczące, sam lud poobcina.

Imion miłych ludowi – lud pozapomina...

Wszystko przejdzie! Po huku, po szumie, po trudzie

Wezmą dziedzictwo ciś, ciemni, mali ludzie.

I tak się stało. Choć może nie tacy oni ciś, ta władza lubi się bawić, ma swój gust i swój bał w operze, na którym po męczących ariach na scenę wjeżdża bufet. Co już było u Tuwima:

Rozdzierane kaczkę wrzeszczą,

Tłuszczeni ciekłą, w zębach trzeszczą,

A najgorzej przy kawiorze:

Tam – na zabój, tam – na noże

Ulubiony bard śpiewa zaś dla nich to, co lubią – „Majteczki w kropeczki”.

Jak bał, to bał! Maestro, wal!

Grubasku, teraz solo!

O, IDEOL! O, IDEAL!

Takie małe, małe, słodkie IDEOLO!

BAKOWSKI



SZUKAMY ZDJĘĆ

Drodzy Czytelnicy, szukamy zdjęć, które były w Muzeum Historii Polskiego Ruchu Rewolucyjnego i innych tego typu placówkach, dokumentujących życie robotników i inteligencji w XX w. Może ktoś wie, co z nimi się stało?

Chcemy je pokazywać w naszych publikacjach, m.in. w przygotowanej do druku książce Piotra Ciszewskiego „Robotnicza Warszawa 1918-1939”.

Jeżeli macie w swoich archiwach zdjęcia przodków, pokazujące ich życie, miejsca pracy czy rozrywkę, prosimy o przekazanie ich wraz z opisem. Mogą być także skany zdjęć.

W sprawach szczegółowych prosimy o kontakt z sekretariatem redakcji:
e-mail: sekretariat@tygodnikprzeglad.pl
lub tel.: 22 635 84 10

W NUMERZE

GLOBALNY PUNKT WIDZENIA

8 Łup wojenny

Biznes na kryzysach

KRAJ

12 Kto rządzi lodziarnią?

Długa historia rozdawnictwa unijnej kasy

14 Nasza polska paranoja

– rozmowa

z prof. Krzysztofem Korzeniowskim

21 Konfrontacja adwokata

z „trumną na kółkach”

Mecenas Paweł K. przed sądem

22 Państwowa produkcja lekarzy

Eksperyment z nowymi

kierunkami medycznymi

24 Energylandia

Napoje energetyzujące a dzieci

OPINIE

18 Lech M. Nijakowski

Polacy i Żydzi – burzliwa historia

ZAGRANICA

28 Historia nie jest pustą wylizką dat i nazwisk

– rozmowa z prof. Piotrem Szlantą

32 Peru – rewolucja chaosu

Permanentny kryzys i zamieszki

36 As w rękawie

Tajne akcje CIA

KULTURA

40 Fenomen Wojciecha Kilara

W filharmoniach i na ekranach

43 Culturalia

66 Malarstwo Andrzeja Umiastowskiego

OBSERWACJE

44 Korepetycje z życia

Warsztaty dla młodych po raku

46 W drodze na Marsa

Polka na Antarktydzie

50 Ostrawa – miasto wizualizacji

Korespondencja z Czech

54 Gwiazdy, celebryci i top modelki

I Versace stworzył supermodelkę

EKOLOGIA

58 Przedwiośnie

Pierwiosnek przylatuje pierwszy

FELIETONY I KOMENTARZE

3 Robert Walenciak

Marzec razy dwa

27 Andrzej Szahaj

Schizofrenia Zachodu

31 Roman Kurkiewicz

Mieszkanie prawem,

a nie, pozornie tańszym, towarem

35 Tomasz Jastrun

Koniec świata z cytatami

53 Wojciech Kuczek

Il maestro finito

57 Agnieszka Wolny-Hamkało

Kiedy zjedzą nas telefony



22

KRAJ

PAŃSTWOWA PRODUKCJA LEKARZY

Eksperyment z nowymi kierunkami medycznymi



32

ZAGRANICA

PERU – REWOLUCJA CHAOSU

Permanentny kryzys i zamieszki



46

OBSERWACJE

W DRODZE NA MARSZA

Polka na Antarktydzie

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

75. ROCZNICA POWSTANIA W GETCIE WARSZAWSKIM.

NZ. PREZYDENT ANDRZEJ DUDA I NACZELNY RABIN POLSKI MICHAEL SCHUDRICH.

WARSZAWA, 19 KWIETNIA 2018 R.

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM



Polska dwóch prędkości

Problem wykluczenia komunikacyjnego zaczął się kilka lat po przemianach ustrojowych. Znam go z Polski B, gdzie pracowałam na jednej z małych uczelni państwowych. Pracownicy dojeżdżali z Warszawy i Lublina, studenci z pobliskich miejscowości. Po kolei znikwały połączenia kolejowe i autobusowe, studenci spóźniali się rano i prosili o zwolnienie z zajęć wieczornych, bo odjeżdżały im ostatnie autobusy. To samo stało się w małej wsi na Polesiu – początkowo jeździły jeszcze trzy autobusy dziennie do miast powiatowych i wojewódzkich. Od kilkunastu lat

ta wieś nie ma żadnego połączenia komunikacją zbiorową, za to rolnicy mają stare samochody. Żaden rząd ani samorządy nie interweniowały. Nie wiem, czy to dotyczy tylko Polski B, może inne samorządy są bardziej operatywne – no i bogatsze.

Ewa Wesółowska

Mieszkam w Pucku. W moim wypadku problemem jest dostęp do kultury, a dokładnie do teatru. W sobotę ostatni pociąg z Gdyni do Pucka odjeżdża o 22.05! Spektakl kończy się o 22.00. Sobota to dzień, w którym wiele osób chętnie skorzystałoby z rozrywek wielkiego miasta, ale do kosztów tej rozrywki trzeba doliczyć powrót taksówką. Taka jest rzeczywistość, która powstała po transformacji, i nic się nie zmienia. *Barbara Uhl*

„Zabierzmy im jeszcze samochody”, podpowiadają ruchy miejskie i reszta fanatyków. Zapraszam na Warmię i Mazury i proszę

do woli korzystać z tutejszej komunikacji zbiorowej. A i w Warszawie wybieram transport publiczny, kiedy mi to pasuje, bo w wielu przypadkach wygodniejszy jest samochód. Na przykład gdy mam do załatwienia sprawę w Śródmieściu i na Grochowie, a wieczorem wyjazd do Kielc. Zgodnie z logiką fanatyków mam zostawić samochód na P&R na Bielanach, zasuwać metrem i tramwajem w obie strony, a potem jechać do Kielc, gdy po całym dniu jeżdżenia z ciężkim bagażem już nie mam siły. Wybieram samochód, ale wtedy obrywam „pieprzonym blachosmrodem” i „zabójcą pieszych”. Moim zdaniem fanatyzm oderwanej od prawdziwego życia lewicy karmi fanatyzm prawicy i zwykłych głupków. Im bardziej radykalnie zachowuje się lewica, tym więcej paliwa ma drugie ekstremum.

Jan Kołkowski

Najazd na Parczew

Czy ktoś może mi wytłumaczyć, co ma wspólnego walka o „wyzwolenie” kraju z paleniem wiosek, zabijaniem kobiet i dzieci, zbiorowymi gwałtami, łamaniem nóg i rąk politycznie niestępnym czy zwykłymi rabunkami i rozbojami? Bo wojna domowa w latach 1944-1956 miała taki charakter, że do szczęśliwców należeli ci pojmani przez bojówki „wyzwoleńcze”, którzy zginęli od jednej kuli lub jednego ciosu toporem. Czas wojny domowej to chaos, bezprawie i bezkarne działania zwykłych bandytów i morderców. Bohaterów takich czasów trudno szukać tylko po jednej stronie barykady, a zwykłym fałszerstwem jest wybielanie historii i usprawiedliwianie bandytyzmu.

Michał Czarnowski



ZDJĘCIE TYGODNIA



8 marca męska część populacji rusza po kwiaty. Pierwszy Dzień Kobiet, ustanowiony przez Socjalistyczną Partię Ameryki w 1909 r., upamiętniał strajk z 8 marca 1908 r. 15 tys. pracowników przemysłu tekstylnego w Nowym Jorku. W wyniku pożaru podczas protestu zginęło 129 kobiet.

Prof. Henryk Skarżyński, dyrektor Światowego Centrum Słuchu Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu oraz m.in. przewodniczący Rady Głównej Instytutów Badawczych, po raz trzeci w historii plebiscytu „Puls Medycyny” został uznany **za osobę najbardziej wpływową w polskiej medycynie**.

Prof. Ewa Marciniak, politolożka wykładająca na Wydziale Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych UW, została w konkursie wybrana na nową **dyrektorkę CBOS**.

25 lutego w ramach obchodów „Wieczna pamięć/Wieczna Pamięć” w Hajnówce upamiętniono 79 osób zamordowanych w 1946 r. przez oddział pod dowództwem Romualda Rajsa „Burego”. Ofiary, w tym dzieci, to prawosławni mieszkańcy wsi Zanie, Zaleszany, Końcowizna, Szpaki i Wólka Wygonowska. Tegorocznych uroczystości nie zakłócały prawicowe bojówki.

Ponad **92 mld zł** wydali Polacy w 2022 r. **na zakupy w internecie**.

Formacja Republikanie to zaledwie kilku ostatnich polityków wędrujących od partii do partii. Liderami są Adam Bielan, Jacek Żalek, Marcin Ociepa i Kamil Bortniczuk. Mała, za to najcenniejsza prawicowa kanapa. Jej politycy kontrolują m.in. Narodowe Centrum Badań i Rozwoju z wielomiliardowym budżetem. O przekrętach w NCBiR od lat pisze na naszych łamach Marek Czarkowski. Wreszcie dołączyły inne media.

Jest wyrok w sprawie wypadku kolumny

państwowej w Oświęcimiu sześć lat temu. Pasażerka była ówczesna premier Beata Szydło. Sąd umorzył warunkowo sprawę Sebastiana Kościelnika, kierowcy fiata seicento, który nieumyślnie wjechał w kolumnę. Nie uwzględniono fałszywych zeznań funkcjonariuszy BOR, którzy nie włączyli sygnałów dźwiękowych. Prokuratorzy, którzy chcieli to zbadać, zostali odsunięci od śledztwa. Sprawa nie jest uczciwie wyjaśniona.

Marcin Oleksy, polski amfubolista, który w 2010 r. stracił nogę w wypadku drogowym, odebrał na gali FIFA w Paryżu nagrodę w kategorii bramka roku. Gola zdobył w meczu Warty Poznań, której jest zawodnikiem, ze Stalą Rzeszów.

Sąd Apelacyjny w Warszawie prawomocnie uchylił decyzję UOKiK blokującą przejęcie firmy Eurozet, właściciela m.in. Radia ZET, przez Agorę.

By promować swoje działania, rząd wykupuje reklamy na Facebooku. W ciągu trzech miesięcy ubiegłego roku kancelaria premiera Morawieckiego na 69 reklam wydała ponad 584 tys. zł.

Michałow, miasteczko w woj. podlaskim, zostało wyróżnione **Nagrodą im. Prezydenta Pawła Adamowicza** za pomoc, jakiej jego mieszkańcy udzielają uchodźcom na granicy polsko-białoruskiej.

Mieszkańcy 43 powiatów w Polsce nie mają dostępu do kolei. Kolej nie dociera także do Jastrzębia-Zdroju (90 tys. mieszkańców), Piekara Śląskich (55 tys.) i Łomży (60 tys.).

PRZEBŁYSKI

Sakiewicz – największy polski patriota

Media opozycyjne ledwo zipią. Dojna zmiana robi, co może, żeby je finansowo zaościć. Jak najszybciej, bo wybory tuż-tuż. Setki milionów złotych wydane na prawicowe media dają mizerne efekty. Czytelników mało, za to pensje zarządów wysokie. Na dodatek trzy ichnie tygodniki żrą się między sobą tak jak partyjki na prawicy. Celuje w tych wojenkach właściciel „Gazety Polskiej” i 12 innych redakcji. Tomasz Sakiewicz ma ogromne ambicje polityczne. Widzi się wśród następców Kaczyńskiego. Bo, jak mówi, zorganizował „najbardziej patriotyczne środowisko w Polsce i wśród Polaków zamieszkujących na różnych kontynentach”.

Na prawicy nie ma większego megalomana. Kto oprócz Sakiewicza mógłby powiedzieć: „Historia przyznała nam rację”, „Mamy właściwą odpowiedź na wyzwania naszych czasów”. Wodza już mają. Tylko co zrobić z Jarosławem K.?



Specjalista od świętych

Nowym biskupem gliwickim został ks. Sławomir Oder. Po studiach w Rzymie przez kilkanaście lat pracował w tamtejszym wikariacie. Trampolina do awansu Odera pojawiła się, gdy został postulatorem w procesie beatyfikacyjnym i kanonizacyjnym Jana Pawła II. Ks. Oder okazał się w tym dziele człowiekiem sprawnym i szybkim. Mało tego. Z rozpędu zajął się rodzicami polskiego papieża, Karolem i Emilią Wojtyłami. Od 2020 r. prowadzi ich proces beatyfikacyjny. Na ołtarze ma trafić również Edmund, brat polskiego papieża. Takie zasługi Odera musiały zostać docenione. W ingresie biskupa gliwickiego mają uczestniczyć m.in. odchodzący nuncjusz papieski Salvatore Pennacchio i kard. Dziwisz. Oraz inni eksperci od nadużyć w Kościele.

Bojowy czołgista

Kurteczka wojskowa. Oczywiście amerykańska. Z wieloma naszywkami. Na bogato. Prawie tyle naszywek, ile medali dźwigają generałowie Kim Dzong Un. Mina bojowa. Tak prezentuje się światu dziarski pisowiec przed emeryturą. Andrzej Rafał Potocki. Zasłużony. Bo przecież dojna zmiana nie wpuściłaby byle kogo do polskiego leoparda. Taki on polski, że go Niemcy zrobili z Amerykanami i przekazali Polakom, by trafił na Ukrainę.

Potocki jedzie więc w leopardzie i „czuje się jak bóg terenu”. Relacja Potockiego z przejazdu czołgiem po poligonie zachwyciłaby każdego handlarza bronią. Wszystko jest w nim ekstra. Według Potockiego ten czołg zmieni losy tej wojny. Ano zobaczymy. Na razie poprawił los Potockiego, bo wierszówki w „Sieci” są szczodre. Może wystarczy autorowi na jeszcze jedną kurtkę.



Ślub z sakralną muzyką

Wielebni idą z duchem czasu. Porządkują kolejne obszary kontaktów z wiernymi. Od ks. Kazimierza Cichonia wiemy, co należy podawać do jedzenia w czasie kołedy. Natomiast bp Krzysztof Włodarczyk z Bydgoszy wysłał list do podległych mu parafii. Zajął się muzyką i utworami wykonywanymi podczas ślubów. Biskup ma taką propozycję: „Repertuar musi być zgodny z wymaganiami stawianymi muzyce sakralnej, a nie schlebiać gustom, które nieustannie podlegają zmianom”. By nie błądzić, warto posłuchać proboszcza. Hierarcha zaleca: „Młodych, którzy przygotowują się do zawarcia sakramentalnego związku małżeńskiego, proszę, abyście wraz ze swymi duszpasterzami dali się poprowadzić duchowi Kościoła i (...) nie próbowali wprowadzić elementów obcych liturgii”. A jak się nie dogadacie, zostaje ślub cywilny.



PYTANIE TYGODNIA | Dlaczego PiS robi wszystko, żeby utrudnić głosowanie za granicą?

WALDEMAR WITKOWSKI, *przewodniczący Unii Pracy*

Powód jest prosty. Ostatnie wybory pokazały, że elektorat za granicą odwraca się od PiS. Co innego, że dobre zwyczaje mówią, by ordynację wyborczą zmieniać najpóźniej rok przed wyborami. Patrząc zaś bardzo przyszłościowo, należałoby się zastanowić, czy osoby, które nie płacą podatku w Polsce i nie przebywają w niej więcej niż pół roku, powinny mieć prawo wybierania polskich parlamentarzystów. Można zrozumieć, że cała Polonia jest uprawniona do wybierania prezydenta, ale wybory parlamentarne są mimo wszystko bardziej lokalne – mamy przecież okręgi wyborcze na terenie Polski. A jest ich wiele, bo 100 do Senatu i 41 do Sejmu. Pamiętajmy, że parlament decyduje m.in. o wydatkach budżetowych, o podziale podatków i niekoniennie obywatele z całego świata powinni mieć na to wpływ.

PROF. LECH SZCZEGÓŁA, *socjolog, Uniwersytet Zielonogórski*

Z tego samego powodu, z którego zamierza ułatwić głosowanie wyborcom na polskiej wsi. To dwa końce tego samego kija, na którym wyryte są dzisiaj słowa „każdy głos na wagę złota”. Obóz rządzący doskonale wie, że wynik będzie oscylował wokół remisu. Nastroje polskich emigrantów, wolnych od przekazu rządowo-telewizyjnej propagandy, od 2020 r. wyraźnie ewoluują w stronę dla PiS niekorzystną. Z zachodniej perspektywy coraz lepiej widać pustkę obietnic sanacji państwa i osuwanie się Polski w kulturowo archaiczny tradycjonalizm.

DR WOJCIECH PESZYŃSKI,

politolog, Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu

PiS za wszelką cenę chce się utrzymać przy władzy. W świetle retoryki Jarosława Kaczyńskiego i jego ludzi zaczynamy wchodzić w standardy, które obowiązują w Ameryce Południowej, gdzie albo przegranego stawia się przed sądem, albo podstawia się mu samolot i każe bezpowrotnie wyjechać na daleką wyspę. Zresztą opozycja nie daje nikomu z obozu władzy nadziei, że może być inaczej. Weźmy sytuację z Jarosławem Gowinem, którego bardzo szybko wykluczono z opozycji. To dla wielu szeregowych parlamentarzystów PiS wyraźny sygnał, że trzeba kurczowo się trzymać władzy. Widać, że już są pewne manipulacje wokół wyborów, m.in. projekt zwiększania liczby lokali wyborczych. Trzeba zadać sobie pytanie, czemu tak naprawdę ma służyć komisyjne oglądanie każdej karty wyborczej. To kalka mechanizmu, który wystąpił w USA w 2020 r. Teoretycznie może być tak, że z małych komisji głosy spłyną szybko. Na tej podstawie PiS będzie miało kolosalną przewagę. Gdy zaczną spływać głosy z większych miast, wynik przeważą w drugą stronę. W razie zwycięstwa opozycji PiS wyjdzie i powie, że sfałszowano wybory. Jeśli atmosfera zostanie odpowiednio podgrzana, może być jak ze zwolennikami Trumpa i ich szturmem na Kapitol.

Not. Kornel Wawrzyniak

Łup wojenny

Jak banki, korporacje energetyczne i sektor zbrojeniowy zarabiają na współczesnych kryzysach

Jakub Dymek

W grudniu 2022 r. grono waszyngtońskich VIP-ów otrzymało niecodzienne zaproszenie. Ambasada Ukrainy urządziła przyjęcie z okazji 31. rocznicy powołania Ukraińskich Sił Zbrojnych. Pod wielkimi, betonowymi łukami podtrzymującymi kopułę Pavilion Room w budynku im. Ronalda Reagana mieli się spotkać wojskowi, politycy, dyplomaci, byli i aktualni urzędnicy amerykańskiej administracji. Oraz oczywiście biznes. Jednak nie samo przyjęcie było wyjątkowe, lecz właśnie zaproszenie na ów okolicznościowy koktajl.

Pod nazwiskami ambasador Ukrainy i attaché wojskowego, poniżej obowiązkowych informacji w rodzaju adresu, sugerowanego stroju i godziny, widniała jeszcze jedna pozycja. Niemal tak duże jak narodowe symbole Ukrainy, kolorowe logotypy

Bankiet naprawdę się odbył, gościł na nim najwyższy rangą amerykański wojskowy, gen. Mark Milley, a zdjęcie zaproszenia ujawnił w portalu Vox Jonathan Guyer. Rozmówca z ukraińskiej ambasady potwierdził dziennikarzowi, że na zaproszeniu umieszczono logotypy liderów amerykańskiej zbrojowni, a po resztę odpowiedzi odesłał do Ministerstwa Obrony. Sprawy niemal nikt nie chciał komentować pod nazwiskiem, ale cytowani anonimowo goście bankietu zgodzili się, że tak jawna współpraca biznesowa i reklama ambasady jednego państwa z przedstawicielami prywatnego sektora zbrojeniowego to nawet jak na Waszyngton nowa jakość. Jeszcze niedawno upieralibyśmy się, że wykorzystywanie inwazji na własny kraj do reklamy koncernów zbrojeniowych to scena z powieści Williama Gibsona albo lewacka karykatura. A tu – proszę.

Pod nazwiskami ambasador Ukrainy i attaché wojskowego widniały duże logotypy amerykańskich korporacji zbrojeniowych. Przekaz był jasny: na wojnie jest biznes do zrobienia.

amerykańskich korporacji zbrojeniowych: Northrop Grumman, Raytheon Technologies, Lockheed Martin i Pratt & Whitney. Zaproszenie mogło zasiać wątpliwość, kto jest gospodarzem bankietu i w czym imieniu zaprasza. Przekaz był jednak jasny: na wojnie jest jeszcze biznes do zrobienia. „Współpraca” globalnych potentatów zbrojeniowych z Ukrainą będzie tylko się zacieśniać.

Ten obrazek nie powstał na zamówienie rosyjskiej propagandy.

To tylko jedna, nawet jeśli bardzo wymowna, anegdota, która pokazuje większy problem. Przez lata przekonano nas, że w zglobalizowanym i połączonym świecie na wojnach, protekcyjnie, sankcjach i niestabilności tracą wszyscy. Dziś wiemy, że jest inaczej. Wojny – rozumiane szeroko: konflikty zbrojne, wojny handlowe i szantaże energetyczne – mają ewidentnych zwycięzców. To, co dla jednych jest kryzysem, dla drugich jest czasem wielkiej hossy.



Obecny kryzys energetyczny, inflacyjny i humanitarny jest czymś jeszcze. Wielkim transferem pieniędzy z kieszeni zwykłych obywateli do i tak już jednych z najpotężniejszych firm na świecie i kilku najpotężniejszych gospodarek.

Wielkie pompowanie wartości

Cofnijmy się do pierwszych tygodni 2023 r., gdy do wiadomości publicznej podawane były wyniki finansowe spółek notowanych na światowych giełdach. Wszyscy oczywiście spodziewają się imponujących liczb, ale i tak są zaskoczenia. Sześć największych firm na rynku paliw kopalnych: Chevron, ExxonMobil, BP, Shell, TotalEnergies i Equinor, zarobiło dzięki wojnie w Ukrainie i wielkim wahaniom cen łącznie prawie 220 mld dol. To rekord – i ponad dwa razy więcej niż rok wcześniej. Największe zachodnie firmy z sektora energetycznego zarobiły więcej, niż wynosi suma pomocy militarnej, humanitarnej i finansowej dla Ukrainy przekazanej przez Stany Zjednoczone, Unię



Joe Biden w należącym do koncernu Lockheed Martin zakładzie w Alabamie, w którym produkowane są przeciwpancerne granatniki Javelin dostarczane do Ukrainy.

obywateli nietrudno zrozumieć, dlaczego podobne ruchy budzą kontrowersje, a sam prezydent Joe Biden oskarżył wielkie korporacje o „żerowanie na wojnie” (*war profiteering*). Propozycje takie jak w Norwegii, gdzie parlament rozważa, czy olbrzymie przychody ze sprzedaży gazu przekazać w części na pomoc finansową i humanitarną w postaci granatów dla Ukrainy, nie znalazły jeszcze naśladowców w Kanadzie, USA czy Wielkiej Brytanii.

Nawet jednak Norwegia, o co oskarżały rząd w Oslo organizacje pacyfistyczne czy humanitarne, w rzeczywistości chce na cele humanitarne oddać ułamek – 7 mld euro do 2027 r. – szacunkowych setek miliardów wpływów do budżetu ze sprzedaży gazu przez kolejne lata. „To niemoralne, że firmy z sektora ropy i gazu notują dzięki temu kryzysowi energetycznemu rekordowe zyski kosztem najuboższych obywateli, społeczności i klimatu. Domagam się od rządów na całym świecie opodatkowania tych nadmiarowych zysków i przeznaczenia środków na pomoc najbardziej dotkniętym kryzysem”, mówił sekretarz generalny ONZ António Guterres. W rzeczywistości stało się odwrotnie, to raczej obywatele dopłacili firmom.

768 mld euro – więcej niż PKB Polski w 2021 r. Tyle według brukselskiego instytutu badawczego Bruegel państwa Europy zapisały ▶

Europejską i Wielką Brytanię razem wzięte. Ale nawet nie same zyski są w tym najciekawsze.

Dwaj amerykańscy giganci, Exxon-Mobil i Chevron, zarobili razem w 2022 r. ponad 90 mld dol. Przy czym sam Chevron przeznaczy 75 mld na tzw. *stock buybacks*, skup własnych akcji z rynku. Buybacki są budzącą coraz większe kontrowersje formą podbijania wartości firmy, wynagradzania akcjonariuszy oraz prezesów i menedżerów, których pensje i bonusy są uzależnione od wyników finansowych i wyceny spółki. Chodzi o to, że gdy firmy mają nadmiar gotówki, to zamiast ją zainwestować w rozwój, wypłacić pracownikom premie czy po prostu przechować na trudne czasy, kupują własne akcje, co podbija ich cenę i wartość spółki. To oczywiście dodatkowa – oprócz corocznej dywidendy – forma wynagradzania inwestorów.

Krytycy tej praktyki podkreślają, że zamiast wspierać badania i rozwój wartościowych technologii czy zwyczajnie wynagradzać cierpliwych posiadaczy akcji i długoterminowych inwestorów, firmy wybierają

drogę na skróty i transferują zyski do własnej kadry zarządzającej, funduszy inwestycyjnych oraz wszystkich spekulantów po drodze. W przypadku spółek energetycznych odbywa się to kosztem inwestycji w zielone źródła energii czy nowe moce wytwórcze (albo po prostu obniżek cen detalicznych i hurtowych dla odbiorców). Bloomberg policzył, że rekordowe zyski nie idą w parze z proporcjonalnym zwiększeniem inwestycji w zieloną i odnawialną energię. Można już powiedzieć – na podstawie liczb podawanych przez Agencję Reutera, Bloomberg, „Financial Times” czy branżową agencję Refinitiv – że kwoty, które trafiają do akcjonariuszy zachodnich firm energetycznych, są większe niż wartość uzbrojenia przekazanego ukraińskiej armii w ciągu całego 2022 r. przez liczącą kilkadziesiąt państw koalicję sojuszników Kijowa.

Niemoralne zyski

W kontekście wojny w Ukrainie, ryzyka globalnej recesji i spadającej siły nabywczej płacy zwykłych



► w budżetach na łagodzenie skutków kryzysu energetycznego. Każdy kraj UE (oraz Norwegia i Wielka Brytania) wprowadził jakąś formę finansowej publicznie pomocy – obniżki podatków, regulowane taryfy, pomoc dla biznesu, świadczenia dla rodzin czy dopłaty do rachunków dla konsumentów indywidualnych i hurtowych. Międzynarodowa Agencja Energetyczna podaje nieco inne, ale również przytłaczające ogromem kwoty. Według niej suma dopłat do wydobycia i konsumpcji paliw kopalnych oraz elektryczności w 2022 r. to ponad bilion (tysiąc miliardów) dolarów, a kwoty subsydiów przeznaczonych na obniżenie rachunków dla konsumentów wyniosą ponad 500 mld dol. w gospodarkach rozwiniętych, z tego 350 mld w samej UE. Rozbieżności między tymi dwoma źródłami mogą wydawać się duże,

amerykańskich koncernów energetycznych odejście Europy od rosyjskich surowców to nie tylko humanitarny i moralny wybór – to świetna wiadomość dla akcjonariuszy i zapowiedź wielkich zysków, przynajmniej krótko- i średniookresowo.

Dlatego z polskich polityków wyłącznie Radosław Sikorski, znany z niekontrolowanych przypiętów szczerości, głośno mówi to, co po cichu przyznają wszyscy: wysadzenie rurociągów Nord Stream leżało w interesie nie Rosji, ale Polski, Ukrainy i amerykańskiego sektora energetycznego. Amerykański skroplony gaz pomaga Europie zerwać z rosyjskim surowcem, ale pozwala też eksporterom energii korzystać na jej desperackich zakupach i nabijać kabzę dzięki przewadze konkurencyjnej. Agencja Reutersa policzyła pod koniec minionego roku, że import

„Banki centralne podnoszą stopy procentowe, by walczyć z inflacją. Robią to m.in. przez podnoszenie oprocentowania rezerw bankowych. Przez to dokonują transferu własnych zysków do banków (subsypiają banki), zamiast przekazywać te zyski rządowi narodowemu”, tłumaczył w styczniu ekonomista Paul De Grauwe z London School of Economics na stronach Centre for Economic Policy Research. I podawał konkretną liczbę: odsetki od rezerw trzymanych w banku centralnym dadzą bankom komercyjnym minimum 92 mld euro w 2023 r. A – dodawał De Grauwe – najprawdopodobniej więcej, bo czekają nas kolejne podwyżki stóp Europejskiego Banku Centralnego, a więc i odsetki wzrosną. Ekonomista dowodził, że jest to wymuszona niegdyś na innych przez niemiecki Bundesbank decyzja polityczna, dla której nie ma żadnego ekonomicznego uzasadnienia. Powinniśmy te rezerwy bankowe traktować tak, jak banki traktują nasze rachunki bieżące – za które nie otrzymujemy żadnych odsetek.

Ale banki zarabiają także na podnoszeniu stóp w bardziej trywialny i zrozumiały dla każdego z nas sposób. Raty wielu udzielanych w Polsce kredytów są uzależnione od stóp procentowych ustalanych przez NBP – a więc to od nich zależy, jak wysoką marżę odsetkową zgarnie bank. Wyższe stopy przekładają się na wyższe raty i odsetki banków. To aż tak proste. „W okresie styczeń-grudzień 2022 r. przychody odsetkowe przyniosły bankom ok. 118,6 mld zł, a koszty odsetkowe sięgnęły ok. 43,2 mld zł – podaje NBP. W efekcie wynik odsetkowy wyniósł ok. 75,5 mld zł, czyli o 62% więcej niż rok wcześniej. Ten rekordowo wysoki zarobek na odsetkach jest efektem dynamicznych podwyżek stóp procentowych w minionym roku”, relacjonowała „Rzeczpospolita”. Zysk netto banków w Polsce – 13 mld zł – nie pobił rekordów, ale to ze względu na zaksięgowanie w tym roku „strat” wynikających z wakacji kredytowych i tworzenie rezerw na wypadek niekorzystnych dla banków rozstrzygnięć w sprawie kredytów frankowych. Wszystkie inne

Sześć największych firm na rynku paliw kopalnych zarobiło dzięki wojnie w Ukrainie i wielkim wahaniom cen łącznie prawie 220 mld dol. Ponad dwa razy więcej niż rok wcześniej.

ale jedno nie wyklucza drugiego – po prostu Bruegel podaje w wyliczeniu również środki, które rządy państw UE zaplanowały i zapisały w swoich budżetach, nawet jeśli nie zostały one jeszcze rozdysponowane.

Tak wygląda transfer pieniędzy z budżetu państw do koncernów energetycznych. Kraje Europy będą się zapożyczały albo zwiększały deficyt lub cięły wydatki w innych dziedzinach, aby płacić za droższą energię, finansować zapomogi dla rodzin, dopłacać do kupna węgla bądź energii dla przemysłu. Oczywiście nie całe kwoty programów pomocowych i różnych „tarcz antyinflacyjnych” trafiają bezpośrednio do koncernów – ale część z całą pewnością tak. Co więcej, w związku z tym, że Europa przechodzi z gazu rosyjskiego na norweski, katarski czy amerykański, budżety państw kontynentu – w tym uboższych, takich jak Słowacja, Bułgaria, Polska lub Grecja – finansują transfer do jednych z najbogatszych krajów na świecie i energetycznych potentatów. Z punktu widzenia

amerykańskiego LNG wzrósł rok do roku o 137%. Według amerykańskiej Energy Information Administration eksporterzy skroplonego gazu z USA odnotowali do września 2022 r. przychody w wysokości 35 mld dol. We wrześniu 2022 r. Europa przekroczyła energetyczny Rubikon (czy może raczej Potomak) – bo po raz pierwszy w historii importowała więcej energii z USA niż z Rosji.

Biedni bogatym

Gaz i energia to niejedyne sposoby, w jaki obywatele pomagają transferować zyski z dołu na górę drabiny. Nie możemy zapominać, że w realiach globalnej inflacji pojawia się presja, by banki centralne podnosiły stopy procentowe. Droższy kredyt powinien – zgodnie z konwencjonalną ekonomiczną receptą – schłodzić gospodarkę i powstrzymać nadmiarowe wydatki, docelowo zbliżając inflację z powrotem w okolice 2-3%. Nie odbywa się to jednak bez efektów ubocznych.

okoliczności działały na korzyść sektora bankowego, zarówno w Polsce, jak i globalnie.

Według McKinsey's Global Banking Annual Review wchodzimy w nową erę. Rentowność banków odbiła się na poziom niewidziany od 14 lat – czyli od kryzysu 2008 r. – i według prognoz sięgnie 11,5-12,5%. Raport szacuje, że przychody sektora globalnie wzrosną o prawie 350 mld dol. Dlaczego? „Wzrost napędzają ostre podwyżki marży wynikające z podnoszenia stóp procentowych, (...) a wyższe marże odpowiadają za 60% wzrostu przychodów”.

Wyższe stopy procentowe otwierają jeszcze jeden kanał transferu od biedniejszych krajów do bogatszych. Większość gospodarek rozwijających się ma zaciągnięty dług w obcych walutach – przede wszystkim w dolarach. Podnoszenie stóp procentowych przez amerykańską Rezerwę Federalną oznacza większe koszty obsługi zadłużenia zagranicznego dla najbiedniejszych krajów świata, których budżety mogą nie wytrzymać presji – na horyzoncie pojawia się nawet groźba niewypłacalności i bankructwa.

Grosza rzuci dilerowi

Ten obraz byłby jednak niekompletny bez sektora, od którego zaczęliśmy – zbrojeniówki. Większość obserwatorów śledzących doniesienia na temat pomocy zbrojeniowej udzielanej przez USA Ukrainie ma mylny obraz tego, na czym ona polega. Odbiorcy mediów – szczególnie w Polsce – mogą bowiem sądzić, że Stany Zjednoczone, przekazując broń Ukrainie, dają pewnego rodzaju jałmużnę czy dotację charytatywną. W rzeczywistości jest inaczej, przekazywanie broni nie przypomina wrzucenia pięciotótówki do

puszki Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.

USA przekazują Ukrainie broń na podstawie dwóch programów, będących formą pakietu stymulacyjnego dla amerykańskiej produkcji zbrojeniowej. Jeden przewiduje bowiem nowe kontrakty na sprzęt – np. wyrzutnie Javelin albo czołgi M1 Abrams – które będą realizowane z myślą o dostawach dla Ukraińskich Sił Zbrojnych. Drugi zaś pozwala zlecić wydanie sprzętu z amerykańskich magazynów, po czym przekazać Pentagonowi równowartość na odkupienie czy odnowienie tych zapasów. Dzięki takiemu zorganizowaniu pomocy USA nie tylko mogą się

pochwalić dużo większymi kwotami wsparcia niż jakikolwiek inny kraj – bo każda suma może być w pewnym sensie księgowana podwójnie – ale także realnie wspomagają własny sektor zbrojeniowy, zachęcając go do zwiększania mocy produkcyjnych i wyposażając armię w nowy sprzęt (na miejsce tego, który przekazano z magazynów).

Jak policzył np. Stephen Semler z think tanku SPRI, dzięki temu nawet 20 mld z 28,5 mld dol. przeznaczonych na pomoc militarną dla Ukrainy trafiło do sektora zbrojeniowego w USA. Pieniądze te szły z budżetu zatwierdzonego przez Kongres.

Jaki w tym jednak interes – może ktoś zapytać. Otóż taki, że pieniądze budżetowe wydawane przez USA na zwiększoną produkcję zbrojeniową i tak zwrócą się w postaci większych zamówień. Według właśnie opublikowanych przez Departament Stanu statystyk za ubiegły rok USA w roku 2022 sprzedały broń za 205 mld dol. To wzrost rok do roku o ponad 60 mld. A kwota ta nie obejmuje zamówień i nowych kontraktów, tylko samą sprzedaż – zamówienia, jak możemy ocenić po wynikach np. brytyjskiego BAE (37 mld funtów nowych zamówień w 2022 r. i 59 mld funtów zaległych), będą z całą pewnością wyższe.

Te liczby najlepiej chyba tłumaczyć, co logotypy amerykańskich firm zbrojeniowych robiły na zaproszeniu na przyjęcie u pani ambasador Ukrainy. Obecny kryzys humanitarny, energetyczny i inflacyjny jest dla niektórych szokująco korzystny. Ale to, co my uważamy być może za aberrację albo krzykzącą niesprawiedliwość, w branży pojawia się coraz częściej pod innym hasłem. Tak wygląda nowa normalność.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

**POLITYCZNY TESTAMENT
PROF. ANDRZEJA WALICKIEGO**

Trzy tomy najważniejszych pism
wybitnego intelektualisty

I TOM 75

**PAKIEC
190 zł 228 zł**

II TOM 76 zł

III TOM 77 zł

**kurier
GRATIS!**

Zamów książki na sklep.tygodnikprzeglad.pl
lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7

Kto rządzi lodziarnią?

Narodowe Centrum Badań i Rozwoju zawsze było łupem polityków. W ostatnich latach walczyli o nie ludzie Gowina, Bielana i Czarnka



Marek Czarkowski

W lipcu 2020 r. Mazowiecki Wydział Zamiejscowy Departamentu ds. Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej w Warszawie skierował do sądu akt oskarżenia wobec Krzysztofa K., dyrektora Narodowego Centrum Badań i Rozwoju w latach 2011-2016, oraz czterech innych osób. Prokuratura Krajowa ujawniła, że śledztwo dotyczyło m.in. przyjmowania korzyści majątkowych przez osoby pełniące funkcje publiczne w NCBiR. Postępowanie prowadziło Centralne Biuro Antykorupcyjne.

Główny zarzut, jaki postawiono byłemu dyrektorowi Centrum to przyjęcie łapówki (nieoficjalnie padła kwota 500 tys. zł) w zamian za przyznawanie określonym spółkom wsparcia finansowego ze środków publicznych oraz ujawnienie osobie nieuprawnionej poufnej umowy zawartej przez NCBiR z jedną ze spółek. Trudno w to uwierzyć, Krzysztof K. to twórca polskiej nanotechnologii, naukowiec o europejskiej sławie.

Przykład ten ilustruje ryzyko, jakie wiąże się z zajmowaniem miejsc we władzach zarówno tej instytucji, jak i innych zajmujących się dzieleniem unijnych środków.

Każdemu swoje

Po przeszło 30 latach budowania demokracji w Polsce nikt nie ma złudzeń – wiadomo, że wygrawszy wybory, zwycięska formacja nie tylko obsadza sejmowe i senackie fotele czy gabinety rządowe, ale też wciska swoich ludzi na tak „chlebne” posady jak zarządy PKN Orlen, PZU czy PKO BP.

Narodowe Centrum Badań i Rozwoju to jeden z politycznych łupów, który dostaje się zwycięzcom. W czasach koalicji Platformy Obywatelskiej i Polskiego Stronnictwa Ludowego powołane w 2007 r. NCBiR przypadło platformersom. Od 2 lipca 2007 r. do 31 grudnia 2010 r. jego dyrektorem był gen. bryg. prof. dr hab. inż. Bogusław Smólski, były rektor Wojskowej Akademii Technicznej. Świetny naukowiec, niezbyt skłonny do podejmowania ryzyka. A tak nie da się działać w sektorze innowacji. Jego następcę, prof. dr. hab. Krzysztofa

akceleratora gier wideo ARP Games oraz prezes zarządu jednej z największych konferencji gospodarczych w Polsce – Kongresu 590.

Dr Kopoczek został powołany na stanowisko dyrektora NCBiR 20 lipca 2022 r. Utrzymał się na stolcu zaledwie 19 dni – do 9 sierpnia. Okazał się ofiarą rozgrywek wewnątrz obozu Zjednoczonej Prawicy. Gdy w sierpniu 2021 r. Jarosław Gowin ostatecznie został wyeksmitowany z gabinetu ministra rozwoju, pracy i technologii, minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek uznał, że Narodowe

Politycy od 20 lat wspierają rozdawnictwo unijnych środków, wymagając od beneficjentów nie efektów, ale prawidłowo wypełnionych sprawozdań i rozliczeń.

Jana Kurzydłowskiego, kojarzono z PO, choć w rządzie Kazimierza Marcinkiewicza, w latach 2005-2006, był wiceministrem edukacji i nauki. Stanowisko dyrektora NCBiR piastował w latach 2010-2016.

Po przegranych przez Platformę wyborach prof. Kurzydłowskiego zastąpił prof. dr hab. inż. Maciej Choroński. Ceniony naukowiec, którego awans łączono z postacią ówczesnego ministra nauki i szkolnictwa wyższego Jarosława Gowina. Bo tym razem w ramach podziału łupów to liderowi Porozumienia przypadło Narodowe Centrum Badań i Rozwoju.

Po trzech latach prof. Chorońskiego zastąpił dr inż. Wojciech Kamiński, który odszedł z NCBiR w lutym 2022 r. Jako p.o. dyrektor centrum zastąpił go dr Remigiusz Kopoczek, specjalista z dziedziny projektowania gier komputerowych i przestrzeni wirtualnej, prezes zarządu pierwszego

Centrum Badań i Rozwoju to jego włości i teraz on będzie rozdawał w nim posady. A więc i pieniądze. I odniósł pewien sukces, wspierając dr. Kopoczka.

„Zbielanina”, jak nazywa się w sejmowych kuluarach garstkę republikanów europoła Adama Bielana, wściekła się i odbiła NCBiR z rąk Czarnka. Nadzór nad centrum formalnie przeszedł w ręce ministra Grzegorza Pudy, kierującego resortem funduszy i polityki regionalnej. Faktycznie zaś karty miał rozdawać wiceminister Jacek Zalek, jeden z wiceprezesów partii Bielana. Pozbył się on Kopoczka, a na jego miejsce mianował p.o. dyrektora dr. Pawła Kucha. Smaczku sprawie dodawał fakt, że większość polityków tworzących dziś „zbielaninę” to byli członkowie Porozumienia Jarosława Gowina, którzy w 2021 r. wykołegowali krakowskiego Hamleta.



Minister Przemysław Czarnek i wiceminister Jacek Żalek to główni rozgrywający dziś w sprawie Narodowego Centrum Badań i Rozwoju.

Tymczasem, korzystając z zamieszania związanego z rewelacjami mediów oraz postów Jońskiego i Szczerby, do odbijania NCBiR ruszył minister Czarnek. Kojarzony z nim dr hab. Jakub Pawlikowski wygrał ostatnio konkurs na dyrektora centrum, lecz funkcji nie objął. Najwyraźniej wiceminister Żalek blokuje nominata ministra edukacji. Czas pokaże, kto w tym starciu zwycięży.

Nie tylko NCBiR

A jest po co się schylić. Narodowe Centrum Badań i Rozwoju to nie wszystko. W skład Grupy NCBiR wchodzi dzisiaj fundusz

inwestycyjny – NCBR Investment Fund ASI SA – dysponujący rocznym budżetem w wysokości ponad 100 mln zł oraz trzy spółki: NCBR+ sp. z o.o., IDEAS NCBR sp. z o.o. i Akces NCBR sp. z o.o.

Czy ma to znaczenie dla funkcjonowania instytucji, którą media oraz postowie Joński i Szczerba odmalowują w czarnych barwach? Moim zdaniem niewielkie.

Myśl, że można w prosty sposób ustawić konkurs, przyznać bardzo wysoki grant zaprzyjaźnionej spółce, a następnie wyprowadzić z niej środki na rachunki polityków, ich rodzin i znajomych, jest nęcąca. Ale czy to możliwe? Nie sądzę.

Narodowe Centrum Badań i Rozwoju finansuje projekty techniczne, na styku nauki i przemysłu. Tu liczą się konkrety, które można łatwo sprawdzić. Co innego w przypadku tzw. projektów miękkich, czyli dotacji, które są przeznaczone na szkolenia bezrobotnych albo podnoszenie kwalifikacji. Jaki potencjał za tym się kryje, pokazał poseł Łukasz Mejza. Jego spółka Future Wolves otrzymała na organizację szkoleń ze środków unijnych ponad 600 tys. zł. Odpowiedzi na pytania, co się stało z tymi pieniędzmi i czy szkolenia się odbyły, szukają dziś prokuratorzy.

W wypadku projektów technicznych organy kontrolne bardzo uważnie patrzą beneficjentom na ręce. Zwłaszcza jeśli sprawa została opisana w mediach. Wydaje się, że w przeszłości było łatwiej. Za rządów koalicji PO-PSL niewyczerpaną kopalnią przykładów patologicznego rozdawnictwa pieniędzy okazało się Działanie 8.1., czyli „Wspieranie działalności gospodarczej w dziedzinie gospodarki elektronicznej” w ramach Programu Operacyjnego Innowacyjna Gospodarka realizowanego w latach 2007-2013. W ten sposób dosłownie rozpylono ok. 1 mld zł na tak przełomowe projekty jak „E-PortalŚlubny.pl – największa polska baza WeddingResources” (675 tys. zł) czy „Stworzenie internetowego serwisu automatycznej rezerwacji usług związanych ze ślubami i weselami” (709 tys. zł). Spółka E-uropę stworzyła platformę internetową, która miała dostarczać użytkownikom prognozy życia ich zwierząt domowych (dotacja 467 tys. zł). Był też „Innowacyjny portal społecznościowo-informacyjny poświęcony modzie”, który miał powstać dzięki dotacji ponad 780 tys. zł. Środki unijne nie mniejsze niż 435 tys. zł miały wspomóc „Stworzenie turystycznego serwisu internetowego skierowanego do mniejszości seksualnych”. Przełomowym osiągnięciem mogło się okazać „Wytworzenie narzędzia www.cyklometr.pl wspierającego proces naturalnego planowania rodziny” realizowane dzięki dotacji w kwocie ponad 462 tys. zł. W dawnych czasach nazywano to ▶

► kalendarzykiem matżeńskim albo watykańską ruletką, a kosztowało gorzej.

Miliard złotych wydano na strony internetowe. Były ich tysiące. Środki unijne rozdawała na lewo i prawo Polska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości. Nie miało to nic wspólnego ani z kołesnictwem, ani z korupcją. Za to wiele z niezwykłym parciem, by unijne pieniądze wydawać jak najszybciej. Urzędników rozliczało się wówczas i nadal rozlicza z „alokacji środków”, a nie z tego, czy ich działania mają sens i przynoszą pożytek społeczeństwu.

Przypomina to praktykę rządu Morawieckiego, którego ministrowie pielgrzymują po Polsce i rozdają samorządowcom czekiki, ochotniczym strażom pożarnym sikawki i wozy bojowe, a kołom gospodyń wiejskich drobne datki na bieżącą działalność.

Dzisiejszych poszukiwaczy układow i korupcji z pewnością NIE zainteresuje informacja, że spółka Laboratorium Badań Napędów Lotniczych Polonia Aero z siedzibą w Zieloncu, należąca do włoskiej spółki GE AVIO S.R.L. oraz Wojskowych Zakładów Lotniczych nr 2 SA, otrzymała dotację z Unii Europejskiej w wysokości ponad 160 mln zł. Rzecz w tym, że swego czasu radzie nadzorczą Polonia Aero przewodniczył Paweł Poncyliusz, niegdyś wiceminister w resorcie gospodarki, a obecnie poseł PO. Ten sam polityk zasiadał też w radzie nadzorczą gliwickiej spółki Flytronic, która na dwa projekty otrzymała łącznie ze środków unijnych dotację w wysokości ponad 15,2 mln zł.

Czy inni polscy politycy zasiadali w zarządach i organach nadzorczych spółek, które otrzymywały pieniądze unijne? Oczywiście. Czy można ustalić ich nazwiska? Jak najbardziej, choć wymaga to czasu.

Od roku 2004 do dziś otrzymaliśmy z Brukseli w formie dotacji niemal 708 mld zł. Z czego wsparcie dostało 298 tys. projektów. Tej gigantycznej masy umów nie da się kontrolować. Niewiele również mogą zrobić media, gdyż rządzący, bez względu na to, czy są z PO, czy z PiS, uczynią wszystko, by maksymalnie utrudnić dostęp do

informacji na temat konkursów, a następnie realizacji projektów korzystających z unijnego wsparcia. I to się nie zmieni w przyszłości mimo uwag Brukseli, że w perspektywie finansowej 2021-2027 komunikacja na temat funduszy europejskich jest tak samo ważna jak ich wdrażanie, sprawozdawczość czy kształtowanie polityki spójności.

W ogniu Europy

Ostatnio Ośrodek Przetwarzania Informacji (OPI) na zlecenie Ministerstwa Edukacji i Nauki przygotował raport „Nauka w Polsce 2022”. Wynika z niego, że nasz kraj zajmuje piąte miejsce w UE pod względem liczby badaczy – mamy ich 124,6 tys., a w ramach polskiego systemu nauki funkcjonuje 608 instytucji naukowych. Jednocześnie według europejskiej tablicy wyników innowacyjności 2022 (European Innovation Scoreboard 2022) Polska w gronie państw unijnych zajmuje czwarte miejsce od końca, wyprzedzając Rumunię, Bułgarię i Łotwę.

Innymi słowy, od 2007 r. unijne środki przeznaczane na badania i rozwój, a tym m.in. zajmuje się Narodowe Centrum Badań i Rozwoju, są marnowane. Nie znam innego wytłumaczenia tych faktów. Tak jak nie znam ani jednej wypowiedzi prezesa Polskiej Akademii Nauk – obecnie jest nim prof. Marek Konarzewski – która odnióstaby się do marazmu, w jakim ugrzęzła polska nauka. Choć być może owo milczenie jest bardziej wymowne niż krzyk.

Zamieszanie wokół konkursu „Szybka ścieżka” niczego nie zmieni. Wyzwaniem nie są polityczni nominaci z partii Adama Bielana, którzy znaleźli schronienie w NCBiR, tak jak nie byli nimi nominaci Platformy, którzy pocili się w tej instytucji do roku 2016. Wyzwaniem jest system, w którym rządzący naszym krajem od 20 lat z pełną świadomością wspierają rozdawnictwo unijnych środków, wymagając od beneficjentów nie jakichkolwiek efektów, lecz jedynie prawidłowo wypełnionych sprawozdań i rozliczeń.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Rozmawia Robert Walenciak

Czy paranoicy ciągną do polityki?

– Wyjaśnijmy: czym innym jest paranoja, a czym innym myślenie paranoiczne lub myślenie spiskowe. To są różne rzeczy. To, czym ja się zajmuję, to paranoiczne myślenie o polityce, dopatrywanie się w spisach podstawowego mechanizmu politycznego.

Czy możemy powiedzieć, że myślenie paranoiczne to taki lekki stan paranoi?

– Nie! Lekki stan paranoi, powiedzmy, to byłaby osobowość paranoiczna. Podejrzliwość, niechęć do ludzi, oschłość, drażliwość – tego rodzaju cechy. Tacy ludzie funkcjonują, nie nadają się do hospitalizacji, tylko wymagają specjalnego, czułego traktowania. A teraz od drugiej strony – polityka wydaje się taką dziedziną, która rzeczywiście przyciąga ludzi lubiących wierzyć w spiski. Z paru powodów. Po pierwsze, jest najeżona spiskami.

Bo ciągle coś knują!

– Ciągle ktoś coś knuje. Spójrzmy na tych polityków! Zawierają jakieś niejawne sojusze, coś pod stołem uzgadniają, zdradzają się wzajemnie... Bo taka jest rzeczywistość! Ale mamy jeszcze punkt drugi – mianowicie polityka jest rzeczywistością złożoną i skomplikowaną. Jak zwykły człowiek na to popatrzy, traci orientację. I musi sobie z tym poradzić.

W jaki sposób?

– Upraszcza. A nie ma nic prostszego niż myślenie spiskowe. Podział na dobrych i złych, my – dobrzy, oni zaś źli, knują przeciwko nam, osobom szlachetnym. W ten sposób rozumowania wmontowany jest mechanizm podwyższania samooceny. Bo jeżeli ci okropni i źli przeciwko nam knują i mają podłe zamiary, to jakoś nas w ten sposób nobilitują, pokazują naszą siłę.

I jesteśmy mądrzy, bo ten spisek wykryliśmy.

– Oczywiście! Przejrzałem ich! Tych łobuzów! Więc jestem inteligentny, wiem więcej, jestem gość!

Czy państwu to szkodzi, jeżeli kierują nim ludzie o takim sposobie myślenia?

Nasza polska paranoja

Polityka przyciąga ludzi, którzy lubią wierzyć w spiski



PROF. KRZYSZTOF KORZENIOWSKI

– Czy szkodzi? Mao, Kim Ir Sen, Stalin, Hitler – cała masa psychiatrów mówi, że byli regularnymi paranoikami. I w pewnym momencie okazywało się, że doprowadzali swoje narody do upodlenia, do upadku. A z drugiej strony – dali tyle wspaniałego poczucia dumy. Stalin do dziś jest obecny w świadomości Rosjan, wielu jest o nim dobrego mniemania.

Oni swoje wiedzą

A czy paranoicy są skuteczniejsi niż inni przywódcy?

– Psycholog na każde pytanie ma zawsze jedną dobrą odpowiedź: to zależy. W pewnych okolicznościach, np. silnego zagrożenia, energia, którą niesie myślenie paranoiczne, może być bardzo skuteczna. Bo oni są nastawieni na wyczuwanie zagrożeń i na szybkie reagowanie. Natomiast w warunkach pokojowych to wygląda nieco inaczej.

Demokracja przeszkadza, bo wszystko jest wielopiętrowe, trzeba uzgadniać, przekonywać...

– Ten skomplikowany mechanizm znowu prowokuje do myślenia spiskowego. Przeglęślowali? Ha, ha...

A przedtem całą noc siedzieli te kluby, robili te tajne spotkania i znowu knuli.

Czy my, wyborcy, mamy wpływ na to, że paranoicy są w polityce?

– Nie mamy. Trudno sobie wyobrazić jakąś ich eliminację, izolację. Jak? Czy pan wie, że w szpitalach psychiatrycznych najmniej jest paranoików? A dlaczego? Bo paranoik sam z siebie nie pójdzie do szpitala psychiatrycznego!

Bo uważa się za zdrowego, zdrowszego niż inni...

– Mówi się, że paranoja to choroba umysłu. Tam nie ma żadnych odjazdów, halucynacji, jakichś wybuchów nastrojów, zmienności itd. Centralnym objawem paranoi są urojenia. Pewnego rodzaju wyobrażenie świata. Oni swoje wiedzą,

mają przekonanie, że wszystko, co się dzieje, potwierdza ich domysły, ich tezy. Żadne przekonywanie, argumentowanie na nich nie działa. Leki działają. Chemia!

Aplikowałby pan leki naszym politykom?

– Nie! Aż taki dobrotliwy nie jestem. Mam inne pomysły na niektórych... A na poważnie – starałbym się popatrzeć od drugiej strony. Czyli byłbym za edukacją społeczeństwa. Żeby ludzie sami się orientowali, że jak wychodzi jeden z drugim dżentelmen i ciągle mówi to samo albo próbuje przetestować katastrofę pod Smoleńskiem, dziabiąc parówkę, to właściwie powinno się takiego kogoś albo obśmiać, albo jednak jakimiś administracyjnymi sposobami skierować na badania. Chodzi o to, żeby ludzie nauczyli się pewnych rzeczy, wiedzieli, na czym polega umysł, na czym polega przetwarzanie informacji, jak jest zbudowany samolot, jak się ma budowa ludzkiego ciała do parówki itd. Nie zapominajmy, że ok. 30% dorosłych Polaków traktuje poważnie najbardziej fantastyczne i przeczące zdrowemu rozsądkowi pomysły i tzw. narracje obecnie rządzących.

Znaki szczególne

Ale jak rozpoznać, że coś jest nie tak?

– Są pewne wyznaczniki. Warto zwrócić uwagę na pojawiającą się monotematyczność. Że ktoś w kółko mówi o jednym.

Prof. dr hab. Krzysztof Korzeniowski – psycholog społeczny, prowadzi badania w Instytucie Psychologii PAN (Pracownia Psychologii Politycznej). Jego zainteresowania naukowe koncentrują się wokół takich zagadnień jak makropsychologia, np. wpływ regionów historycznych na mentalność społeczno-polityczną, i psychologia polityczna, np. anomia, autorytaryzm, paranoja polityczna, antysemityzm spiskowy. Jest autorem licznych publikacji naukowych, jedna z nich to „Polska paranoja polityczna. Źródła, mechanizmy i konsekwencje spiskowego myślenia o polityce”.

► Że wina Tuska...

– Albo że wszystko to Żydzi. Jak ktoś ma większego czuja, może zwrócić uwagę na charakterystyki osobowościowe, pewnego rodzaju obraźliwość i drażliwość. To jest charakterystyka osób mających tendencje paranoiczne. Ale wcale nie tak łatwo wskazywać palcem. Nie bez powodu polskim psychologom nie wolno formułować sądów diagnostycznych bez bezpośredniego kontaktu z osobą diagnozowaną. Gdyby więc pan mnie zapytał, czy Kaczyński ma paranoję – to podobnie jak uprzednio, w podobnych sytuacjach, odpowiadam spokojnie: nie wiem. Nie wolno mi sformułować jakiegokolwiek sądu bez postępowań diagnostycznych, bez osobistego kontaktu.

Żeby stwierdzić chorobę, trzeba dłuższych badań?

– I nietatwych. Paranoicy mają skłonność, a może i umiejętność, ukrycia objawów.

Maskują się?

– Jakiś czas temu jedna z moich studentek pisała pracę magisterską, podejmując temat, czy osoby skłonne do paranoicznego myślenia

Różni są Polacy

Popularność myślenia paranoicznego w polskim życiu to wynik tego, że trafiło się nam takie pokolenie polityków, czy po prostu Polacy myśłą podobnie i tego typu argumenty łatwo do nich docierają?

– Mam pewne opory przed mówieniem, że Polacy są jacyś. Nie jesteśmy jednorodni. Tym, co na pewno daje się zauważyć w Polsce, są różnice terytorialno-kulturowe. Robiłem porównania czterech regionów historycznych, czyli trzech zaborów plus Ziemia Odzyskana. Porównywałem je pod względem preferencji, rozmaitych zmiennych mentalnościowych. I pojawiły się bardzo wyraźne różnice. To, co chętnie byśmy określali mianem Polaków, to jest tak naprawdę Kongresówka.

A inne zabory?

– W perspektywie historycznej różnice między nimi były olbrzymie. W Kongresówce w latach 20., 30., po odzyskaniu niepodległości, było prawie 60% analfabetów. W Prusach czy na Śląsku – 5%. W zaborze niemieckim Polacy, mimo że mówiło się

Ani synagogi! Ale mówili, że na Żyda trzeba uważać. I przezywali się: „Ty Żydzie!”.

A jak te odmienności wpływają na wiarę w teorie spiskowe?

– Najmniej skłonni do myślenia spiskowego są mieszkańcy dawnego zaboru niemieckiego, najbardziej natomiast – Kongresówki.

Dlaczego Kongresówki? Jak to można tłumaczyć?

– To na pewno wynik niskiego poziomu odziedziczonego wyrafowania poznawczego. Przewaga ludzi, którzy stosują proste schematy. Jest jednak kolejna rzecz – Andrzej Leder parę lat temu napisał o relacji folwarcznej panującej w Polsce. Ale tak naprawdę dotyczyło to przede wszystkim Kongresówki. Owa relacja jest prototypem naszego autorytaryzmu. A to, co wpisane w autorytaryzm – głęboka nieufność, silny podział na my-oni, przekonanie, że oni są zli, wykorzystają, zdradzą itd. – jest także wpisane w myślenie spiskowe, paranoiczne. Rozmaitych możliwych mechanizmów kulturowo-terytorialnego różnicowania myślenia jest zatem bardzo wiele. Dlatego trudno mówić, że „my, Polacy”, mamy skłonność do myślenia spiskowego. Polacy z Kongresówki – tak, również częściowo ci z Ziemi Odzyskanych, aczkolwiek oni w preferencjach politycznych są bardziej modernistyczni, prozachodni, laicy.

Około 30% dorosłych Polaków traktuje poważnie najbardziej fantastyczne i przeczące zdrowemu rozsądkowi pomysły i tzw. narracje obecnie rządzących.

politycznego charakteryzują się paranoją w sensie bardziej klinicznym. Zastosowała do tego poważny, wielki test, który nazywa się MMPI. I co się okazało? Że paranoja polityczna ze skalą paranoi nie korelowała, słabutko jedynie korelowała z podejrzliwością, ujemnie z naiwnością... Ale ten kwestionariusz jest wyposażony w skale kontrolne, które pozwalają na ocenę rzetelności odpowiedzi i wykrycie różnych fałszywek. I okazało się, że osoby skłonne do paranoicznego myślenia, tego politycznego, miały wyższe wyniki skali dysymulacji, ukrycia zaburzeń. Czyli na wszelki wypadek starały się pokazać w dobrym świetle. Żeby nie być oskarżonym o to, że coś jest nie w porządku z ich psychiką, wykazywały ostrożność.

o rozmaitych prześladowaniach, germanizacji itd., uczestniczyli aktywnie w oficjalnym życiu politycznym Rzeszy, mieli postów w Reichstagu. W zaborze austriackim z kolei była ogromna bieda, wielka ciemnota (40% analfabetów) i silny kapitał społeczny zbudowany na bazie Kościoła katolickiego. Parafia była ważnym ośrodkiem. Ludzie się znali, ufali sobie. A Ziemia Odzyskana – jak się ustabilizowały te wędrowniki ludów, to w jakichś 70% mieszkali tam ludzie pochodzący z Kongresówki. Było blisko, poza tym – Kresy.

Daje się zaobserwować kolejne zjawisko, mianowicie międzypokoleniową transmisję mentalności. Nie wiadomo skąd na Ziemiach Odzyskanych dało się odnotować zjawisko antysemityzmu. Żyda ani jednego!

Paranoja z ojca na syna

Czy myślenie paranoiczne jest dziedziczne?

– Nie stwierdzono, aby paranoja czy autorytaryzm były wyraźnie dziedziczne. Pokrewną tematykę badała jedna z moich magistrantek. Badała całe rodziny – mamę, tatę, dzieci, porównywała korelacje między różnymi zmiennymi. Okazało się, że nie było korelacji między wielkością paranoi politycznej u ojca lub matki i u dzieci. Natomiast okazało się, że była wyraźna korelacja między paranoją polityczną rodziców, czyli męża i żony.

Mieszkają razem, jedzą, śpią...

– Ale jak to się przenosi? Czy już w momencie, gdy się poznali i zakochali? Wtedy może się okazać,

że myślenie paranoiczne jest ważnym kryterium doboru.

Bo podobnie myślą.

– Skądinąd wiadomo też, że ludzie w małżeństwie się upodabniają. Natomiast to, że badanie nie wykazało związku między myśleniem rodziców a myśleniem dzieci, niekoniecznie musi oznaczać, że nie ma dziedziczności. Okazuje się, że w kwestii postaw politycznych jednak upodabniały się do rodziców.

Ale po pewnym czasie?

– Dokładnie tak! Jak się bada tatuś 40-latką i synka 16-latką, to nic nie ma. Ale gdy ten synek dorośnie do

...i w końcu zaczęli myśleć jak ten paranoik.

– Im większa była izolacja społeczności, w tym większym nasileniu występowała paranoja (indukowana). Pytał pan o czynniki kulturowe – może też mieć miejsce kulturowa izolacja. Czytamy tylko jedno pismo albo słuchamy jednej rozgłośni radiowej, oglądamy jedną telewizję... Jesteśmy zamknięci. Na dodatek izolujemy się od ludzi, którzy mogą myśleć inaczej. Taka sytuacja również może sprzyjać ugruntowywaniu się jakiegoś typu myślenia. W tym myślenia spiskowego, paranoicznego.

Polaków. Przedostatnimi czasy bardzo skutecznie!

I różni paranoicy, którzy nami rządzą, to wykorzystują.

– Cóż, są tacy, którzy mają odpowiednią charyzmę i umiejętność manipulowania paranoją, wykorzystywania myślenia spiskowego. Podstawą jest dzielenie, opowiadanie o spiskach, straszenie, mówienie ludziom, że są skrzywdzeni.

Podaje pan również przykład plemienia Dobu z Wysp Trobriandzkich. Plemiona z tych wysp były pogodne, ufne, a Dobuańczycy byli podejrzliwi, agresywni, węszyli spiski i czary.

– Centralny plac w wioskach Wysp Trobriandzkich służył zabawie, uroczystościom. U Dobuańczyków to był cmentarz. U nas też 1 Listopada jest jednym z najważniejszych świąt. I też mamy rekordowy poziom nieufności. Może jesteśmy trochę Dobuańczykami? Bardzo trudno o zmiany w obrębie ludzkiej mentalności, jak ktoś czymś nasiąknie. Jeżeli coś trwało przez wiele pokoleń, bardzo trudno to zmienić. Że my kontra obcy... To jest podstawa! Podłożem myślenia paranoicznego jest negatywny afekt. Nie żadna obróbka intelektualna świata.

Robert Walenciak

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Najmniej skłonni do myślenia spiskowego są mieszkańcy dawnego zaboru niemieckiego, natomiast najbardziej – Kongresówki.

czterdziestki, kropka w kropkę mówi jak tata. Do paranoi trzeba dojrzeć!

A czy niektóre bodźce kulturowe nie ułatwiają takiego myślenia?

– Jest pewne szczególne zjawisko. Otóż paranoja to jedyna choroba psychiczna, którą można się zarażać. To ma ładne nazwy – jedna to paranoja indukowana. Może się ona pojawiać między osobami bliskimi, pozostającymi w związku emocjonalnym. Może być tak, że osoba nieparanoiczna przejmie nawet odjechane poglądy rzeczywistego paranoika. I z łatwością może zostać zdiagnozowana przez psychiatrę jako paranoik. Po czym to ustępuje.

Oglądamy TVP Info i się infekujemy...

– Zwłaszcza gdy jesteśmy zafascynowani jakimś spikerem. To ma jeszcze ładną nazwę francuską – *folie à deux*, obłąd udzielony. Istnieje więc możliwość jakby zarażania się. W pewnych sytuacjach.

Jak TYM można się zarazić?

Jakich?

– Sprzyja temu izolacja. Znane są przypadki wiosek gdzieś w Alpach, które w zimie były kompletnie odizolowane od świata. Jakaś postać w takiej wiosce, a już szczególnie przywódca, była paranoikiem, a mieszkańcy nie mieli możliwości uwolnienia się od tej atmosfery, od myśli, które się kotłowały...

Możemy także przyjąć, że istnieją pewne światopoglądy, które mogą sprzyjać przyjmowaniu pewnych spiskowych wyjaśnień. To takie, które bardzo angażują negatywne emocje. Katolicyzm! Tam, gdzie się wzbudza strach, lęk przed piekłem, kreowane jest silne poczucie winy. Potępienie grzeszników, uwielbienie naznaczonych ręką Boga... Nie zapominajmy, że katolicyzm, jako wyznanie i jako instytucja, od stuleci kształtuje mentalność społeczną

**Czy jesteśmy skazani na rządy psychopatów?
Czy XXI wiek to czas terroru i dyktatur?**

**PRZENIKLIWA ANALIZA
KRZYSZTOFA
MROZIEWICZA**

47 zł 35 zł

Zamów książkę na sklep.tygodnikprzeglad.pl
lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.

**KRZYSZTOF
MROZIEWICZ**

**DELIRIUM
WŁADZY**
KTO RZĄDZI
TEN BŁĄDZI

Polacy i Żydzi – BURZLIWA HISTORIA

W Polsce nadal można zdobywać zwolenników,
powtarzając antysemickie bzdury.
Dlatego robią to politycy

Lech M. Nijakowski

Relacje polsko-żydowskie mają bardzo burzliwą historię. Lubimy podkreślać swoją tolerancję, ale jeszcze po II wojnie światowej dochodziło do pogromów, w których ginęli Żydzi. Nienawiść do Żydów pełni ściśle określone funkcje. Nie jest to bezmyślna emocja, nawet jeśli charakteryzuje ludzi bardzo prymitywnych.

Powojenne relacje

O przedwojennych i wojennych pogromach napisano już sporo. Na przykład w latach 30. w Polsce co najmniej 30 razy doszło do krwawych rozruchów, w tym do pogromu w Przytyku, miejscowości leżącej 18 km na północny zachód od Radomia. Wydarzenia z 9 marca 1936 r. przeszły do historii jako jeden z największych pogromów. Podglebiem był bojkot firm żydowskich, do którego od 1935 r. nawoływała Narodowa Demokracja. Bezpośrednią przyczyną zająć w 1936 r. stał się zatarg między żydowskim piekarzem a sprzedającym swoje towary chłopem. Śmierć ponieśli wówczas Polak Stanisław Wieśniak oraz żydowskie małżeństwo Chaja i Jasek Minkowscy. Rannych zostało ponad 20 osób, w tym 17 Żydów. Była to zatem eksplozja dominującej w całym kraju nienawiści.

Nawet po doświadczeniach II wojny światowej dochodziło w Polsce do aktów przemocy wobec Żydów.

Szeroko znany jest pogrom w Kielcach (4 lipca 1946 r.), który nie był sowiecką prowokacją, dokonali go Polacy. Szczegółowo pisał o nim znienawidzony w Polsce Jan Tomasz Gross w „Strachu”. W pogromie kieleckim brali udział milicjanci i żołnierze. Oburza wiele rzeczy, w tym powód masakry – plotka, że doszło do mordu rytualnego. Zginęło co najmniej 40 Żydów. Przetrwali niemieckie represje, a potem zamordowali ich polscy sąsiedzi.

Marzec '68

W tych dniach obchodzimy 55. rocznicę wydarzeń Marca '68. Było to oburzające wskrzeszenie starych przekonań, co obciąża nie tylko Władysława Gomułkę, ale i cały naród. Co ciekawe, dziś twierdzi się często, że nie była to antysemicka nienawiść.

W latach 30. w Polsce doszło co najmniej 30 razy do krwawych rozruchów, w tym do największego pogromu w Przytyku w marcu 1936 r.

Przypomnijmy, mniejszość żydowska – jak na współczesne standardy – była wtedy liczna, mówi się o 30 tys. osób. Wyzwalaczem niechęci była wojna sześciodniowa Izraela z Egiptem, Jordanią, Syrią i innymi krajami (5-10 czerwca 1967 r.). Państwa bloku wschodniego – z wyjątkiem Rumunii – zerwały stosunki dyplomatyczne z Izraelem. Polska zrobiła to 12 czerwca. Ten niemądry akt jest częścią naszej historii. 19 czerwca Władysław Gomułka wygłosił przemówienie,

które obsadziło Żydów w roli piątej kolumny. Rozpoczęła się inwigilacja środowisk żydowskich, w tym Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce i Klubu Młodzieżowego Babel. Nastąpiły pierwsze czystki w redakcjach i wojsku. Inspirowało je i koordynowało Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, którym kierował Mieczysław Moczar. Był on jednocześnie przewodniczącym Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. Nastawienie tej organizacji było zdecydowanie antysemickie, co wyjaśnia wybór ofiary.

Sytuację zaogniła Praska Wiosna (styczeń-sierpień 1968 r.). 30 stycznia 1968 r. zdjęto z afisza „Dziady” w reżyserii Kazimierza Dejmka. To doprowadziło do protestów studentów i intelektualistów. Grupą przywódczą byli „komandosi”, czyli lewicowa młodzież, która domagała się reformy

partii i demokratyzacji życia w Polsce. Należeli do niej m.in. Adam Michnik, Karol Modzelewski i Jan Lityński. 8 marca zorganizowano na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego demonstrację, która została brutalnie spacyfikowana. Milicja Obywatelska i Służba Bezpieczeństwa zatrzymały 2725 osób, w tym 937 robotników, 641 studentów, 487 uczniów. Przeprowadzono procesy, a w zakładach pracy zorganizowano masówki popierające partię i jej postulaty. Rozpętana

Pogrzeb ofiar pogromu kieleckiego, w którym zginęło co najmniej 40 Żydów i dwóch Polaków. Kielce, 8 lipca 1946 r.



antyżydowska nagonka i represje wobec tej mniejszości doprowadziły do masowej emigracji, także tych, którzy nic nie wiedzieli o swoim pochodzeniu.

U podstaw tego ruchu protestu nie widać było szczególnych przyczyn ekonomicznych. Był to z pewnością bunt społeczny, pokoleniowy, przeciwko władzy, a jednocześnie przejaw głębokiego konfliktu w jej aparacie. Obserwowaliśmy szturm na posady działaczy średniego i młodsze go pokolenia Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Marzec oznaczał awans tysięcy działaczy. Na plecach żydowskich ofiar wspinali się w hierarchii społecznej etniczni Polacy.

Marzec '68 był ukoronowaniem całego procesu. Odmówił polskości wielu osobom, które uznawały się za Polaków. „Czułem się Polakiem. Polska była moim krajem, a okazało się, że nie ma tam dla mnie miejsca”, pisał Mikołaj Grynberg w „Księdze wyjścia”. Antysemicka przemoc zyskała uznanie najgorszych warstw społeczeństwa. Tej skazy nie usuniemy. Już zawsze będzie ona

szpeciła obraz Polaków i polskich komunistów.

Ważny był też język, którym się posługiwano. Literaturoznawca Michał Głowiński stworzył wtedy podstawy „mowy po polsku”, która posłużyła mu do oceny nawet języka z czasów, gdy rządzi Prawo i Sprawiedliwość. Jako badacz dyskursu często korzystam z jego książek. Niestety, cały czas są aktualne.

Przydatność pogromów

Masakrowanie Żydów, bardzo częste na świecie, miało określony cel. Dlatego pogromy się powtarzały. Żydzi byli kozłem ofiarnym, wytłumaczeniem różnorodnych problemów. Zwykle przywołujemy teorię René Girarda, wedle której przemoc w kolektywnej formie jest w stanie budować i podtrzymywać egzystencję ludzkiej wspólnoty. Jest ona jednak archaiczna, nawiązuje do starych koncepcji psychologicznych i nigdy tak naprawdę nie była teorią ogólną. Lepiej skorzystać z ideologicznego modelu kozła ofiarnego Petera

Glicka, który uwzględnia stan wiedzy współczesnej psychologii. Wedle Glicka grupa, która staje się kozłem ofiarnym, nie jest podatną na zranienie i bezbronną mniejszością, ale społecznością, o której sprawcy sądzą, że jest potężna, chytra i niebezpieczna.

Przemoc wymierzona w Żydów wybucha w czasach „frustrujących warunków podzielanych społecznie”. Jak napisał Piotr Osęka: „Zawiść i drzemiąca w niej jednym potrzeba odwetu za życiowe niepowodzenia stanowiły paliwo dla marcowej czystki”.

Jednocześnie przemoc łagodzi nastroje ludzi. Zabijanie przynosi spokój. Wiem, jak to brzmi, ale tak wyglądała nasza rzeczywistość. Zwracam uwagę, że do ostatniego pogromu na ziemiach polskich doszło już w III Rzeczypospolitej, 26 i 27 czerwca 1991 r., gdy w Mławie niszczone mienie Romów, którzy szczęśliwie uciekli. Co by było z nimi, gdyby pozostali i wystawili się na działania polskiego tłumu?

Ideologiczny model kozła ofiarnego jest tak dobry, bo pozwala mówić nie tylko o sytuacji wyjątkowej, ▶

► gdy karzemy koszty ofiarne (uznając, wbrew faktom, że ludzie ci są winni naszym problemom), ale także o czasach pokoju, gdy ideologia zaspokaja różne potrzeby i kształtuje tożsamość narodową. Nasza kultura, która na co dzień pozwala reprodukować wspólnotę narodową, w sytuacji problemowej zapewnia wsparcie nienawistnikom. Atakujemy kozła ofiarnego, sądząc, że rozwiązujemy tym jakiś nasz problem. Oczywiście to głupota, żadnego problemu nie rozwiązujemy. To tak, jakby dzisiaj atakować Żydów za wysoką inflację w Polsce. To jedynie zwodnicze rozwiązanie problemu. Ludzie nie obalają władzy, tylko kierują swoją uwagę na coś zupełnie odmiennego. A usłudzy ideolodzy dorabiają do tego odpowiednie uzasadnienie.

Pogrom w Kielcach 4 lipca 1946 r. nie był sowiecką prowokacją. Dokonali go Polacy. Brali w nim udział milicjanci i żołnierze.

Pogromy operują w świecie fantazji, ale w takim żyją zwykli ludzie, którzy najczęściej nie są ekspertami i hołdują różnorodnym bajkom. Dlatego, mówiąc fachowo, wykorzystuje się różnorodne dyskursy ideologiczne, które popychają do zbrodni. Co ważne, popełniający je sądzą, że bronią swojej rodziny, wspólnoty etnicznej albo ojczyzny. Ważniejsze jest przywiązanie do ideologii wskazującej kozła ofiarnego niż zabicie konkretnych osób. Ideologia ta działa nie tylko w ciężkich czasach, ale również w czasach spokoju, gdy odgrywa znaczącą rolę polityczną.

Oto niepokojąca właściwość wszelkiej przemocy zbiorowej – dopuszczają się jej nie sadyści, ale zwykli ludzie. Państwo odpowiednio ich mobilizuje, zamieniając obywateli i zasoby w aktywne elementy sytuacji. Tym zajmują się badacze – wyjaśnianiem, jak do tego dochodzi. A tocząca się wojna w Ukrainie pokazuje, że w Europie może dziś dochodzić do najgorszych zbrodni. Dlatego uważam, że – niestety – nie jest to zamknięta przeszłość. Wszelkie pogromy, masakry i ludobójstwa mogą się powtórzyć.

Wybór Żydów jako kosztów ofiarnych był w istocie mało ważny.

Ważniejsze były zyski wynikające z operacji symbolicznych, które pomnażały władzę możliwych tego świata. Przez wieki oczywiście wzrosła liczba ideologii, które piętnują Żydów. Żydzi stali się dogodną ofiarą. Ale należy pamiętać, co jest przyczyną, a co skutkiem. Dziś ludzie nie zrównoważeni powtarzają nienawistne plotki. Ale są one racjonalnym budowaniem sytuacji pogromu, który komuś służy.

Przemoc nie jest zatem nierozumnym żywiołem, jest racjonalną operacją. Komunikacją i kulturą. Zwykliśmy przeciwstawiać kulturę przemocy, tymczasem ona często karmi naszą nienawiść i lęki. Nasze subtelne idee wspierają naszą najgorszą przemoc. Przemoc bazuje na tym, co w innym kontekście uznalibyśmy za szczytne osiągnięcie.

Nasze społeczeństwa potrzebują kosztów ofiarnych. Ta prawidłowość obowiązuje do dzisiaj. Garstka rozumnych nie zatrzyma morderczego tłumy, który ucieka się do przemocy, wierząc w kuriozalne mity. Tak wygląda nasza rzeczywistość.

Ludzie, od czasu gdy wynaleźli cywilizację, masakrują różnych wrogów. W Europie dominuje szkalowanie Żydów. Rację ma Państwo Izrael, że ten skandaliczny proces nie ustał. W istocie, wbrew temu, co możemy sądzić, wybór kategorii religijnej czy etnicznej jest drugorzędny. Nadal służy to określonym celom. Cały czas nie umiemy myśleć o ludzkości, ale dobrze się czujemy w świecie podzielonym na narody.

Antysemityzm współczesny

Może to się wydawać irracjonalne i oburzające, lecz antysemityzm w Polsce nie wygaś. Wciąż jest przydatny w polityce i budowaniu różnych wspólnot wyobrażonych. Niektórzy korzystają na rozpowszechnianiu tych głupot. Inni w nie wierzą, choć nie mają racjonalnych dowodów. Są na ten temat badania. Osoby te żyją w świecie całkowicie wyobrażonym,

stworzonym ze strachów i lęków, które nakazują nienawidzić Żydów.

Pokazuje to z jednej strony siłę rozmaitych mitów i przekazu rodzinnego, ale z drugiej – niezdolność ludzi do naprawy. Nie pracują nad sobą, tylko powielają oburzające poglądy. Prowadzą one do przemocy, więc nie są niewinne. Tymczasem podążanie za nienawistnikami ciągle jest prostszym rozwiązaniem.

Ireneusz Krzemiński badał antysemityzm tradycyjny, sformułowany głównie w języku religijnym (antyjudajizm), i antysemityzm nowoczesny, który nawiązuje do różnych mityzacji. Co wstrząsające, ta druga postać jest w Polsce zaskakująco liczna. Utrzymuje się antysemityzm bez Żydów. Polacy nadal nienawidzą Żydów, aczkolwiek już o tym nie mówią i nie znają osobiście żadnego Żyda.

W Polsce wciąż można zdobywać zwolenników, powtarzając antysemickie bzdury. Dlatego robią to politycy. Fakt, że nie otacza się ich kordonem sanitarnym, świadczy o polskiej słabości. Aktualność antysemityzmu jako praktyki politycznej pokazuje słabość polskiego życia publicznego.

Można powiedzieć, że to zagadnienie mało ważne. Ale do dzisiaj nie rozwiązałyśmy tego problemu.

Czas najwyższy odrzucić nierozumne ideologie. Antysemityzm do nich należy. Potrzebna jest lustracja całej naszej kultury. Z przeszłości zostały obiekty być może wartościowe artystycznie, ale bazujące na antysemityzmie. Trzeba je usunąć. Choćby obrazy ukazujące mord rytualny eksponowane w kościołach, jak obraz Karola de Prevota w katedrze w Sandomierzu. Trzeba pamiętać, do czego prowadzą i jakie ohydne przekonania wspierają. Walka z antysemityzmem to nasza powinność, a nie hobby pewnych społeczników. Czas naprawić państwo polskie.

Dr hab. Lech M. Nijakowski – profesor uczelni na Wydziale Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, stały doradca Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych Sejmu RP od 2001 r. Członek Komitetu Prognoz „Polska 2000 Plus” przy Prezydium PAN w kadencji 2019-2022. Członek redakcji „Przeglądu Humanistycznego”, „Studiów Socjologiczno-Politycznych. Seria Nowa” oraz „Zdania”

Konfrontacja adwokata z „trumną na kółkach”

Dwie kobiety zginęły w wypadku.
Mecenas Paweł K. stanął przed sądem

Marek Książek

Do tragedii doszło w słoneczne niedzielne popołudnie 26 września 2021 r. na drodze z Jezioran do Barczewa. Z jednej strony audi 80 jechały do wnuków dwie kobiety (53 i 67 lat), a z drugiej – „wypasionym” mercedesem benz – 41-letni łódzki adwokat Paweł K. z żoną i kilkuletnim synem. Mecenas z rodziną wracał z wesela zaprzyjaźnionej influencerki, promującej w mediach społecznościowych feminizm, ciałopozytywność i siostrzeństwo. W pewnym momencie musiał jednak zawrócić, bo okazało się, że w domu weselnym zostawił saszetkę z dokumentami. I właśnie wtedy – zdaniem olsztyńskiej prokuratury – miał przekroczyć podwójną linię ciągłą, zjechać na lewy pas, gdzie nieumyślnie doprowadził do zderzenia z innym pojazdem, w wyniku czego śmierć poniosły dwie osoby. Obie kobiety z audi zginęły na miejscu.

Informacja o tej tragedii mogła przemknąć w wiadomościach telewizyjnych i radiowych, zdjęcia z wypadku mogły pojawić się w lokalnej prasie, a rodzina rozpaczalaby w czterech ścianach swoich domów. Ale nie tym razem. Jako że każda okazja jest dobra, najpierw głos zabrała znana influencerka Martyna Kaczmarek, świeżo upieczona mężatka, donosząc na Instagramie: „Nie mogę oddychać. Moi bliscy przeżyli tylko dlatego, że mieli 2-letnie auto wysokiej klasy z zaawansowanymi systemami bezpieczeństwa. Ofiary jechały dwudziestokilkuletnim autem bez poduszek. Uważajcie na siebie, zapinajcie pasy”. Czym dała do zrozumienia, że winne są ofiary, bo jechały samochodem



Adwokat Paweł K.
na ławie oskarżonych.

z 1995 r., a może nawet nie zapięty pasów bezpieczeństwa.

Oliwy do ognia dołączył sam adwokat, wypuszczając do sieci filmik ze słowami: „Wszyscy mówią o tym, że nadmierna prędkość, że brawura, że telefony komórkowe, że pijani kierowcy. Ale zapominamy o tym, moi drodzy, że po naszych drogach poruszają się trumny na kółkach. I między innymi dlatego te kobiety zginęły”.

Te dwie uwagi wywołały takie oburzenie internautów, że influencerka szybko wycofała swój wpis, a łódzki adwokat potem przeprosił za swoje słowa. Ale w sieci nic nie ginie, więc sprawa zrobiła się głośniejsza. Zwłaszcza że Paweł K. znany był już wcześniej z buńczucznych, prowokacyjnych wypowiedzi w internecie, gdzie przedstawiał się jako Adwokat Nowej Ery. Jako ten, który rozmawia z przestępcami ich językiem i wyraża śmiałe zdanie w mediach społecznościowych. Między innymi obraził tam

sędziów z Łodzi, za co został ukarany przez sąd dyscyplinarny przy okręgowej radzie adwokackiej. A za wypowiedź o „trumnach na kółkach” ten sam sąd skazał go, na razie nieprawomocnie, na 16-miesięczne zawieszenie w czynnościach zawodowych i zakaz patronatu nad aplikantami.

Na wyznaczony przez Sąd Rejonowy w Olsztynie termin rozprawy 15 lutego br. mecenas nie dojechał, bo dzień wcześniej zmarła mu matka. Pojawił się za to 27 lutego, a przed salą rozpraw towarzyszyli mu dwaj rośli młodzieńcy, o których wśród licznie przybyłej braci dziennikarskiej szeptało, że to ochroniarze adwokata. O wyznaczonej godzinie Paweł K. zasiadł na ławie oskarżonych; ubrany w wąskie spodnie i obcisłą marynarkę w kratkę, pod którą miał czarny podkoszulek. Jego wysportowana sylwetka wskazywała, że regularnie ćwiczy na siłowni. Zgodził się odpowiadać tylko na pytania sądu i swojego obrońcy. Po odczytaniu przez prokuratora aktu oskarżenia nie przyznał się do winy. Twierdził, że jechał zgodnie z przepisami, a system kontroli trasy w jego aucie uniemożliwiał zjechać na lewy pas, więc nie mógł przekroczyć podwójnej linii ciągłej. Podczas prowadzenia samochodu, tuż przed wypadkiem, był opanowany, nic mu nie przeszkadzało i nie ma pojęcia, jak doszło do zderzenia.

Pełnomocnik rodzin pokrzywdzonych nie dowierza, że tak było, więc wnioskował o wezwanie na świadka Martyny Kaczmarek. Jako dowód przedłożył wydruk wymiany SMS-ów między influencerką a żoną adwokata. Z wiadomości wynikało, że Paweł K. wcale nie był taki spokojny, jak sam zapewnia. Ciąg dalszy procesu – 10 maja. ■

Państwowa produkcja lekarzy

Kornel Wawrzyniak

Ministerstwo Zdrowia do spółki z Ministerstwem Edukacji i Nauki otwierają kolejne kierunki medyczne na niemedycznych uczelniach. Środowisko lekarskie bije na alarm. Edukację medyczną demontuje się kawałek po kawałku. Zniesiono wiele bezpieczników w procesie kształcenia.

Naczelna Izba Lekarska podaje, że obecnie studia lekarskie prowadzi w Polsce 23 uczelnie. Cztery nie mają statusu uniwersytetu. Krakowska Akademia im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego oraz Uczelnia Łazarskiego są uczelniami akademickimi, a kolejne dwie, Wyższa Szkoła Techniczna w Katowicach i Uczelnia Medyczna im. Marii Skłodowskiej-Curie, mają status uczelni zawodowych. W listopadzie 2022 r. prezes Naczelnej Rady Lekarskiej Łukasz Jankowski wystąpił do Komisji Europejskiej o interpretację przepisów dotyczących minimalnych wymogów kształcenia lekarzy, ponieważ NRL w obawie przed spadkiem jakości nauczania uznała, że tylko wykładanie medycyny na uniwersytecie będzie zgodne z regulacjami Unii

Dziś lekarzem można zostać po uczelni o profilu humanistycznym albo technicznej

jednak, że lekarze mają uzasadnione wątpliwości.

Eksperyment trwa

Cała akcja z przenoszeniem kierunków medycznych poza właściwe im uczelnie trwa już kilka lat. Oficjalnie pomysł wiąże się z bardzo niskim w skali Europy współczynnikiem 2,3 lekarza na 1 tys. osób, który stawiał Polskę dużo poniżej średniej, wynoszącej na Starym Kontynencie 3,7. Dane zebrane przez GUS w ostatnich latach pokazują jednak, że wszyscy dysponowali niepełnymi informacjami – w rzeczywistości mamy 3,3 lekarza na 1 tys. pacjentów. Ministerstwo Zdrowia nie wzięło poprawki na te dane i nadal stara się zwiększać liczbę lekarzy, zarówno poprzez otwieranie kolejnych kierunków, jak i zaniżając wymagania przy

przewodniczący Porozumienia Rezydentów Sebastian Goncerz.

Na dodatek okazuje się, że wszystko jest robione na wycucie, bo nikt nie wie, jakich lekarzy naprawdę potrzebujemy. Ministerstwo nie ma stosownych badań albo się nimi nie chwali, nawet kiedy jest o to pytane. – Celem działań obu ministerstw jest zwiększenie w Polsce liczby lekarzy. Trudno jednak powiedzieć, jakie mamy zapotrzebowanie na specjalistów, ponieważ nie ma żadnych sensownych danych ani prognoz związanych z liczbą lekarzy. Co gorsza, nie mamy też żadnej wizji tego, jak ma wyglądać nasz system ochrony zdrowia. Między innymi nie wiadomo, co właściwie mają robić lekarze, bo wymaga się od nich czasem np. załatwiania refundacji na pieluchomajtki – wytyka Damian Patecki, przewodniczący Komisji Kształcenia Medycznego NRL.

Turnusy w prosektorium

Nie tylko ministerialne pomysły zdają się bezrefleksyjne. Uczelnie oferujące kierunki medyczne także nie zapewniają należytej jakości kształcenia. Część nowych kierunków ma ciągłe problemy albo z kadrą, albo z wyposażeniem. Obecnie pięć uczelni nie dysponuje prosektorium, gdzie przyszli lekarze mogliby się uczyć anatomii na preparatach i zwłokach. Dwa kierunki zostały ocenione negatywnie przez Państwową Komisję Akredytacyjną. W 2022 r. był to Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, a w 2019 r. Uniwersytet Technologiczno-Humanistyczny im. Kazimierza Pułaskiego w Radomiu. Kłopoty tego ostatniego wiązały się przede wszystkim właśnie z brakiem prosektorium. PKA zakwestionowała zaliczenie studentom zajęć m.in. z fizjologii, anatomii prawidłowej czy histologii, bo w momencie wystawienia im oceny nie mieli oni ani minuty zajęć w prosektorium. Ówczesny rzecznik uczelni dr hab. Dariusz

Pięć uczelni nie dysponuje prosektorium, gdzie przyszli lekarze mogliby się uczyć anatomii na preparatach i zwłokach.

Europejskiej. Niestety, odpowiedź KE nie była taka, na jaką liczyli lekarze. Unijna dyrektywa 2005/36/WE określa jedynie, że kształcenie medyczne ma zajmować pięć lat studiów, co można wyrazić w odpowiedniej liczbie punktów ECTS i przynajmniej 5,5 tys. godzin zajęć. Stanowisko to było bardzo na rękę Ministerstwu Zdrowia, jego rzecznik prasowy Wojciech Andrusiewicz stwierdził, że zapytanie wystosowane przez NRL jest próbą obrony interesów korporacyjnych, i to ze szkodą dla pacjentów. Okazuje się

rekrutacji na studia lekarskie. – Wraz ze znaczącym zwiększeniem liczby miejsc na studiach medycznych na dalszy plan spada wymóg posiadania przyzwoitego wyniku matury. Czyli osoby z coraz mniejszą liczbą punktów mogą się dostać na studia. Teraz na niektóre prywatne uczelnie medyczne można się dostać, mając zaledwie maturę podstawową z matematyki. Podczas gdy jeszcze sześć lat temu panowała ostra konkurencja wśród kandydatów, którzy chwalili się bardzo wysokimi wynikami trzech matur rozszerzonych – opowiada



Trześniowski, profesor UTH Radom, tłumaczył, że władze uniwersytetu uczyły anatomii według standardów amerykańskich na specjalnych wirtualnych stołach *anatomages*. Dziwi więc, że uczelnia miała mimo wszystko zaproponować studentom zajęcia uzupełniające w prosektorium Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, czyli „zaledwie” 320 km od Alma Mater. Są też placówki, które, nie mając własnego prosektorium, podpisują umowy z innymi uczelniami i organizują swoim studentom np. dwutygodniowe turnusy. Pomysł jest o tyle absurdalny, że adepci medycyny spędzają w prosektorium ok. 140 godzin. Dodatkowo jedni studenci blokują wtedy drugim dostęp do niego.

Według kontrolerów PKA największe zastrzeżenia na nowych kierunkach medycznych budzi zaplecze dydaktyczne. Większość przedmiotów jest prowadzona przez kadrę bez wymaganych kwalifikacji albo w ogóle nie ma komu uczyć. W 2020 r. komisja skontrolowała dwie uczelnie. Wyższa Szkoła Techniczna w Katowicach nie miała zatrudnionej kadry, która była wskazana we wniosku o utworzenie kierunku. Na Uniwersytecie Zielonogórskim wskazano zaś 14 przedmiotów, które nie miały odpowiednich wykładowców. Czy w ciągu lat widać poprawę? Niespecjalnie. W zeszłym roku PKA była z kontrolą m.in. na Uniwersytecie Rzeszowskim, gdzie zajęcia w ramach zastępstwa prowadził lekarz weterynarii.

Na Uniwersytecie Rzeszowskim w ramach zastępstwa zajęcia prowadził lekarz weterynarii.

Widzimi się ministra

Wydawać by się mogło, że minister edukacji po negatywnej opinii Państwowej Komisji Akredytacyjnej powinien natychmiast zamykać fatalnie zarządzane kierunki przynajmniej do czasu usunięcia najpoważniejszych uchybień. Nic bardziej mylnego. Opinie PKA nie są Przemysławowi Czarnekowi do niczego potrzebne.

– Negatywna ocena wydana przez PKA nie jest jednoznaczna z tym, że minister edukacji musi taką uczelnię zamknąć, więc tego nie zrobił, kiedy było to wygodne dla celów, jakie obrały jego resort i Ministerstwo Zdrowia – wyjaśnia Damian Patecki. Zwraca przy tym uwagę na jeszcze jedną sprawę: – Pochylmy się nad Lekarskim Egzaminem Końcowym. Żeby go zdać, wystarczy nauczyć się na pamięć odpowiedzi na kilka tysięcy pytań. Dlatego LEK niczego nie weryfikuje.

Gdzie w tym wszystkim jest troska o pacjentów, skoro lekarzy produkuje się według celów politycznych, zamiast kształcić ich zgodnie ze sztuką? Należy również pamiętać, że między ministrami Niedzielskim i Czarnekim trwa obecnie swoisty wyścig o to, kto wykształci więcej lekarzy. Zakładając, że wszystkie uczelnie i kierunki

medyczne, które czekają na akredytację, zostaną otwarte, za chwilę będziemy mieli ok. 14 tys. studentów medycyny tylko na pierwszym roku. Siedem lat temu na roku było ok. 6-7 tys. osób. Łatwo zauważyć, że to dwukrotny wzrost w ciągu niecałej dekady. Dla porównania: w Niemczech co roku uczelnie medyczne opuszcza 10 tys. absolwentów, ale to kraj o dwa razy wyższej liczbie ludności niż Polska.

– Zwiększanie liczby osób wykonujących dany zawód oznacza większą konkurencję o zasoby, co obniża presję płacową i możliwość monopolizowania rynku. Zwiększa jednak dostęp pacjenta do systemu ochrony zdrowia, także na obszarach, któ-

re dziś stanowią swego rodzaju białe plamy. Więcej lekarzy to korzyść dla pacjenta – twierdził w rozmowie z Polską Agencją Prasową minister Niedzielski. Szef resortu zdrowia pomija jednak dość ważną kwestię. Jeśli lekarze będą mieli równie fatalne warunki pracy w publicznej służbie zdrowia jak obecnie, to wszyscy, niezależnie od ich liczby, uciekną albo do sektora prywatnego, albo za granicę. Wystarczy przywołać scenariusz hiszpański. Około 2008 r. zwiększył się tam nabór na studia medyczne. Obecnie co roku hiszpańskie uczelnie opuszcza 7 tys. absolwentów, ale aż jedna trzecia od razu pobiera zaświadczenie o możliwości pracy za granicą. W Polsce możemy mieć podobną sytuację. W pierwszej połowie 2022 r. do Naczelnej Izby Lekarskiej wpłynęło 445 wniosków od chcących pracować poza granicami Polski. Dlatego rząd, znów niechcący, dąży do stworzenia paradoksu – masowa produkcja lekarzy w proponowanym wydaniu jedynie pogorszy sytuację pacjentów, którzy będą zmuszeni korzystać z prywatnej opieki zdrowotnej. Wydaje się więc, że strategia PiS w zakresie ochrony zdrowia to dość przypadkowa i bezmyślna jej prywatyzacja.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Dominika Tworek

Energylandia

Co najmniej raz w tygodniu
po napoje energetyzujące sięga
prawie połowa 15-latków

Napoje energetyzujące – znane powszechnie jako energy drinki lub energetyki – dostępne są w ponad 140 krajach świata i stają się coraz bardziej popularne. W 2020 r. ich rynek został wyceniony na niemal 46 mld dol. Eksperci prognozują, że za trzy lata jego wartość będzie prawie dwukrotnie większa, a w 2031 r. wyniesie 108 mld dol.

Energetyki są ogromnie popularne wśród młodzieży i młodych dorosłych mężczyzn. Gdy odwiedza się Żabkę w okolicach szkoły, łatwo dostrzec, że to jeden z najbardziej pożądanых produktów podczas przerw między lekcjami. Nic dziwnego, napoje te mają przecież dodawać witalności, poprawiać koncentrację i samopoczucie, w dodatku działają natychmiastowo. Mało kto myśli więc dwa kroki do przodu – że po nagłym przyplywie energii szybko zaobserwuje osłabienie i senność, a długotrwałe spożywanie energetyków może być bardzo niebezpieczne i uzależniające.

Po szybkim wypiciu puszkii napoju poziom kofeiny w organizmie gwałtownie wzrasta, co w skrajnych przypadkach może wywołać atak serca.

W napojach energetyzujących znajdziemy m.in. kofeinę, taurynę, guaranę, kompleks witamin z grupy B oraz cukier. Proporcje poszczególnych składników różnią się w zależności od marki, nierzadko jednak przekraczają zalecany limit spożycia. Choć ilość cukru nie odbiega znacząco od innych dostępnych na rynku napojów bezalkoholowych, jest na tyle wysoka, że regularne picie energetyków może sprzyjać rozwojowi cukrzycy i otyłości oraz uszkadzać szklivo zębów.

Kofeinowa iluzja

Podstawą pobudzającego działania energy drinków jest kofeina. Badania pokazują, że u osób regularnie spożywających bogate w nią napoje pojawiają się takie dolegliwości

jak kołatanie serca, wzrost ciśnienia krwi, uczucie niepokoju, ból w klatce piersiowej, płytki i przyśpieszony oddech, zawroty i ból głowy czy problemy żołądkowo-jelitowe. Ponadto znane są ostre zatrucia kofeiną, które objawiają się tachykardią i arytmia serca, migotaniem przedsionków, wymiotami, zaburzeniami snu lub zaostrzeniem chorób psychicznych. Kofeina jest środkiem psychoaktywnym – picie energetyków nie pozostaje więc bez wpływu na układ nerwowy. Do najczęstszych objawów neurologicznych należą drgawki, agresywne zachowania, halucynacje, stany lękowe, pobudzenie neuropsychiatryczne, a nawet psychozy.

Ryzyko niebezpiecznych powikłań rośnie w połączeniu tego rodzaju napojów z alkoholem, kokainami indyjskimi, innymi narkotykami, tytoniem czy farmaceutykami. Istotnym zagrożeniem jest także ich potencjalne działanie „otręźwiające”. To oczywiście iluzja. Dlatego osoby, które łączą energetyki z alkoholem, są bardziej narażone na zatrucie nim. A spożywana nadmiarowo kofeina może powodować uzależnienie.

Mała puszka energetyka zawiera mniej więcej tyle kofeiny, ile znajduje się w filiżance kawy. A bezpieczna dzienna dawka kofeiny dla zdrowych osób dorosłych wynosi 400 mg, co odpowiada średnio wypiciu czterech filiżanek kawy dziennie. Dlatego więc naukowcy ostrzegają nas przed tą substancją w napojach

energetyzujących, a przyzwalają na regularne picie małej czarnej?

Chodzi o prędkość spożywania napoju. Delektowanie się gorącą kawą to zupełnie co innego niż wypicie „na hejnał” puszkii chłodnego napoju. Poziom kofeiny w organizmie gwałtownie wtedy wzrasta, co w skrajnych przypadkach może wywołać atak serca. Poza tym przy obliczeniach ogólnego poziomu kofeiny w energy drinkach często nie uwzględnia się guarany – ekstraktu roślinnego, w którym obecne są duże ilości pobudzającej substancji (ok. 40 mg na 1 g). A oprócz wysokich dawek kofeiny napoje te zawierają substancje, które potęgują jej działanie. Takim stymulatorem jest m.in. tauryna.

Energetyk na śniadanie

Można by pomyśleć, że skoro dostarczana w formie energy drinków kofeina jest szczególnie niebezpieczna, światowy rynek napojów energetyzujących podlega rygorystycznym regulacjom. Nic bardziej mylnego! Amerykańska Agencja Żywności i Leków, która dopuszcza do obrotu wszystkie produkty klasyfikowane jako żywność, jest też odpowiedzialna za wyznaczanie norm dotyczących ich składu. Na przykład w kawie czy napojach zawartość kofeiny nie może przekraczać pewnego poziomu, by nie stać się potencjalną przyczyną problemów z sercem. Ale napoje energetyczne w klasyfikacji tej instytucji są suplementami diety, więc nie mają wyznaczonych maksymalnych granic. Tym samym producenci mogą łączyć kofeinę z innymi stymulantami, nie zważając na ryzyko zdrowotne dla konsumentów.



Spożywanie dużych ilości kofeiny jest szczególnie niewskazane w przypadku dzieci i młodzieży. Tymczasem z ubiegłorocznych badań Instytutu Matki i Dziecka (przeprowadzonych na reprezentatywnej próbie 7,7 tys. nastolatków) wynika, że co najmniej raz w tygodniu po energetyki sięga co dziesiąty 11-latek i prawie połowa 15-latków.

Najważniejsze, żeby rodzice rozumieli, że tak jak nie podają swojemu ośmioletniemu dziecku, ważącemu 25 kg, podwójnej kawy na śniadanie (lub zamiast niego), nie powinni też pozwalać mu wypijać z rana puszki czy butelki napoju energetyzującego. Europejski Urząd ds. Bezpieczeństwa Żywności wskazuje, że spożycie kofeiny u dzieci nie powinno być wyższe niż 2,5 mg na kilogram masy ciała dziennie, a w jednej puszcze energetyka może być jej nawet przeszło 100 mg – mówi Ewelina Chawłowska, specjalistka zdrowia publicznego z Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu.

Politycy niektórych krajów europejskich postanowili rozwiązać ten problem systemowo, zakazując sprzedaży napojów energetycznych dzieciom i wprowadzając

ograniczenia w ich reklamowaniu. W 2014 r. zrobiła to Litwa, a w 2016 r. Łotwa. Sprzedaż napojów energetyzujących była ograniczana również we Francji, Norwegii i Niemczech. Taki pomysł pojawił się ostatnio w Polsce.

Zakaz to nie wszystko

W lutym do Sejmu trafił projekt nowelizacji ustawy o zdrowiu publicznym złożony przez ministra sportu i turystyki Kamila Bortniczuka. Przewiduje on zakaz sprzedaży napojów z dodatkiem kofeiny oraz tauryny osobom poniżej 18. roku życia. Energetyków nie będzie można sprzedawać także na terenie szkół czy w automatach. Ponadto proponowany jest zakaz reklamowania tych napojów: w telewizji, radiu, kinie i teatrze między godz. 6 a 20 oraz na okładkach czasopism i różnych powierzchniach reklamowych. Autorzy projektu domagają się też zakazania reklamy energetyków, która byłaby skierowana do dzieci, łączyła spożywanie tych napojów m.in. z energią, wypoczynkiem, nauką lub pracą, sukcesem zawodowym lub życiowym albo z zawodami sportowymi.

Napoje energetyzujące nie zawierają nielegalnych substancji i w związku z tym nie można zakazać ich sprzedaży osobom dorosłym, podobnie jak alkoholu i papierosów, co nie oznacza, że są zdrowe. Dla dorosłych, zamiast zakazu, powinno się umieścić informację o substancjach znajdujących się w energetyku. Ale widoczną i zrozumiałą dla konsumenta – np. w przeliczeniu na filiżanki kawy czy łyżeczki cukru, bo wartości w miligramach kofeiny czy gramach cukru prawie nikt nie rozumie – komentuje dr Chawłowska.

Według ekspertki sprawdzonym pomysłem na redukcję spożycia energetyków jest opodatkowanie napojów z kofeiną i tauryną (co powoduje, że są one mniej atrakcyjne cenowo), a poza tym ograniczenie punktów sprzedaży wyłącznie do wybranych rodzajów sklepów czy tylko aptek. Dobrze byłoby, gdyby restrykcje dotyczyły umiejscowienia tych produktów w sklepach. Takich rozwiązań nie ma jednak w projekcie ustawy.

W opinii dr Chawłowskiej zakaz to nie wszystko. Oprócz proponowanych rozwiązań kluczem do zmniejszenia konsumpcji napojów energetycznych przez dzieci i młodzież jest edukacja, w tym edukacja rodziców na temat przyczyn i skutków spożywania tych napojów przez ich dzieci.

Rodzice powinni mieć świadomość nie tylko szkodliwości samych energetyków, ale i tego, że są one elementem diety. Chodzi o to, że dziecko wypija słodzony energetyk, który zaspokaja jego głód, a potem nie chce jeść wartościowego posiłku, dostarczającego nie tylko kalorii, ale również substancji odżywczych oraz przyswajalnych minerałów i witamin. Wartościowe jedzenie jest kluczowe dla dzieci i młodzieży, bo niedożywione jakościowo dziecko nie osiągnie swojego potencjału fizycznego i intelektualnego. Rodzice powinni dowiadywać się także, co zwiększa ryzyko, że ich dziecko sięgnie po energetyk. Oprócz reklamy czy powszechnej dostępności powodem może być to, że dzieci często nie dosypiają, bo do późnych godzin, a czasem do rana, grają w gry i potem dobudzają się ▶

► za pomocą energetyków, aby móc funkcjonować w szkole – podkreśla ekspertka.

Reklama w zeszycie

Proponowany zakaz krytykuje Polska Federacja Producentów Żywności, gdyż jest on „ingerencją w rynek sprzedaży, ale nie przynosi pożądanego skutku w zakresie ochrony dzieci”.

Młodych konsumentów przyciągają atrakcyjne opakowania i rozpoznawalne znaki graficzne.

– Tak daleko idące ograniczenia, zarówno w sprzedaży, jak i marketingu, nie mają naukowego uzasadnienia. Jak informuje Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego PZH-PIB, napoje energetyzujące nie stanowią głównego źródła dziennego spożycia kofeiny przez dzieci w Polsce. Według danych instytutu prawie 84% dziewcząt i 78% chłopców w wieku 10-17 lat nie spożywa w ogóle napojów

energetyzujących bądź spożywa je rzadziej niż raz w miesiącu – twierdzi dr Marta Tomaszewska-Pielacha, dyrektor ds. żywności i żywienia Polskiej Federacji Producentów Żywności.

Stanowisko to komentuje dr Ewelina Chawłowska: – Te informacje są wyrwane z kontekstu, bo Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego PZH-PIB od lat wyraźnie przedstawia zagrożenia związane ze spożywaniem

napojów energetyzujących przez dzieci i młodzież. Ponadto jest to typowy przykład manipulacji przekazem, bo z raportu instytucji wynika, że „2,1% dzieci w Polsce w wieku 3-9 lat regularnie spożywało napoje energetyzujące, natomiast w przypadku młodzieży (w wieku 10-17 lat) było to odpowiednio 35,7% chłopców i 27,4% dziewcząt”. Co jest zjawiskiem na bardzo dużą skalę,

istniejącym we wszystkich szkołach w Polsce. Wiemy, że ponad 30% całości sprzedaży energetyków to sprzedaż dzieciom i młodzieży. To bardzo duży rynek, którego producenci na pewno nie chcieliby stracić.

Ekspertka podsumowuje: – W Polsce spożycie napojów energetycznych już jest dość wysokie, ale na skutek agresywnej promocji może jeszcze wzrosnąć. U naszych czeskich sąsiadów sięga po nie aż 40% dzieci. Dlatego warto przyrzeć się coraz agresywniejszej promocji tych produktów. Nieetyczna reklama niejednokrotnie kierowana jest do dzieci – czego przykładem są energetyki reklamowane na okładkach zeszytów. Na konsumpcję energetyków wpływają także atrakcyjne opakowania, jaskrawe kolory czy rozpoznawalne znaki graficzne, na które reagują młodzi konsumenci. Wabikiem dla dzieci jest kolor i smak. Pamiętajmy, że rozmawiamy nie tylko o produkcie i jego składzie, ale również o zdrowiu dzieci i młodzieży, czyli o zdrowiu w kontekście społecznym.

Dominika Tworek



 **Filharmonia
Narodowa**

BARTŁOMIEJ NIZIOŁ

10/11.03

Orkiestra Filharmonii Narodowej
Andrzej Boreyko – dyrygent / Bartłomiej Nizioł – skrzypce
Enescu, Szymanowski, Bartók

Organizator  Strategiczny Mecenaz  Mecenaz  Sponsorzy  



Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Schizofrenia Zachodu

Czytam teksty o „liście hańby”, czyli o tych przedsiębiorstwach zachodnich, które nie wycofały się z Rosji po jej agresji na Ukrainę. Okazuje się, że lista jest bardzo długa, ponieważ nie wycofała się zdecydowana większość firm (ok. 90%). Przypominam sobie również apel prezydenta Macrona do francuskich biznesmenów, aby nie wycofywali się z Rosji, a także niechęć niemieckich biznesmenów do zmiany polityki Niemiec wobec Rosji i nacisk na to, by podtrzymywać z nią więzi handlowe. Wszystko to potwierdza jedynie moje przypuszczenie, że żądza zysku zdemolowała moralność Zachodu. A ponieważ jest ona nieodłącznie związana z mentalnością kapitalistyczną, można uznać, że ostatecznie to kapitalizm winien jest temu, że Zachód staje się coraz bardziej moralną wydmuszką. Wszak agresja Rosji na Ukrainę to sprawa moralnie jednoznaczna, wiadomo tu od samego początku, kto jest zły, i dlatego wspieranie Rosji w jakiegokolwiek formie jest haniebnie.

Mało tego, dziś już wiadomo, że wojna rosyjsko-ukraińska jest de facto wojną Rosji z całym światem Zachodu. Tymczasem ten ostatni zachowuje się jak dr Jekyll i pan Hyde. W dzień jest zdecydowany wspierać Ukrainę, w nocy pracuje na rzecz zwycięstwa Rosji. Jeśli przyjąć, że Robert Louis Stevenson przedstawił w słynnej powieści pewną skrajną formę schizofrenii (w praktyce zresztą rzadko spotykaną), to można przyjąć, że Zachód jest w niej głęboko pogrążony. Przy czym o ile w przypadku pojedynczego pacjenta jest ona źródłem cierpienia, o tyle w przypadku Zachodu spotyka się co najwyżej z cynicznym uznaniem jej nieuchronności, być może – lekkim niesmakiem. No tak, potępiamy Rosję, no tak, jesteśmy z nią de facto w stanie wojny, ale zarabiać trzeba. Taka jest natura biznesu, że nie kieruje się innymi względami niż zysk. Trzeba to zrozumieć.

Nie przyjmuję tej narracji. Dla mnie jest ona jedynie wyrazem moralnego upadku Zachodu. Rozumiem, że straty finansowe są bolesne dla każdego biznesu. Ale przecież przy opuszczeniu Rosji nie byłyby one aż tak wielkie, aby spowodować bankructwo. Co najwyżej zyski byłyby niższe, ot i wszystko. Nadto poszczególne państwa mogłyby je zrekompensować. Prawdopodobnie spotkałoby się to ze zrozumieniem podatników. A tak z jednej strony wysyłają one broń Ukrainie, a z drugiej udają bezsilnych wobec tych, którzy podtrzymują normalne funkcjonowanie Rosji i, płacąc podatki państwu rosyjskiemu, przyczyniają się do tego, że gospodarcza presja Zachodu na Rosję okazuje się beznadziejnie nieskuteczna. Przeciętny Rosjanin

z Moskwy czy Petersburga nie dostrzega żadnej wynikającej z wojny niedogodności w swoim życiu. Może wszak wciąż kupować w ulubionych sklepach, takich jak Auchan czy Benetton, i zaopatrywać się w cenione towary, takie jak czekolada Milka.

Nie przyjmuję też tłumaczenia poszczególnych przedsiębiorstw i korporacji, że pracują one w Rosji dla zwykłych ludzi, a nie dla Putina, że muszą dbać o swoich pracowników itd. Niestety, wszystko wskazuje, że owi zwykli Rosjanie są podporą putinowskiego systemu totalitarnego z powodu ich autentycznej nienawiści do Zachodu i oportunistu. Najwyraźniej to nie tak, że jest jakiś zły Putin i dobrzy Rosjanie, którzy go nie chcą. W tym sensie trzeba niestety spojrzeć na nich tak, jak Daniel Goldhagen spojrział na Niemców w słynnej książce „Gorliwi kaci Hitlera. Zwykli Niemcy i Holocaust”, w której pokazał, jak wielkim poparciem cieszył się Hitler w społeczeństwie niemieckim i jak gorliwymi wykonawcami jego woli byli tzw. zwyczajni Niemcy. Obawiam się, że per analogiam moglibyśmy dzisiaj mówić o „zwyczajnych kaczach Putina”. W takim jednak razie powoływanie się na interes

To kapitalizm winien jest temu, że Zachód staje się coraz bardziej moralną wydmuszką.

Rosjan przez przedsiębiorców pozostających w Rosji to nic innego jak szukanie wymówek dla przekonania, że wojna wojną, zło złem, a zarabiać trzeba, wchodząc w konszachty nawet z diabłem.

Niezwykle to smutne. Wskazuje bowiem, że Zachód całkowicie utracił busolę moralną i podporządkował się logice działania kapitalizmu, z definicji obojętnego na kwestie etyczne. To on, a nie żadne wartości moralne: konieczność przeciwstawienia się złu, walka z przemocą czy popieranie demokracji, jest faktyczną siłą rządzącą Zachodem. Tamto to wyłącznie bajki, które Zachód wciąż opowiada o sobie, podczas gdy jest do cna skorumpowany przez umiławanie pieniędzy i wygodnego życia. Jeśli przesadzam z ocenami, to jedynie trochę. A kieruje mną wielkie rozczarowanie i chęć uświadomienia sobie i innym, że niczego się nie nauczyliśmy w ciągu ostatnich stu lat. Jak bardzo aktualne są wciąż słowa Lenina, że „kapitałiści sami sprzedadzą nam sznur, na którym ich powiesimy”! Jednak ci, którzy się nie uczą, są skazani na klęskę. Dlatego sądzę, że w dłuższej perspektywie Zachód może przegrać. Obym się mylił. ■

Historia nie jest pustą wyliczanką dat i nazwisk

Wiedeńska Stacja Naukowa PAN
otwiera się na polskich młodych
naukowców i studentów

Rozmawia Beata Dżon-Ozimek

Mija rok, odkąd został pan szefem Stacji Naukowej Polskiej Akademii Nauk w Wiedniu.

– Objąłem ją po dyrektorsze Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie, prof. Igorze Kąkolewskim, a to jedna z sześciu takich stacji zagranicznych. Zarządzał nią przez trzy miesiące po zakończeniu kadencji poprzedniego dyrektora, prof. Arkadiusza Radwana. Jednym z dokumentów, jakie musiałem przygotować w procedurze konkursowej, była wizja funkcjonowania i rozwoju stacji. Skoncentrowałem się na działalności naukowej i popularyzatorskiej, nie zdając sobie bliżej sprawy z faktycznego charakteru tej pracy. To był na pewno trudny rok. Przez pierwsze miesiące działałem w trybie „gaszenia pożarów”, wdrażałem się do nowych zadań, poznawałem procedury obowiązujące w PAN. Placówka wychodziła także z pewnego bezruchu wymuszonego przez pandemię, brakowało zastępcy ds. administracyjno-finansowych, było parę wakatów.

Ożywienie i różnorodność – tak bym podsumowała ubiegły rok w wiedeńskiej stacji PAN.

– Cieszę się z tej opinii. Wydaje mi się, że te pierwsze 10 miesięcy mogę sobie policzyć na plus. Udało nam się z całym zespołem zapewnić normalne funkcjonowanie stacji i zorganizować stosunkowo dużo imprez naukowych. Jestem historykiem,

wcześniej wielokrotnie bywałem gościem w stacji na zaproszenie dyrektora, prof. Bogusława Dybasia. Stacja, będąca swoistym attachatem naukowym, nie może jednak się koncentrować na jednej dziedzinie nauki. Środowisko mieszkających tu Polaków, Klubu Profesorów i młodych naukowców z zadowoleniem przyjęło intensyfikację i organizowanie tu konferencji bądź dyskusji panelowych poświęconych m.in. historii, nauczaniu o Holokauście i zbrodniach przeciwko ludzkości, ale lista różnorodnych wydarzeń jest długa.

Trwa rozpętana przez Rosję wojna, jest cały czas w tle.

– Mój pierwszy pomysł autor-ski związany był właśnie z wojną na Ukrainie, gdzie także dochodzi do masowych zbrodni wojennych. Jak nauczać o tych tragicznych wydarzeniach zarówno w Polsce, jak i w innych krajach? Jak uwrażliwić młodych ludzi na tę tematykę, żeby to się nie powtarzało? Na Uniwersytecie Wiedeńskim zorganizowaliśmy wspólnie z Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie oraz m.in. ukraińskim Ministerstwem Kultury i Informacji

Prof. Piotr Szlanta – historyk i politolog z Uniwersytetu Warszawskiego, zajmujący się dziejami przełomu XIX i XX w., stypendysta m.in. Freie Universität Berlin i Fundacji Humboldta. Dyrektor Stacji Naukowej PAN w Wiedniu. Jego ostatnie publikacje to m.in. „Polakożerca» kontra »wrogowie Rzeszy«. Cesarz Wilhelm II i Polacy 1888-1918” (Difin, Warszawa 2019) oraz „Tannenberg 1914” (Bellona, Warszawa 2022).



PROF. PIOTR SZLANTA

– dyrektor Stacji Naukowej PAN w Wiedniu

dużą wystawę poświęconą wojnie na Ukrainie oraz jej historycznym uwarunkowaniom. Wystawa spotkała się z dużym zainteresowaniem, przybył np. desygnowany wtedy rektor Uniwersytetu Wiedeńskiego prof. Sebastian Schütze, udało się także nawiązać kontakt m.in. z Institut für den Donauraum und Mitteleuropa, Collegium Hungaricum i Instytutem Nauk o Człowieku.

Wiedeń to siedziba wielu instytucji badawczych, naukowych, eksperckich, jest z kim nawiązywać współpracę.

– Z nowych kontaktów mamy wspólne inicjatywy z Instytutem Wienthala, z jego nowym dyrektorem organizujemy w marcu konferencję dotyczącą uchodźców wojennych w Europie Środkowo-Wschodniej

w XX i XXI w. Dobrze, byśmy także odpowiadali na pewne zapotrzebowanie ze strony polskiej racji stanu. Od wielu lat zarówno ambasada RP, jak i Instytut Polski starają się lobbować na rzecz odpowiedniego upamiętnienia ofiar obozu koncentracyjnego w Gusen, w związku z tym od strony naukowej też powinniśmy się w to angażować. Dowodem na to była konferencja poświęcona nauczaniu o Holokauście i innych zbrodniach przeciwko ludzkości popełnionych podczas II wojny światowej, zorganizowana w stacji w październiku 2022 r. we współpracy m.in. z muzeum w dawnym obozie koncentracyjnym w Mauthausen. Zorganizowaliśmy również wspólnie z Fundacją im. Janusza Kurtyki dużą konferencję poświęconą Polsce i Austro-Węgrom w 1918 r. Gościli na niej m.in. prof. Andrzej Chwalba, dr Kamila Ruszała i dr Damian Markowski.

Wykłady odbywały się w kilku językach, były sympozja, konferencje, wystawy, pokazy filmów. Ciekawa jest, jaki jest odzew publiczności.

– Jedną z pierwszych większych imprez, jakie tutaj współorganizowaliśmy u boku Instytutu Polskiego, z którym mamy doskonałe relacje, była ta w Roku Romantyzmu na stulecie wydania „Ballad i romansów” Adama Mickiewicza. W instytucie czytano Mickiewicza w różnych językach, a u nas była konferencja na temat roli poetów romantycznych w ruchach politycznych XIX w., i to się udało. Instytut zaprosił nas też do swojego namiotu w ramach drugiej Nocy Nauki, namiot znajdował się w prestiżowej lokalizacji, tuż obok pomnika Marii Teresy, pomiędzy Muzeum Historii Sztuki i Muzeum Historii Naturalnej, w centrum starego Wiednia. Nasze stanowisko odwiedziło kilkaset osób. Przysłuchiwałem się tam na naszej wystawie o Marii Skłodowskiej-Curie rozmowie po polsku dwóch młodych, jak potem się okazało, biologów, które były zaskoczone, widząc plakat Polskiej Akademii Nauk. Nie miały pojęcia, że jesteśmy w Wiedniu. Zaprosiłem je do stacji. Niestety, nie odezwały się później.

Czy to znaczy, że wiedeńska stacja PAN szuka kontaktu z młodzieżą, młodymi ludźmi nauki?

– Bardzo chcemy w marcu spotkać się z młodymi ludźmi studiującymi bądź prowadzącymi badania. Cel jest jeden – dowiedzieć się, jakie mieliby potrzeby, oczekiwania wobec naszej stacji, bardzo zależy nam na tym, by pomagać młodym naukowcom, naukowcom. Dajemy możliwość np. wygłaszania wykładów, publikowania tekstu po niemiecku na łamach naszego rocznika. Podobne spotkanie planujemy dla studentów Erasmusa. W końcu byłem belfrem... Inną metodą dotarcia do szerszej publiczności i ożywienia stacji jest pośredniczenie w kontaktach między instytucjami polskimi i austriackimi.

Trudno dać się poznać bez aktywności i obecności w internecie. Choć przyznaję, strona PAN nieco „ożyła”.

– Chcemy poszerzyć krąg naszych odbiorców, odświeżyć stare znajomości, przyciągnąć kolejne osoby. Myślimy o nowych kanałach komunikacyjnych. Muszę przyznać, że jeśli chodzi o layout naszej strony internetowej, to wydaje mi się, że za Kazimierza Wielkiego był lepszy (śmiej). Centrala obiecała nam

Pomysł, żeby historia najnowsza była oddzielnym przedmiotem, jest godny rozpatrzenia. Bardzo często uczniowie przed maturą nie dochodzą nawet do II wojny światowej.

w pierwszym kwartale tego roku nowe narzędzie do stworzenia nowoczesnej strony. To już niedługo. Mam nadzieję, że nowy układ naszej strony także spowoduje, że będzie lepiej pozycjonowana i więcej osób dowie się o działalności naszej stacji.

Zdaje się, że biblioteka PAN w tej pięknej, starej siedzibie przy Boerhaavegasse 25 w 3. Dzielnicy Wiednia też zyskuje na znaczeniu.

– Tak, zatrudniliśmy niedawno bibliotekarza, który jest pełen pomysłów i zapału do pracy. W 2019 r., kiedy mieszkalem przez miesiąc w stacji, będąc na kwerendzie archiwalnej, uczestniczyłem tutaj w wieczorze literackim. Właśnie ruszamy z nową odsłoną tzw. Klubu Książki i gościmy autorów, którzy zgodzili się do Wiednia przyjechać. Będziemy dyskutowali o różnych ciekawych pozycjach, jakie pojawiły

się na rynku, proszę trzymać za nas kciuki. Już mamy duży odzew.

To z kim spotka się w PAN publiczność zainteresowana książkami?

– Studiowałem historię na Uniwersytecie Warszawskim 30 lat temu i na moim roku obrodziły co najmniej dwa talenty literackie, mianowicie Monika Milewska oraz Maciej Łubieński. Dr Milewska to historyczka, antropolożka, również autorka powieści, dramatów, jej publikacje to np. „Łatawiec z betonu”, a ostatnio „Ślepa kuchnia. Jedzenie i ideologia w PRL”. Wydaje mi się, że to dobry temat – kuchnia PRL. Sam doskonale PRL pamiętam, to może być impuls do ciekawej dyskusji, właśnie kuchnia, polityka, życie codzienne. Maciek, który jest też satyrykiem, napisał z kolei świetną książkę o swoim rodzie Łubieńskich, jednym z głównych rodów magnackich I Rzeczypospolitej. Przy okazji można pomówić o relacji między chłopami a magnatami i szlachtą także z modnej ostatnio perspektywy chłopów, jak to mamy w książce „Chamstwo” Kacpra Pobłockiego. Większość Polaków ma przecież chłopskie korzenie.

Stosuje pan feminatywy, co wciąż nie jest zbyt popularne, również wśród naukowców.

– Czasem jednak historyczka woli być nazywana historykiem. Język jest żywy, więc nie bójmy się uprawnionego promowania kobiet np. w nauce. Sam tutaj mam kilka współpracowniczek i bardzo je cenię.

Wspomniał pan, że był pan belfrem. Jest pan też autorem podręczników do historii, ostatni wydano w 2022 r.

– Mam nadzieję, że po zakończonej szczęśliwie misji w Wiedniu wrócę do nauczania, gdyż bardzo lubię pracę ze studentami. Mogłbym także się oddać pisaniu podręczników, wcale bym się nie obraził, gdybym mógł się zaszyć na mojej działce w Beskidzie Niskim i żyć z ich pisania. Chyba wychodzi mi to przyzwyczajenie, skoro wydawnictwo co kilka lat zwraca się do mnie o napisanie ▶

▶ kolejnej książki. Jestem też zwolennikiem mechanizmów wolnorynkowych i myślę, że dobrze by było, aby na rynku było kilka podręczników, spełniających podstawę programową, napisanych dobrym językiem, które przeszły odpowiednie recenzje i zostały dopuszczone. Tak, aby nauczyciele mogli sami wybrać podręcznik odpowiedni dla siebie.

Pewnie zna pan podręcznik „Historia i teraźniejszość” prof. Wojciecha Roszkowskiego?

– Nie będę się do niego odnosił w tej rozmowie, ale wydaje mi się, że sam pomysł, aby uczyć najnowszej historii jako oddzielnego przedmiotu, jest godny rozpatrzenia. Przez 20 lat prowadziłem kursy przygotowawcze dla kandydatów na studia oraz do matury i obserwuję pewną prawidłowość. Bardzo często uczniowie szkół średnich nie dochodzą przed

musi znać dzienną datę lądowania Amerykanów na wyspie Guadalcanal? Moim zdaniem nie, nawet na poziomie rozszerzonym. Współcześnie mamy gdzie sięgać po szczegółowe informacje, wystarczy telefon komórkowy z dostępem do internetu.

To chyba miejsce na pytanie, po co nam historia?

– Moja profesor, Krystyna Wasilewska, z liceum im. Traugutta w Warszawie zawsze mówiła, że historyk jest nie od tego, żeby wszystko wiedzieć, ale od tego, żeby wiedzieć, gdzie znaleźć to, czego nie wie. Dlatego bardziej powinniśmy uczyć myślenia, łańcuchów przyczynowo-skutkowych niż dat i nazwisk. Tu wspomnę inną moją wspaniałą nauczycielkę, panią Czesławę Miazgę ze Szkoły Podstawowej nr 225 na warszawskiej Woli, która potrafiła np., a to była pierwsza połowa lat 80.,

i działaczy społecznych. Koleżanka z mojego uniwersytetu zarzuciła mi, że nie ma tam żadnej kobiety, ale miałem zrezygnować z Piłsudskiego, Dmowskiego czy Paderewskiego? No, może to moja słabość, lecz nie mogłem wskazać zasłużonej w walce o niepodległość kobiecej postaci tej samej rangi co wymienione nazwiska.

Co po roku w Wiedniu polubił pan tutaj, gdzie pan bywa, odpoczywa?

– Bywam w operze, stacja PAN jest świetnie położona przy przystanku tramwajowym, a spacerem do opery idę ze 20 minut. Mam kilka ulubionych kościołów, do których zaglądam, niedaleko stacji położony jest też Belweder z pięknym, barokowym parkiem. Raz na jakiś czas lubię wpaść do kościoła na Kahlenbergu. Lubię Mariazell, sanktuarium maryjne w Styrii. Jeżdżę tam co kilka miesięcy, aby nabrać sił duchowych i złapać właściwy dystans do tego, co robię. Miałbym ochotę pojeździć trochę w Alpy, ale niestety moja rodzina została w Warszawie i w związku z tym staram się raz na kilka tygodni być przynajmniej na weekend w Polsce. Przygarniałby mnie do tej pory działania administracyjne, więc w soboty staram się nadgonić trochę z własną pracą naukową.

A czy w mieście znanym z kawiarni pija pan kawę w jakimś ulubionym miejscu, choćby przy Schwarzenbergplatz, intrygującym szpiegowskimi kontekstami?

– Rozczaruję panią (śmiech). Najczęściej robię sobie zwykłą kawę, taką zalewaną. I piję w mieszkaniu, siedząc nad książkami, więc nie mam tu jakiejś ulubionej kawiarni. Tylko kiedy wracam w niedzielę z kościoła polskiego przy Rennweg albo z katedry, wstępuję do kawiarni sieciówki Anker, gdzie mają bardzo dobrą kawę i ciastka. Z pewnością są bardziej prestiżowe wiedeńskie kawiarnie, ale może odkryję je dla siebie w późniejszym czasie?

Czego panu życzyć w drugim roku szefowania Stacji Naukowej PAN w Wiedniu?

– Cierpliwości i na pewno jak najkrótszych okresów rozłąki z rodziną. I więcej czasu na pracę naukową.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

Historyk jest nie od tego, żeby wszystko wiedzieć, ale od tego, żeby wiedzieć, gdzie znaleźć to, czego nie wie.

maturą nawet do II wojny światowej, więc dla nich PRL jest czymś abstrakcyjnym. Kiedy jeszcze były gimnazja, to ci uczniowie mieli np. trzy razy kurs historii starożytnej Egiptu. Słyszałem ostatnio nawet dowcip, że to chyba spiszek rządu egipskiego, by ci, co mają maturę, wiedzieli coś o Egipcie i pojechali tam na wakacje, a o Gomułce czy Gierku niekoniecznie. Połączenie WOS i historii po II wojnie światowej nie wydaje mi się zatem rozwiązaniem, które należałoby z gruntu odrzucić.

Na czym polega napisanie dobrego podręcznika do historii? Bo to nie jest „tylko” pisanie książki.

– To zupełnie inne zadanie, inne kryteria. Po pierwsze, trzeba pamiętać, że podręcznik ma stanowić narzędzie w procesie nauczania, musi być przyjazny dla ucznia i dla nauczyciela. W końcu to ten ostatni – czy najczęściej ta ostatnia – decyduje o tym, który podręcznik polecić uczniom. Boleję nad tym bardzo, że podręczniki historii są przeładowane faktograficznie. Uczeń powinien znać główne etapy działań wojennych na Pacyfiku w II wojnie światowej, zgoda. Ale czy

zamieniać się z koleżankami i robić nam trzy lekcje historii z rzędu, podczas których dyskutowaliśmy m.in. na temat sensu powstania warszawskiego. W ich trakcie my, nastoletnie dzieci, debatowaliśmy w wypiekami na twarzy. Ona mnie w dużej mierze uformowała, pokazała, że historia jest nie pustą wyliczanką dat i nazwisk, ale dziedziną wiedzy, w której dyskutuje się na temat przyczyn i skutków, krytycznie podchodząc do źródeł informacji. To daje umiejętność krytycznego myślenia i kulturalnej dyskusji. Tego powinna uczyć historia i po to, jak sądzę, jest potrzebna społeczeństwu.

Brał pan udział w tworzeniu anglojęzycznej encyklopedii I wojny światowej.

– Byłem odpowiedzialny za rejon Europy Środkowo-Wschodniej, dość dziwnie zresztą zdefiniowany, bo należały do niego obok Polski, Ukrainy i Białorusi państwa nadbałtyckie i Finlandia. Encyklopedia nie mogła strasznie się rozrosnąć, mimo że nie była drukowana. Musiałem dokonać autorskiego wyboru 10 polskich postaci z list polityków, wojskowych

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Zupełnym przypadkiem wysłuchałem w którejś rozgłośni reklamy, przy czym dopiero po chwili zorientowałem się, że to reklama. Słowa, które tam padały, kompletnie nie kojarzyły mi się z kupowaniem czy konsumowaniem. Postęp, progres, szybszy postęp. Nagle słowa przypisane do pewnej wizji politycznej, rozwojowej, do opowieści o zmienianiu świata na lepsze, wpadają w łapska copywriterów. I opowiadają nie o tym, jak nasze życie może być lepsze, jakie rozwiązania czy instytucje będą temu sprzyjać, tylko o tym, dlaczego warto kupić określony model samochodu konkretnej marki. Zawłaszczenie, przejęcie pojęć, znaczeń? Może tylko twórcze wykorzystanie słów leżących odłogiem, zapomnianych, niechcianych w ostatnich latach?

Ale na tym obserwacji zjawiska nie koniec. Piszę felieton w okolicach 1 marca i – co oczywiste – nie pochylam się nad uprzywilejowanym losem pamięci o „żołnierzach wyklętych”, którą gorliwie kultywuje nasze państwo z chorych pobudek – przywołując się do skrajnej prawicy. Przekonany jestem, że nadejdzie czas, kiedy zapomnimy o takim czczeniu fałszywych bohaterów,

Na dziesiątkach manifestacji lokatorskich nie mogło nie pojawić się hasło: „Mieszkanie prawem, nie towarem!”. Można powiedzieć, że było wyciągnięte wprost z konstytucji, gdzie w art. 75 czytamy: „Władze publiczne prowadzą politykę sprzyjającą zaspokojeniu potrzeb mieszkaniowych obywateli, w szczególności przeciwdziałają bezdomności, wspierają rozwój budownictwa socjalnego oraz popierają działania obywateli zmierzające do uzyskania własnego mieszkania”. A że zapis ten od 30 lat jest de facto martwy? Cóż, wolny rynek nie lubi brać jeńców, a jest przecież religią panującą.

I teraz, w tych dniach, słyszymy ćwierknięcie Donalda Tuska „Mieszkanie prawem, nie towarem”, opakowane w licytacyjną (w konkurencji do obietnic PiS) ofertę zerowo oprocentowanych kredytów i przejęcia przez państwo ciężaru opłacenia bankowych marży i oprocentowania. Powiedzieć, że to coś kompletnie innego niż to, za co oddała życie Brzeska, to nie powiedzieć nic. Jeden z największych warszawskich deweloperów, Józef Wojciechowski, skomentował tę

Mieszkanie prawem, a nie, pozornie tańszym, towarem

nierzadko zbrodniarzy. W okolicach 1 marca wspominam od ponad dekady historię niewyjaśnionego do dziś zabójstwa Jolanty Brzeskiej, aktywistki ruchu lokatorskiego, ofiary dzikiej reprivatyzacji w Warszawie, kobiety, którą nieznani sprawcy spalili żywcem w Lesie Kabackim w marcu 2011 r. Oprócz samej zbrodni wciąż czeka na wyjaśnienie, a być może wyroki, sposób nieprowadzenia śledztwa. Potem były jeszcze teatralne, tromtadrackie pohukiwania posła Jakiego, który w imieniu PiS używał afery reprivatyzacyjnej jako pałki do okładania Platformy. Niestety, realne osiągnięcia okazały się albo iluzoryczne, albo żadne. I po raz kolejny ofiary reprivatyzacji zostały na bruku, a do wyjaśnienia sprawy zabójstwa Brzeskiej nawet się nie zbliżono.

Nie jest tak, że nic się nie wydarzyło. Miasto Warszawa upamiętniło zamordowaną działaczkę lokatorską skwerkiem w okolicy ulicy Iwickiej i Zakrzewskiej, w odległości niespełna kilometra od miejsca, w którym mieszkała, od domu, który po 1945 r. z ruin podnosił jej ojciec, o które walczyła z „nowymi” właścicielami i skąd ją uprowadzono, żeby zamordować. Skwerek Brzeskiej to miejsce, które w 1989 r. było plenerową częścią redakcji nowo powstałej „Gazety Wyborczej”. Tam w piaskownicy (to jeszcze wcześniej żłobkowy ogródek) odbywały się kolegia redakcyjne. Sama „Gazeta”, po latach, podobnie jak niemal wszystkie inne opiniotwórcze media w Warszawie, odmówiła publikacji reportażu Izby Michałowicz o ruchu lokatorskim, w którym Brzeska była jedną z głównych bohaterek. Reportaż doczekał się publikacji dopiero po śmierci Brzeskiej. A mógł ocalić życie.

zapowiedź następująco: „Donald Tusk znalazł dobry patent na kryzys w naszej branży. Może to i nawet zbyt duży ukłon w naszą stronę...”. Problemem państwa polskiego nie jest kryzys branży deweloperskiej. Problemem jest to, że nasze państwo systemowo porzuciło konstytucyjne gwarancje zadbania o zaspokojenie potrzeb mieszkaniowych Polaków i Polek. W konsekwencji mamy zapaść mieszkalnictwa: brak mieszkań na wynajem, horrendalnie wysokie koszty najmu, pozbywanie się mieszkań komunalnych, niebudowanie nowych, tolerowanie biznesu spekulacyjnego na rynku mieszkań, w tym istnienia prawie 2 mln niezamieszkałych lokali (wiemy to z ostatniego spisu powszechnego GUS). Oferta szefa PO zbudowana jest na przejęciu ulicznego hasła i zrobieniu z tego prezentu dla branży deweloperskiej i najbogatszych, którzy zostaną uwiązani trochę tańszymi kredytami na całe życie.

Problem mieszkaniowy można rozwiązać, wzorując się choćby na Wiedniu. Jedno przejęte, fałszywie brzmiące hasło nie jest rozwiązaniem systemowym. Ale było osiem lat na wypracowanie sensownych propozycji przez opozycję. Kończy się, jak zwykle w roku wyborczym, galopadą tweetów zamiast projektami przemysłanych, systemowych regulacji oraz przebudowy czegoś, co nazywamy polską szkołą patodeweloperki. Prawo do mieszkania jest kwestią zbyt ważną, żeby powierzać ją deweloperom i fantasmagorycznemu „wolnemu rynkowi”. Tusk tym ruchem postanowił wytrącić ważny postulat polityczny lewicy, a nie zaradzić realnemu, dotkliwemu problemowi. ■

Mateusz Mazzini

Peru – rewolucja chaosu

Prezydent odmawia odejścia z urzędu,
parlament nie rozpisuje wyborów,
a rolnicy stoją na barykadach

To, co 8 grudnia 2022 r. zrobił były już prezydent Pedro Castillo, nie bez przyczyny opisano, we właściwym dla tej sytuacji groteskowym tonie, jako „najkrótszą dyktaturę w historii Ameryki Południowej”. Pełniący jeszcze wówczas obowiązki głowy państwa były nauczyciel i związkowiec, który z braku jakiegokolwiek doświadczenia w polityce uczynił przez rok sprawowania władzy swój znak rozpoznawczy, chciał rozwiązać parlament, kiedy tylko dowiedział się, że legislatura zamierza usunąć go z urzędu. Zawiała struktura peruwiańskiej konstytucji pozwala na taki ruch, a że Castillo był w parlamencie zdecydowanie niepopularny, jego impeachment należało uznać za przesądzone.

Prezydent próbował uciec do przodu i wysłać parlamentarzystów na wakacje, ale zamiast rozpisania nowych wyborów – zaprzagnął reformy konstytucji i praktycznego jedynowładztwa. Stacja CNN podawała nawet, że zamierzał w tym celu wykorzystywać wojsko, rozmawiał z co najmniej dwoma generałami z dowództwa sił

z policją, potem z przeciwnikami politycznymi, a na końcu nawet z gangami, próbującymi zarobić na kryzysie poprzez zwiększenie przemytu narkotyków i ludzi. W pewnym momencie zaczęło to wyglądać, jakby wszyscy chcieli walczyć ze wszystkimi, a żadne sojusze, nawet najbardziej trwałe, nie były już aktualne. Im dłużej sympatycy eksprezydenta ścierali się z mundurowymi, tym brutalniejsze stawały się te konfrontacje. Według Amnesty International do końca lutego śmierć poniosło co najmniej 60 osób, głównie rolników, przedstawicieli klasy ludowej i rdzennych grup etnicznych, a więc elektoratu Pedra Castilla.

Potwierdza to bezpośrednia przyczyna protestów, które wybuchły w grudniu. Gdy Castillo został aresztowany, część jego wyborców domagała się wypuszczenia go na wolność i przywrócenia na urząd, a kiedy okazało się to nierealne, tłum zmienił slogan na żądanie przyspieszonych wyborów. Boluarte była nawet skłonna przychylić się do tego rozwiązania, przebiegała o możliwym głosowaniu w kwietniu, ale parlament był już znacznie bardziej ostrożny, mówiąc, że jeśli Peruwiańczycy mają iść do urn, to najwcześniej pod koniec 2023 r. Powód był prosty – w Peru na władzę wykonawczą i ustawodawczą głosuje się jednocześnie, a deputowani nie mieli ochoty ponownie przekonywać wyborców w kampanii. A ponieważ przez ostatnie trzy miesiące żadna ze stron konfliktu nie ustąpiła ani o centymetr, sytuacja jest patowa. Boluarte odmawia odejścia z urzędu, parlament odrzuca ustawy o rozpisanii przyspieszonych wyborów, a rolnicy stoją na barykadach i blokują autostrady.

Co sześć dni nowy minister

W tle tego konfliktu kryje się jednak coś znacznie większego, a mianowicie trwająca od setek lat nienawiść na tle klasowym i rasowym, w Peru szczególnie wyraźna. To kraj, który na początku historii niepodległej Ameryki Łacińskiej był regionalną potęgą, ze znaczącym sektorem handlowym i liczną, zasobną burżuazją. Mieszczanie od zawsze nadawali ton tutejszym rozgrywkom politycznym, mimo że aż 20% obywateli nie postępuje się

Od grudnia do końca lutego w protestach zginęło co najmniej 60 osób, głównie rolników, przedstawicieli klasy ludowej i rdzennych grup etnicznych.

zbrojnych o ewentualnym wyprowadzeniu mundurowych na ulicę. Nie wyszło, bo członkowie parlamentu byli po prostu szybsi. 101 ze 130 deputowanych zagłosowało za pozbawieniem go stanowiska głowy państwa, a finał tej historii ilustrowały zdjęcia Castilla w kajdankach, odwołanego przez policjantów do aresztu.

Prezydent kontra parlament

Od tych wydarzeń minęły trzy miesiące i w Peru był to czas trudnego do wyobrażenia chaosu, nawet jak na warunki latynoamerykańskie. Zaraz po odebraniu władzy prezydentowi w interiorze wybuchły masowe protesty, podczas których zwolennicy Castilla najpierw ścierali się

Nad tym chaosem próbuje zapanować prezydent Dina Boluarte, postać co najmniej zagadkowa. Wcześniej była zastępczynią Castilla, reprezentowała tę samą partię, teraz jednak głośno krytykuje dawnego szefa. Co wcale nie przysparza jej popularności. Uśrednione wyniki sondaży pokazują, że ponad dwie trzecie Peruwiańczyków ją z kolei ocenia krytycznie i obwinia przede wszystkim o pogorszenie sytuacji ekonomicznej kraju oraz nadmierne używanie przemocy przez służby mundurowe. Jeszcze gorzej, jak pisze James Bosworth na stronie World Politics Review, oceniany jest peruwiański parlament, co jednoznacznie pokazuje, że obywatele mają po prostu dość całej klasy politycznej.



Demonstracja przeciwko rządowi
prezydent Diny Boluarte.
Lima, 31 stycznia 2023 r.

na co dzień językiem hiszpańskim, używając zamiast tego keczua, ajmara lub innych języków swoich mniejszości etnicznych. Te z kolei stanowią 13% populacji i niestety dominują we wszystkich statystykach ukazujących marginalizację społeczną, od bezrobocia, przez uzależnienie od alkoholu i śmiertelność na choroby zakaźne, po niski poziom edukacji. Nieproporcjonalnie dużo przedstawicieli mniejszości zmarło od policyjnych kul – według Amnesty International aż 80% ofiar bieżących protestów wywodzi się z jednej z grup etnicznych lub z tzw. populacji *campesinos*, słabiej wykształconych, najczęściej związanych z rolnictwem mieszkańców prowincji Peru.

Castillo był pod każdym względem ich prezydentem. W lipcu 2021 r. wybrano go na urząd, co miejski establishment uznał za niebezpieczny eksperyment demokratyczny. Już wtedy niektórzy chcieli wyrzucić go poza nawias. Keiko Fujimori, rywalka w walce o prezydenturę i córka byłego dyktatora Peru, Alberta Fujimoriego, domagała się

unieważnienia wyborów, zarzucając Castilloowi fałszowanie kart do głosowania i zwożenie zwolenników na wielokrotne głosowanie na prowincji. Wtedy się nie udało, ale tamto starcie stało się podłożem późniejszych konfliktów, bo Castillo rządził krajem w trybie permanentnej paranoi. Jego prezydentura była rekordowa pod względem personalnym, ministrów w rządzie miał prawie 60, wymieniał średnio jednego co sześć dni. Nie ufał nikomu poza najbliższymi współpracownikami, co później okazało się jednym z powodów jego klęski. Kompletnie nie wiedział, jak nawigować w zawodowej polityce, przez co – świadomie lub nie – został wciągnięty w skandale korupcyjne, m.in. przy kontraktach na zamówienia publiczne w sektorze budowlanym. Sam twierdzi, że jest niewinny, a jeśli popełnił jakikolwiek błąd, wynikał on, no właśnie – z braku doświadczenia, za co przecież nie może być winiony. Pokrętna to logika, zwłaszcza z punktu widzenia wymiaru sprawiedliwości, ale w silnie spolaryzowanym społeczeństwie zdaje egzamin. Jeśli dodać do tego,

że Castillo jest podręcznikowo anty-establishmentowy, nietrudno przewidzieć dalszy rozwój sytuacji.

Mniej miedzi, więcej kokainy

Jego wyborcy nie wierzą ani w zarzuty korupcyjne, ani w próbę złamania zapisów konstytucji. Swój gniew jednak kierują teraz głównie na Dinę Boluarte, która mogła na kryzysie zyskać najwięcej, ale już widać, że tak się nie stanie. Dwa i pół miesiąca po objęciu urzędu stała się de facto polityczką niewybieralną, a wszystkie proponowane przez nią strategie rozwiązania kryzysu społecznego okazały się jak dotąd fiaskiem. Najpierw próbowała stłumić demonstracje siłą, co skończyło się jeszcze większą erupcją przemocy. Potem stworzyła narrację, jakoby inspiratorami zamieszek byli bliżej niezidentyfikowani „zagraniczni aktorzy wpływu”, a nawet „terroryści”. Od biedy w tę drugą wersję wydarzeń można by uwierzyć, bo, jak donosi specjalistyczny portal o przestępczości InSight Crime, Peru zanotowało w ubiegłym roku rekord produkcji i eksportu kokainy przez

działające tam kartele. Zadymy na ulicach okazały się doskonałą okazją do przypomnienia o sobie nawet dla wracającej z politycznych zaświatów, dawno niewidzianej maoistycznej partyzantki Świetlisty Szlak. Rośnie także liczba osób nielegalnie przetrzucanych przez granicę, zwłaszcza szukających azylu w Chile uchodźców z Wenezueli oraz Haitańczyków. Faktem jest, że syndykaty kryminalne mają co robić i okazjonalnie

by pieniądze podreperowały jej pozycję, są praktycznie zerowe. Pod tym akurat względem eksperci się zgadzają – trudno sobie wyobrazić sytuację, w której pani prezydent utrzymuje się na stanowisku jeszcze w przyszłym roku. Cała kadencja, która kończyłaby się w 2026 r., to już kompletna fikcja. Parlament wprowadzie odrzuca wszystkie próby rozpisanie nowych wyborów, ale społeczna destabilizacja prędzej czy później

motywowanej politycznie przemocy z poprzednich dwóch dekad. Kolejni prezydenci – opozycjonista Alejandro Toledo, nowy-stary przywódca Alan García czy lewicowiec Ollanta Humala – nie byli w stanie utrzymać równowagi społecznej, regularnie uciekając się do wprowadzania stanów wyjątkowych czy wypuszczania mundurowych na ulicę, by dławili protesty.

Bieżący kryzys polityczny trwa tak naprawdę nieprzerwanie od 2017 r., czyli od wyboru na prezydenta Pedra Pablo Kuczynskiego, potomka polskich Żydów, którzy na południe uciekli przed nazizmem jeszcze w latach 30. On podpadł już na samym początku kadencji, podpisując ułaskawienie Fujimoriego. A zaraz potem zaczęła się znana litania: korupcja, malwersacje finansowe, próba impeachmentu. Każdy, kto przyszedł po nim, okazywał się ulepiony z tej samej gliny, wskutek czego Peru miało pięciu prezydentów przez ostatnie sześć lat.

Żaden jednak nie wzbudził tytułu kontrowersji, co Pedro Castillo. Prawdopodobnie dlatego, że oprócz orientacji ideologicznej chciał być trybunem ludowym, przez co walka o jego pozostanie przy władzy nałożyła się na napięcia klasowe i etniczne. W Peru to wciąż temat newralgiczny. Ten kraj nie miał swojego Evo Moralesa, prezydenta z ludu Ajmara, który z sąsiedniej Boliwii uczynił, przynajmniej w teorii, republiką wielorasową i wielojęzyczną. Przez pałac prezydencki w Limie przewijało się wielu polityków z różnymi postulatami, ale żaden z nich nawet nie udawał, że próbuje być prezydentem wszystkich obywateli. Castillo w gruncie rzeczy też tego nie robił, ale przynajmniej chciał na światło dzienne wyciągnąć problemy tych najbardziej zmarginalizowanych. Zderzył się jednak ze starym, dysfunkcyjnym ustrojem, a przede wszystkim z własną niekompetencją. Na zamianę republiki burżuazyjnej w egalitarną tak naprawdę nigdy nie miał większych szans. Zostanie po nim tylko gigantyczny chaos, co w Peru dla nikogo nie jest zaskoczeniem.

Mateusz Mazzini

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Peru miało pięciu prezydentów przez ostatnie sześć lat.

rzeczywiście dochodzi do ich starć z policją. To nie gangsterzy pchnęli jednak *campesinos* do wyjścia na ulicę i to nie oni mają władzę ściągnąć ich stamtąd.

Dina Boluarte znalazła się więc w politycznym klinczu. Próbuje jeszcze poprawić swoje notowania starą metodą klientelizmu, oferując teraz wypłaty w wysokości 13 tys. dol. dla każdej rodziny, która straciła kogoś w czasie protestów. Na każdym kroku podkreśla jednak, że te pieniądze są „osłoną socjalną”, w żadnym wypadku nie należy ich traktować jako odszkodowania ze strony państwa. Ale szanse na to,

zmusi deputowanych do zaproszenia obywateli do urn. Prawdopodobnie stanie się to w ciągu najbliższych kilkunastu miesięcy, a kluczowa będzie tu sytuacja ekonomiczna.

Z powodu protestów maleją bowiem wpływy z dwóch najważniejszych gałęzi peruwiańskiej gospodarki – turystyki i eksportu miedzi. Machu Picchu jest zamknięte, europejskie ministerstwa spraw zagranicznych odradzają swoim obywatelom podróży w Andy, a wielu górników uczestniczy w protestach, przez co spada wydobywanie. Dla kraju to ogromny cios, bo Peru jest drugim największym, po Chile, eksporterem miedzi na świecie. Zdecydowana jej większość, innych metali zresztą też, płynie do Chin. Jeśli więc dodać stagnację w Państwie Środka oraz wciąż niestabilny po pandemii COVID-19 globalny łańcuch dostaw, sytuacja jest dla Peru pod każdym względem niekorzystna.

Permanentny kryzys

W pewnym sensie jednak nie mogła być inna. Jeśli spojrzeć na najnowszą historię tego kraju, politycznego chaosu było w nim tak dużo, że wydaje się wręcz wpisany do tamtejszej konstytucji. Począwszy od wspomnianego już Fujimoriego, który w 1990 r. został wybrany na prezydenta, ale demokracja znudziła mu się po dwóch latach, więc z pomocą wojska zamienił ją na trwającą osiem lat dyktaturę. Potem przyszły czasy mozolnej odbudowy demokracji, naznaczone próbami rozliczenia



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Koniec świata z cytatami

Wracam co jakiś czas do tematu Izraela, gdyż uważam zmartwychwstanie tego państwa po 2 tys. lat za cud. Trudno się nie martwić, że taki cud się marnuje. Przeglądając swoje stare notatki, znajduję piękny fragment z książki Paula Johnsona „Historia Żydów”. Długo, ale nie mogę się powstrzymać, by go nie zacytować; „Żydzi nie byli po prostu nowatorami. Byli modelowym przykładem, streszczali sobą ludzką kondycję. Wydawali się ukazywać wszystkie nieuniknione dylematy człowieka w uwydatnionej i oczyszczonej postaci. Byli istotnie »gośćmi i przybyszami«, czyż jednak nie odnosi się to do nas wszystkich, mieszkańców tej planety, z której każdy ma w dzierżawie zwykłe »lat siedemdziesiąt«? Żydzi byli symbolem bezdomnego i podatnego na zranienie człowieczeństwa. Lecz czy cała ziemia nie jest zaledwie czasowym »obożem przejściowym«? Żydzi byli żarliwymi idealistami dążącymi do doskonałości, a zarazem słabymi ludźmi, mężczyznami i kobietami tęskniącymi do dóbr i bezpieczeństwa. Chcieli przestrzegać niemożliwego prawa Bożego i chcieli również pozostać przy życiu. Na czym polegał dylemat

żydowskich wspólnot w starożytności, próbujących łączyć moralną doskonałość teokracji z wymogami państwa zdolnego do obrony własnego istnienia. Dylemat ten powrócił w naszych czasach w kontekście Izraela, utworzonego dla urzeczywistnienia pewnego humanitarnego ideału i odkrywającego w praktyce konieczność własnej bezwzględności, aby po prostu przetrwać w nieprzyjaznym mu świecie. Lecz czy nie jest to stały problem, który dotyczy wszystkich społeczeństw ludzkich? Wszyscy pragniemy zbudować Jeruzalem. Wszystkich nas znosi na powrót w stronę Miast Doliny. Było chyba rolą Żydów wyostrzyć i udratyzować te powszechne doświadczenia ludzkości i przekształcić swój szczególny los w jakiś ogólny morał. Jeśli jednak taka jest rola Żydów, kto im tę rolę napisał?”.

W Izraelu setki tysięcy ludzi o liberalnych poglądach wyszły na ulice. Do protestu przyłączyli się oficerowie rezerwy i żołnierze. Kaczyńskopodobny premier Benjamin Netanjahu nakłamał, że „ci sami ludzie, którzy demonstrowali przeciwko szczepionkom na COVID-19, protestują teraz”. Projekt reformy wymiaru sprawiedliwości zakłada m.in. zwiększenie kontroli rządu nad procesem wyborów sędziów Sądu Najwyższego, a także możliwość uchylania

orzeczeń tego sądu większością 61 głosów w 120-osobowym Knesecie. Atakują media. Skąd my to znamy?

Znajoma z Aszkelonu pisze mi: „U nas fatalnie. Społeczeństwo skrajnie podzielone; prawica, centrum, liberalowie, fanatycy religijni, Aszkenazyjczycy, Sefardyjczycy, a lewicy nie ma, zanikła. Fanatycy religijni nie chcą pracować i służyć w wojsku, za nich służą nasze dzieci. Rządzą nami kłamcy, którzy rozbijają wymiar sprawiedliwości, by uciec od wyroków sądowych. Nie wiem, czy my dożyjemy lepszych czasów, ale kochamy ten kraj i nie chcemy go zostawić w takim stanie naszym dzieciom i wnukom”.

Wracając do Polski i do wydarzeń już sprzed tygodnia, sensacja z okazji przemówienia Bidena – prezydent Duda podał rękę Tuskowi. Rzeczywiście niebywałe. Już się mówi, że Duda się uniezależnia. I to chyba nawet jest prawda. Niczego nie ryzykuje. Jakby się nie uniezależniał, byłby durniem. Duda ma wiele wad, ale durniem

nie jest. Uniezależnia się jednak koślawo, z konserwatywnym zakalcem. Niewykluczone mimo to, że napyta biedy PiS. Solidarna Polska już traktuje go jak zdrajcę

polskich interesów. Wracając zaś jeszcze do przemówienia Bidena, jaka naiwność prezesa i Wałęsy, nareszcie w czymś się zgadzają – prezes szeptem, a Wałęsa na głos skarżyli się, że Biden niczego nie powiedział. Liczyli, że będą wymieniać rodzaje broni, jakie wyśle na Ukrainę, w tym F-16. A w końcu wywoła III wojnę światową.

Miałem wizytę u dentystki na tyłach hotelu Marriott, gdy prezydent Biden tam mieszkał; wejście nie hotelowe, ale sprawdzanie jak na lotnisku. A na ósmym piętrze rentgen moich zębów. To jest straszny widok, jakoś ostateczny. Gdy patrzę z trwogą na swoją obnażoną czaszkę, nie mogę nie myśleć o tych, którzy giną bez sensu w bezsensownej wojnie, po obu stronach frontu.

Były prezydent, bliski Putinowi Dmitrij Miedwiediew, w artykule na portalu Izwiestia odgraża się: „Nie będzie jak w przypadku ZSRR. Jeśli kwestia istnienia samej Rosji zostanie poważnie podniesiona, to nie zostanie ona rozwiązana na froncie ukraińskim. Zostanie rozwiązana razem z kwestią dalszego istnienia całej cywilizacji ludzkiej. I nie powinno być żadnych dwuznaczności. Nie potrzebujemy świata bez Rosji”. To tak prosto, tak idiotycznie może wyglądać koniec świata. Żadnego patosu, tylko obłąd i głupota. ■

**Tak prosto może wyglądać koniec świata.
Żadnego patosu, tylko obłąd i głupota.**

As w rękawie

Poza strefą wojny tylko CIA może prowadzić tajne operacje specjalne

Annie Jacobsen

Decyzja prezydenta Obamy, żeby przywrócić wzmocnione techniki przesłuchań i przyspieszyć zabójstwa celowane, wywarła wielki wpływ na stuletnią koncepcję zabójstwa jako narzędzia politycznego. Podczas gdy administracja Busha autoryzowała 52 ataki dronami poza teatrem wojny w ciągu ośmiu lat, Białe Dom Obamy wyrażał zgodę ponaddziesięciokrotnie więcej: na 542 ataki z użyciem dronów, w których zginęło 3797 osób – przypuszczalnie z listy celów do zabicia lub schwytania – w tym co najmniej trzech obywateli amerykańskich. A te liczby to jedynie szacunki.

Prezydent Obama chciał, by Amerykanie zaakceptowali, że zabijanie przywódców i prominentów w pewnych okolicznościach jest legalne i moralne.

Prezydent Obama nie tylko skwapliwie przystał na wykorzystanie dronów do zabijania przywódców terrorystycznych oraz ich współpracowników i przyspieszył ten proces; stał się też pierwszym prezydentem w historii Stanów Zjednoczonych, który przyznał, że można w ten sposób realizować tajne operacje specjalne, prezydenckie „asy z rękawa”. „Tak”, powiedział doradca Obamy John Brennan 30 kwietnia 2012 r., „całkowicie zgodnie z prawem i dla zapobiegania atakom terrorystycznym na Stany Zjednoczone oraz ratowania życia Amerykanów rząd Stanów Zjednoczonych prowadzi uderzenia celowane przeciwko konkretnym terrorystom z Al-Kaidy,

niekiedy wykorzystując zdalnie sterowane statki powietrzne, często potocznie nazywane dronami”.

Jednak prawda była dużo bardziej bezwzględna i złożona, niż można by sądzić po słowach Johna Brennana. „Wall Street Journal” już donosił, że w ramach prezydenckiego programu wykorzystania dronów w Pakistanie zabijano pełnoletnich żołnierzy, nie wiedząc dokładnie, kim byli. Oficjalnie zwane *signature strikes*, śmiertelne ataki na potencjalnie niebezpieczne osoby, uderzenia dronów były wymierzone w ludzi, których widziano w towarzystwie znanych terrorystów. W prasie *signature strikes* szybko stały się znane jako „zbiorowe zabójstwa”. „Dowcip polega na tym, że kiedy CIA widzi »trzech

mężczyzn robiących pajacyki«, agencja uważa, że to obóz szkoleniowy dla terrorystów”, informował „New York Times”, cytując urzędnika wyższego szczebla.

Rok później, starannie dobrawszy słowa, Obama w National Defense University w Fort McNair przyznał, że jego administracja ma własny program zabójstw celowanych. „Działania Ameryki są legalne”, powiedział. Anulował odziedziczony po administracji Busha program *signature strikes* i oznajmił, że pracuje „energicznie nad regulacjami używania przez nas siły przeciwko terrorystom – domagając się jasnych wytycznych, nadzoru i odpowiedzialności, które są teraz skodyfikowane

w prezydenckich wytycznych, które podpisałem wczoraj”. Wyciągając zabójstwa celowane z cienia na pełne światło, prezydent Obama zamierzał uciszyć krytyków – sprawić, by amerykańscy obywatele zaakceptowali to, że zabijanie przywódców i prominentów w pewnych okolicznościach jest nie tylko legalne, ale też moralne, a tym samym sprawiedliwe. „Jest to więc wojna sprawiedliwa”, mówił prezydent Obama o wojnie z terroryzmem. „Bierność nie jest wyjściem”.

Niewielu Amerykanów sprzeciwiało się zabójstwu jednego człowieka. Osama bin Laden został zabity w Pakistanie w maju 2011 r. nie przez dron, ale oddział paramilitarny pod kierunkiem CIA. Chociaż tajną operację specjalną przypisuje się Navy SEALs Departamentu Obrony, to oddział walczył pod dowództwem CIA jako element prezydenckiego korpusu walki partyzanckiej. Poza strefą wojny tylko CIA może prowadzić tajne operacje specjalne; umożliwiają to kompetencje przyznane na mocy działu 50 Kodeksu Stanów Zjednoczonych. Wykonawcy ataku na bin Ladena nie mieli żadnych oznaczeń ani identyfikatorów – tak jak „jedburczy” OSS podczas II wojny światowej i ludzie z MACV-SOG w Wietnamie czy obecnie funkcjonariusze operacyjni Sekcji Lądowej na całym świecie. Gdyby sprawy poszły źle, w mechanizm wbudowane jest wiarygodne zaprzeczenie.

Gdy prezydent Obama ogłosił w ogólnokrajowej telewizji, że Osama bin Laden nie żyje, pod Białym Domem zgromadził się tłum. Od Lafayette Square do Pennsylvania Avenue i dalej tysiące Amerykanów skandowały jednym głosem:

Prezydent Barack Obama obserwuje operację Neptune Spear, 2 maja 2011 r.



„Obama, Obama! Zabity skurwiel Osama!”. Teoria wojny sprawiedliwej mówi, by nie cieszyć się ze śmierci innych na polu bitwy, że nie ma miejsca na zemstę czy rozlew krwi. Ale czy człowiek nie ma słabości?

Chociaż unormowanie przez Obamę zabójstw celowanych miało duże znaczenie, to prezydent faktycznie również je odpolitycyzował. Oto liberalny demokratą nie tylko przejmują i rozszerza narzędzie polityki zagranicznej wcześniej kojarzone z konserwatywnymi republikanami, ale i wyraża dumę z jego użycia. „Nie ma prezydenta, który wyeliminowałby więcej terrorystów niż ja przez ostatnie siedem i pół roku”, powiedział Obama stacji Fox News podczas swej ostatniej wiosny na stanowisku głównodowodzącego.

„Obamie udało się pozytywnie nastawić Amerykanów do ataków z użyciem dronów”, mówi dawny urzędnik administracji i ekspert od dronów Micah Zenko, „ponieważ są powszechnie wspierane przez amerykańską opinię publiczną i szalenie popularne w Kongresie”. Jest

tu podtekst: jeśli Kongres nie może toczyć walki na polu polityki, działa tak, jakby tej walki nie warto było stoczyć. (...)

Gdy nastąpiły ataki terrorystyczne 11 września 2001 r. pojawiło się powiadomienie prezydenckie z 17 września, które zezwalało na przywrócenie zabójstw przywódców lub prominentnych postaci za granicą – co tylko w żargonie prawników nie nazywało się zabójstwem – jako narzędzia polityki zagranicznej. (...)

Osama bin Laden został zabity nie przez dron, ale oddział paramilitarny pod kierunkiem CIA.

John Rizzo, dawny prawnik CIA, napisał memorandum notyfikacyjne. „Trzy słowa zatwierdzały program chwytania i więzienia [terrorystów], kolejne kilka [słów] autoryzowało podejmowanie tajnych operacji specjalnych przeciwko terrorystom”. Kiedy powiadomienie prezydenckie trafiło do komisji kongresowych do spraw wywiadu 18 września,

„republikanie i demokraci zareagovali tak samo”, opowiada, czyli: „Czy to wystarczy?”.

Ponownie otwarto tamy. Za administracji Busha armia dronów typu Predator i Reaper opanowała niebo, a armia funkcjonariuszy paramilitarnych z Wydziału Operacji Specjalnych i jego Sekcji Lądowej ruszyła do akcji na wrogim terytorium i za liniami przeciwnika. Administracja Obamy przejęła i przyśpieszyła zabójstwa celowane. Za Trumpa te

programy jeszcze rozszerzono, ale ponieważ naród pochłaniał walki polityczne, programy zabójstw celowanych łatwiej było ukryć. Funkcjonariusze Sekcji Lądowej i ich partnerzy z różnych sił specjalnych obecnie działają w 138 krajach na całym świecie. Nie tylko w Afganistanie, Pakistanie, Syrii, Jemenie, Somalii i Libii, ale w obrębie (oraz w przestrzeni

powietrznej) 70% suwerennych państw świata, od Kolumbii do Mongolii, od Albanii do Uzbekistanu i od Nepalu do Strefy Gazy. Ludzie z Sekcji Lądowej, z którymi rozmawiałam na potrzeby tej książki, śmigłowcami latali do Bogoty w Kolumbii, metodą HALO skakali na wyspy filipińskie, a HAHO na odległe tereny Iranu. Wszystko na rozkaz prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Tajne akcje w ogóle, a zabójstwa celowane w szczególności, przyspieszają w takim tempie, że nie nadążają za nimi ani świadomość, ani zrozumienie opinii publicznej. CIA otworzyła globalny ośrodek zwany Centrum Operacji Specjalnych – a tym samym Wydział Operacji Specjalnych przekształcił się z jednostki paramilitarnej w ośrodek interdyscyplinarny. Mimo to cel tajnych akcji pozostaje taki sam jak w 1947 r.: zapobiec nuklearnej III wojnie światowej. (...)

To w samolocie, ok. 11 km nad rosyjskim półwyspem na Morzu Ochockim, dowiedziałam się o najniebezpieczniejszej tajnej operacji specjalnej, jaka kiedykolwiek została opracowana przez CIA i jej wojskowych odpowiedników – operacji, którą kierował Billy Waugh. Niebezpieczna z powodu nieplanowanych

Norwegii, w pobliżu fabryki Norsk Hydro, gdzie Niemcy wytwarzali ciężką wodę niezbędną do wyprodukowania bomby atomowej.

„Broń atomowa to broń ostateczna”, powiedział Waugh. Po przeszkoleniu w skokach spadochronowych za liniami wroga z prawdziwą bronią jądrową, które przeszedł na Okinawie na początku lat 60., on i jego drużyna Zielonego Światła przenieśli się do tajnego ośrodka w Stanach Zjednoczonych, Nevada Test Site, gdzie na pustyni zdetonowano już prawie 100 ładunków nuklearnych. Tam oddział prowadził testy, by sprawdzić, czy taktyczną broń jądrową można odpalić po zrzuconiu ze spadochronem i uzbrojeniu na ziemi.

Był drugi tydzień lipca 1962 r., za kadencji Johna F. Kennedy’ego. Stany Zjednoczone i Związek Radziecki prowadziły rozmowy, żeby zakazać testów jądrowych w atmosferze. W ramach operacji „Promień Słońca” Komisja Energii Atomowej i Departament Obrony wspólnie testowały cztery rodzaje ładunków nuklearnych w Strefie 18 w Nevada Test Site, położonym 120 km na północ od Las Vegas. Były to cztery ostatnie znane ładunki zdetonowane w atmosferze w historii Stanów Zjednoczonych.

się do skoku”. Zadaniem było wyskoczyć, wylądować, zebrać drużynę i złożyć ładunek w mniej niż 14 minut. „Wyskoczyliśmy po cichu. Jakies 300 m nad poziomem [terenu]. Gdy skaczesz z małej wysokości, wrogi radar nie widzi skoczków, chociaż rejestruje samolot”.

Dlatego w takich operacjach desantowych wykorzystuje się nawet 15 samolotów. Wiele maszyn dezorientuje wrogich obserwatorów na ziemi. W tej operacji drużyna Zielonego Światła wylądowała, wszyscy czterej się odnaleźli, zmontowali ładunek i nadali przez radio zaszyfrowaną wiadomość do dowódcy.

„Zamiast samodzielnie zdetonować ładunek – mówi Waugh – oddaliśmy go grupie inżynierów [od broni jądrowej]”.

Inżynierowie uzbroili bombę i ustawili urządzenie zegarowe. Żołnierzy Zielonego Światła zawieziono do bunkra jakieś 5 km dalej. Każdy dostał parę okularów spawalniczych i miejsce, z którego mógł obserwować eksplozję.

„To był wybuch o temperaturze 30 tys. st. C”, mówił Waugh. „Patrzyłeś i mówiłeś do siebie: »O kurwa mać«”. Dobro i zło. Sacrum i profanum.

– Co jest dobrego w bombie atomowej? – spytałam.

– Przeraża ludzi – odparł Waugh. – Powinna. (...)

Test na Nevada Test Site okazał się sukcesem. Ładunek atomowy można zrzucić ze spadochronem wraz z oddziałem komandosów, uzbroić i odpalić w ciągu paru minut. „[Centralna] Agencja [Wywiadowcza] próbuje zapobiec pewnym rzeczom”, mówił Waugh. „Wojsko przygotowuje się na rzeczy, które mogą zająć”. Pomyślałam o zabójcach z Delta Force Lew Merlettiego, którzy zdołali potajemnie wylądować na trawniku Białego Domu.

Gdy przelatywaliśmy nad rosyjskim półwyspem, Waugh wspominał, jak niecałe dwie godziny po zdetonowaniu taktycznego ładunku atomowego do schronu na pustyni przyjechał podpułkownik, żeby wysłuchać raportu. „Powiedzieli nam o wszystkim, co zrobiliśmy dobrze, i o wszystkim, co zrobiliśmy źle”.

Tajne akcje i zabójstwa celowane przyspieszają w takim tempie, że nie nadąża za nimi zrozumienie opinii publicznej.

konsekwencji, które zagrażały bezpieczeństwu i stabilności nie tylko Stanów Zjednoczonych, ale całego świata. Taktyka: zabójcy ze spadochronami niosący bomby atomowe.

Był środek nocy i samolot, którym podróżowaliśmy, pokonał mniej więcej trzy czwarte trasy z Los Angeles do Seulu. Nie mogłam spać. A380 Korean Air miał na górnym pokładzie salon i tam znalazłam Billy’ego Waugh. Siedział na kanapie, popijał sok z ananasa i czytał „Ministerstwo Niedźmielnych Działań Wojennych”. Usiadłam. Zaczęliśmy omawiać nielegalne operacje spadochronowe. W ramach operacji „Kuropatwa” podczas II wojny światowej brytyjskie SOE wysłało spadochroniarzy do odległego regionu

„Wyruszyliśmy z lotniskowca zakotwiczonego na Pacyfiku niedaleko wyspy Catalina”, wspomina Waugh. „Naszą czwórkę zamknięto pod pokładem. Nikt się do nas nie odzywał, więc my też nawet nie pisnęliśmy. Ładunek jądrowy składał się z trzech plutonowych pierścieni. Każdy ważył 15 kg. Mieliśmy 18-kilogramową radiostację i ręczny generator prądu”.

Drużyna Zielonego Światła załadowała swoją taktyczną broń nuklearną – zdolną zniszczyć małe miasto – do transportowca pokładowego Grumman TF-1. „Siedzenia usunięto”, pamięta Waugh.

„Wykatapultowali nas z tego lotniskowca, przelecieliśmy nad Kalifornią do Nevady i przygotowaliśmy

Potem ruszyliśmy na nocleg do bazy sił powietrznych Nellis, 80 km na wschód.

„Nie rozmawialiśmy wiele”, opowiadał Waugh. „Nie siedzisz i nie gratulujesz sobie dobrej roboty. Nie do tego cię szkolili”. Waugh wciąż pamiętał, co jedli na kolację tamtego wieczoru: „szynkę i fasolę limeńską”, w stylu armii amerykańskiej.

Dziesięć dni później prokurator generalny Robert Kennedy przyjechał do Nevada Test Site, żeby oglądać wybuch taktycznej broni atomowej. Na archiwalnym filmie

podwładni siedzieli dawno temu, knując na szkodę Stanów Zjednoczonych. Zobaczyliśmy tunele pod domem, gdzie Ho Chi Minh i jego najbliższy krąg szukali schronienia podczas amerykańskich bombardowań Hanoi. (...)

– Byłem w drużynie Zielonego Światła, która szkolila się na Okinawie – powiedział, po czym krótko wyjaśnił, jak trenowali skoki spadochronowe z bronią atomową za liniami wroga, czyli na terenie najprawdopodobniej Europy Wschodniej, w razie wojny z Sowietami.

Każde państwo chce wygrać za wszelką cenę. Poza kosztem i konsekwencjami wojny atomowej.

siedzi na drewnianej ławce, w sportowym ubraniu oraz goglach spawalniczych i obserwuje, jak za ledwie trzy i pół kilometra dalej wybucha ładunek wystrzelony z działa bezodrzutowego.

Gdy siedzieliśmy w saloniku samolotu Korean Air, Waugh wskazał na okno i zwrócił uwagę na wysokość, 11 kilometrów – niemal taką jak przy skoku HALO. „Nigdy nie wyskoczyłem z żadnym elementem broni atomowej metodą swobodnego lotu, ale wiem, że to się udało”. (...)

Byliśmy w dawnym domu generała Vo Nguyena Giapa, niezłomnego przywódcy armii północnowietnamskiej podczas wojny – wojny, którą Amerykanie nazywają wietnamską, a Wietnamczycy – amerykańską. (...) Naszym gospodarzem był Vo Dien Bien, syn generała Giapa, strażnik jego dziedzictwa. Dien Bien urodził się w 1954 r., podczas bitwy o Dien Bien Phu, w której siłami północnowietnamskimi dowodził jego ojciec i od której nazwał syna. Zostaliśmy zaproszeni do dawnego domu generała, położonego naprzeciwko Mauzoleum Ho Chi Minha w centrum Hanoi. Wewnątrz na ścianach wisiały wielkie portrety generała Giapa, a w szklanych gablotach starannie wyeksponowano dziesiątki orderów i nagród. Paliło się kadzidełko. Spacerowaliśmy po ogrodzie, w którym generał Giap i jego

– Rozważaliśmy, czy nie rzucić ze spadochronem ładunku nuklearnego SADM w Wietnamie – oznajmił Waugh naszym gospodarzom. (...) – Byłem w tej drużynie. Zamierzaliśmy dokonać zrzutu na przełęczy Mu Gia. Napisałem rekomendację.

Misja przypadła MACV-SOG. Przełęcz Mu Gia była stromą górską drogą, która łączyła Wietnam i Laos. Co miesiąc przechodzili tamtędy niezliczeni komunistyczni bojownicy, przewożono broń i zaopatrzenie. Było to wąskie gardło szlaku Ho Chi Minha.

Zapadła długa cisza. Dien Bien zwrócił się do mnie.

– Czy on naprawdę powiedział, że Amerykanie rozważali zrzuć bombę atomowej na Wietnam?

Dokumenty utajnione do 2003 r. potwierdziły to. W 1966 r. sekretarz obrony Robert McNamara rozkazał naukowej grupie doradczej Jason „ocenić militarne skutki amerykańskiej decyzji o użyciu taktycznej broni nuklearnej w Azji Południowo-Wschodniej”.

Naukowiec z grupy Jason, Seymour Deitchman, wyjaśniał: „[Zostaliśmy zapytani], czy jest sens rozważać użycie broni nuklearnej do zamknięcia dróg zaopatrzeniowych Szlaku Ho Chi Minha (...). Pomysł był dyskutowany w Pentagonie”.

By pogłębić tę ocenę, CIA przeprowadziła analizę warunków na przełęczy Mu Gia i stwierdziła, że to „najbardziej wrażliwy” odcinek szlaku.

Jednak zrzuć spadochroniarzy SOG z taktyczną bronią atomową do wykorzystania w Wietnamie jest bardzo złym pomysłem, doszli do wniosku naukowcy z Jasona. „Powstanie bardzo poważny problem długofalowy”, ostrzegali. „Zwróć na to uwagę grupy rebelianckie na całym świecie i wszelkimi środkami będą się starały zdobyć taktyczną broń atomową dla siebie”. Możemy doprowadzić do tego, że w przyszłości terroryści pod groźbą jej użycia będą wymuszać realizację swych żądań, uprzedzili sekretarza obrony. (...)

Użycie taktyczne broni nuklearnej nie tylko otworzy śluzę, ono otworzy puszkę Pandory – źródło niekontrolowanego chaosu. Wykorzystanie broni atomowej na polu walki było granicą, której prezydent Stanów Zjednoczonych po prostu nie mógł przekroczyć, nawet jeśli oznaczało to przegranie wojny.

Jednak Waugh powiedział naszym gospodarzom w Hanoi, że miał inne odczucia.

– Szkoda, że tego nie zrobiliśmy. To by zakończyło wojnę.

Zapadło milczenie. Kiedy Dien Bien wreszcie się odezwał, w jego głosie dało się wyczuć szok i niesmak. – Mówi pan o mojej ojczyźnie – stwierdził.

– Zginęło 58 tys. moich rodaków – odparł Waugh. – Zginęło pół miliona waszych. Wielu z nich wciąż mogłoby być z nami.

Znow cisza. Wtedy pułkownik Giong rzucił:

– Tak, ale my moglibyśmy nie wygrać wojny.

Każde państwo chce wygrać za wszelką cenę. Poza kosztem i konsekwencjami wojny atomowej.



Fragmenty książki Annie Jackobsen *Zaskocz, zabij, zniknij. Historia tajnych akcji i zabójców z CIA*, przekład Katarzyna Bazyńska-Chojnacka i Piotr Chojnacki, Rebis, Poznań 2022

Stanisław Sławomir Nicieja

Polonezem z „Pana Tadeusza” Andrzeja Wajdy rozpoczęła się także w tym roku większość studniówek. I pewnie niewielu maturzystów wie, że ćwierć wieku temu melodię tę napisał Wojciech Kilar – jeden z najbardziej rozpoznawalnych polskich kompozytorów XX w. Był fenomenem polskiego świata muzycznego i filmowego. Swoimi kompozycjami trafiał do bardzo szerokich kręgów odbiorców.

Lwowskie dzieciństwo

Wojciech Kilar przyszedł na świat 17 lipca 1932 r. we Lwowie. Jego ojciec Jan Franciszek był znanym w tym mieście ginekologiem. W 1929 r. ożenił się z młodszą o 15 lat, pochodzącą z rodziny włościańskiej Neonillą Batikówną – absolwentką Seminarium Nauczycielskiego i kursów aktorskich w lwowskim studiu Wandy Siemaszkowej. Małżeństwo nie było zbyt udane. Jan Franciszek miał skłonności do licznych miłostek i był wiecznie zapracowany, a jego żona dość często wyjeżdżała poza Lwów na występy. Wyróżniała się urodą. Wywarła wielki wpływ na swojego jedynaka – Wojciecha. Chciała, aby był artystą, muzykiem. To pragnienie podzielał jej mąż, który miał własny fortepian i lubił na nim grać.

Tak więc od dzieciństwa Wojciech Kilar żył w świecie, w którym przenikały się wątki teatralne i muzyczne. Brał lekcje gry na fortepianie oraz uczęszczał do słynnego lwowskiego prywatnego gimnazjum Mieczysława Kistryna. Wakacje najczęściej spędzał z matką w Czarnohorze. Zachowało się wiele jego zdjęć z pobytu w Worochochcie, Jaremczu, Żabiem i Kutach.

Mieszkając w samym centrum Lwowa, Wojciech Kilar uległ fascynacji tym miastem i jego architekturą. Wtedy też zrodziła się jego miłość do filmu – godzinami przesiadywał na seansach w popularnych kinach – Roxy i Grażyna, oglądając m.in. „Królową Śnieżkę” siedmiu krasnoludków” Walta Disneya czy „Dzisiejsze czasy” Charliego Chaplina. Gdy wybuchła wojna, miał siedem lat.

Fenomen Wojciecha Kilara

Jego muzyka rozbrzmiewa w najśłynniejszych salach koncertowych świata i towarzyszy filmom oglądanym przez miliony

Przeżył we Lwowie dwie okupacje – radziecką i niemiecką. Gdy w połowie 1944 r. Armia Czerwona podchodziła pod Lwów, jego ojciec zdecydował, żeby Wojciech z matką wyjechał dla bezpieczeństwa do Krosna. Po krótkim pobycie w tym mieście Neonilla z synem osiadła w Rzeszowie i podjęła pracę w teatrze Wandy Siemaszkowej, zyskując dobre recenzje.

Śląska ojczyzna

Jan Franciszek Kilar wyjechał szukać pracy na Śląsku i ostatecznie osiadł w Zabrze. Po wojnie Kilarowie żyli w separacji. Mały Wojciech odwiedzał ojca bardzo rzadko. Jego matka związała się z czasem z młodszym od niej o dwa lata lwowianinem – Antonim Edmundem Graziadio. „Gracjador”, bo tak nazywano go w gwarze lwowskiej, był kompozytorem piosenek, tworzył oprawy muzyczne do spektakli teatralnych, miał także posadę dyrektora administracyjnego w teatrze Wandy Siemaszkowej.

W 1947 r. Neonilla Kilarowa przeprowadziła się z synem do Katowic. Dwa lata później na Śląsk przeniósł się również Antoni Graziadio, pobrał się w roku 1951, po śmierci Jana Franciszka Kilara, który popełnił samobójstwo. Wojciech średnią szkołę muzyczną ukończył w Katowicach, a potem rozpoczął studia w tamtejszej akademii muzycznej, z której wyszło wielu znakomitych kompozytorów i muzyków, m.in. Henryk Mikołaj Górecki, Krystian Zimerman, Lidia Grychtolówna i Piotr Paleczny.

Górny Śląsk uznał Kilara za swoją nową ojczyznę. Specjalny sentyment miał do Katowic. Tam poznał przyszłą żonę, wówczas uczennicę liceum muzycznego, Barbarę Pomianowską – córkę prawnika, lwowskiego adwokata, który po aresztowaniu przez gestapo zginął w Auschwitz w 1942 r.

Barbara Pomianowska wojnę przeżyła w Tenczynku na Śląsku, w willi Bajdówka, należącej do jej dziadka – Andrzeja Bajdy. Mieszkała tam też starsza siostra jej matki Krystyna z mężem Ludwikiem Kobiela, pedagogiem, folklorystą i literatem, ojcem wybitnego aktora Bogumiła Kobieli. Po wojnie Barbara spędzała w Tenczynku prawie wszystkie wakacje. Tam przyjeżdżający jako jej narzeczony Wojciech Kilar zaprzyjaźnił się z Bogumiłem Kobielą. Jego tragiczna śmierć w 1969 r. była wstrząsem dla wszystkich przyjaciół.

Do Lwowa Wojciech Kilar nigdy nie pojechał. Nie chciał burzyć swoich pięknych chłopięcych wspomnień z tego miasta. Raz nawet był już w podróży, namówiony przez przyjaciela, ale w Przemyśle wysiadł z pociągu i wrócił do Katowic. Gdy po latach dowiedział się, że z balkonu jego rodzinnego domu, stojącego przy ulicy Leona Sapiehy, noszącej obecnie imię Stepana Bandery, widać pomnik tego przywódcy ukraińskich nacjonalistów, upewnił się ostatecznie, że jego decyzja była słuszną. „Dobrze, że nie pojechałem do Lwowa. W życiu bym już na ten balkon nie wyszedł”, powiedział prof. Stanisławowi Wosiowi, szefowi



Wojciech Kilar w swoim katowickim domu z autorem artykułu.

Opolski doktorat honoris causa Wojciech Kilar odbierał wspólnie z wybitnym polskim poetą i dramaturgiem – Tadeuszem Różewiczem.



Katedry i Kliniki Kardiochirurgii Śląskiego Uniwersytetu Medycznego.

W filharmoniach i na festiwalach

Wojciech Kilar wpisał się na trwałe w dwa wielkie nurty kultury polskiej i europejskiej: muzykę i kinematografię. W tych dwóch dziedzinach osiągnął równoległe uznanie krytyki i wielką popularność. Jego muzyka rozbrzmiewa w najśłynniejszych salach koncertowych świata, trafia na płyty wydawane przez najbardziej prestiżowe wytwórnie fonograficzne, towarzyszy wielkim obrazom światowego kina. Zdaniem prof. Juliana Gembalskiego, byłego rektora

Akademii Muzycznej w Katowicach, twórczość Wojciecha Kilara uznać można za jeden z fundamentów współczesnej kultury muzycznej w Polsce. Wyrosła ona z neoklasycznej tradycji śląskiego środowiska kompozytorskiego lat powojennych, ściśle związanego z katowicką akademią.

Budując swoją wyjątkową pozycję w muzyce światowej, Wojciech Kilar przeszedł kilka etapów krystalizacji osobowości twórczej. Początkowo pisał suity i preludia oraz utwory kameralne nawiązujące do technik odkrytych przez Igora Strawińskiego, Bełę Bartoka czy Claude'a Debussy'ego. U schyłku lat 50. XX w. przeżył bunt

przeciwko tradycji i stał się obok Krzysztofa Pendereckiego i Henryka Mikołaja Góreckiego jednym z wybitniejszych twórców światowej awangardy, odnosząc spektakularne sukcesy na festiwalach Warszawska Jesień.

Jednak w latach 70. niespodziewanie odciął się od awangardy i zaszokował krytyków muzycznych powrotem do tradycyjnych form. Odtąd każdy utwór przynosił mu coraz większą popularność. Do filharmonii trafiały jego wysoko oceniane kompozycje symfoniczne, jak choćby „Krzesany”, „Kościelec”, „Siwa mgła”, „Orawa” czy „Angelus” i „Exodus”.

Na ekranach świata

Romans Wojciecha Kilara z kinem rozpoczął się w roku 1959, gdy napisał muzykę do dwóch filmów: „Nikt nie woła” Kazimierza Kutza i „Lunatycy” Bohdana Poręby. Zaczął wówczas wpisywać się wyraziście w fenomen, jakim była w kulturze europejskiej polska szkoła filmowa. Nazwiska Wajdy, Munka, Kutza, Kawalerowicza, Cybulskiego czy Kobieli trafiały do leksykonów nie tylko w Europie. Wśród twórców muzyki do najważniejszych filmów polskiej szkoły filmowej – Jana Krenza, Tadeusza Bairda, Andrzeja Markowskiego, Kazimierza Serockiego, Waldemara Kazaneckiego, Krzysztofa Pendereckiego i Krzysztofa Komedy – jest również Wojciech Kilar. I to on zajmuje zdecydowanie pierwsze miejsce pod względem liczby filmów, do których napisał muzykę – to ponad 100 obrazów. Tworzył dla najwybitniejszych polskich reżyserów: Andrzeja Wajdy, Wojciecha Hasa, Janusza Majewskiego, Stanisława Różewicza, Marka Piwoworskiego i Krzysztofa Kieślowskiego. Ale szczególne miejsce zajmuje jego współpraca z Krzysztofem Zanussi (napisał muzykę do 33 jego filmów) oraz Kazimierzem Kutzem, z którym był w wielkiej przyjaźni (skomponował muzykę do wszystkich tzw. śląskich filmów tego reżysera – od „Soli ziemi czarnej” po „Śmierć jak kromka chleba”).

Gdy tworzył muzykę do „Soli ziemi czarnej”, w jednym z wywiadów powiedział: „Pisząc muzykę do filmów o powstaniach śląskich, miałem wrażenie, jakbym pracował nad ▶

► filmem o Orłętach Lwowskich, o tym powstaniu młodzieży z mego rodzinnego miasta”. Podobne kresowe sentymenty wystąpiły, gdy pisał muzykę do filmu Andrzeja Wajdy „Kronika wypadków miłosnych”, którego akcja toczyła się w Wilnie. Odwołał się wówczas do folkloru lwowskiego i marszów legionowych.

Andrzej Wajda, którego filmy wiele zawdzięczają kompozycjom Kilara, powiedział 10 marca 1999 r. w auli uniwersyteckiej w Opolu podczas uroczystości nadania autorowi „Exodusu” doktoratu honoris causa: „Kilar pisze muzykę do tytułu filmu i właściwie więcej informacji nie potrzebuje. Nagrany materiał muzyczny, który otrzymuję pod koniec mojej pracy montażowej, składa się zazwyczaj z kilku kompozycji mających za temat to, o czym film opowiada. W wypadku np. »Ziemi obiecanej« była to muzyka pracujących maszyn, porywający i szalony walc oraz przeszłość szlacheckiego dworku, którą

Jane Campion („Portret damy”), Romana Polańskiego („Śmierć i dziewczyna”, „Pianista”), Paula Grimaulta („Król i ptak”) i Thomasa Toellego („Król ostatnich dni”).

Świat, w którym mrówka udaje słonia

Za swoją twórczość Wojciech Kilar otrzymał wiele prestiżowych międzynarodowych wyróżnień i odznaczeń oraz trzy doktoraty honoris causa polskich uczelni. Pierwszy – na Uniwersytecie Opolskim w 1999 r. W roku 2012 otrzymał doktorat na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach, a gdy był już na łożu śmierci – doktorat swojej macierzystej uczelni, Akademii Muzycznej w Katowicach. Dziesięć dni później, 29 grudnia 2013 r., zmarł. Wśród wielu wyróżnień Wojciecha Kilara, m.in. francuskiego Cezara i polskich Orłów, są też dwa honorowe obywatelstwa miast – Rzeszowa i Katowic.

Był pewien, że próżność i megalomania to narzędzie zła. Dlatego wystrzegał się pychy, choć miał świadomość, że nie zawsze robił to skutecznie.

Borowiecki zdradził dla Łodzi. Tak pomyślana muzyka ma swoją autonomię i czasem myślę, że powinienem napisać: »Pan Tadeusz« – film do muzyki Wojciecha Kilara w reżyserii niżej podpisanego”.

Krzysztof Zanussi w filmie „Dotknięcie ręki” (z Maxem von Sydowem, wybitnym aktorem szwedzkim, w roli głównej) złożył hołd Kilarowi, opierając kanwę swojego dzieła na „Exodusie”, gdy utwór ten święcił triumfy na scenach filharmonii w świecie.

Kiedy w latach 80. film polski stracił swoje miejsce w Europie i na świecie, Kilar utrzymał pozycję w kinematografii powszechnej, gdyż jego muzyka trafiła do wielkich produkcji hollywoodzkich. Podjął współpracę z Francisem Fordem Coppolą tuż po jego największych sukcesach, jakimi były „Ojciec chrzestny” i „Czas apokalipsy”. Stworzył muzykę o strukturze symfonicznej do „Draculi”, następnie napisał muzykę do filmów

Opolski doktorat honoris causa Kilar odbierał w dużej auli uniwersyteckiej (700 osób) wspólnie z wybitnym poetą i dramaturgiem Tadeuszem Różewiczem, w obecności wielu znakomitych artystów i uczonych, m.in. Krzysztofa Zanussiego, Kazimierza Kutza, Andrzeja Wajdy, abp. Alfonsa Nossola oraz profesorów: Juliana Gembalskiego – rektora Akademii Muzycznej w Katowicach, Czesława Hernasa, Edwarda Balcerzana i senator Doroty Simonides. Oprawę muzyczną stanowiło wykonanie „Exodusu” przez połączone orkiestry opolskich szkół muzycznych i chóry akademickie.

Po wróceniu mu doktoratu Wojciech Kilar wygłosił znakomity, wielce oryginalny wykład noszący tytuł „Świat, w którym mrówka udaje słonia”. W tej improwizowanej wypowiedzi zawarł refleksje na temat niebezpieczeństw bylejakości, która objawiła się w kulturze w warunkach wielkiej transformacji politycznej

w Polsce. Kilar intuicyjnie antycypował masowe pojawienie się różnych celebrytów, których traktowano jak autorytety, ale ich rozpoznawalność wynikała nie z dokonań artystycznych, lecz z faktu, że byli znani z mediów. Kolebką świata celebrytów stały się amerykański show biznes i tamtejsza krzykliwa reklama. Irracjonalną wartością stawał się fakt, że ktoś jest znany, ale na pytanie, z jakiego powodu jest znany, jakie ma dokonania, padała odpowiedź: „Bo jest znany. Występuje w telewizji”. Nieważne są dokonania. Wystarczy, że jest się znanym z ekranu i okładek czasopism.

Mówiąc do zebranej w auli uniwersyteckiej publiczności, Kilar stwierdził: „Dobrze jest co rano powtarzać sobie, że nie jest się Bachem. Wtedy ma się szansę napisania czegoś może trochę lepszego od poprzedniego. (...) Obecnie następuje coś takiego, co określiłbym stwierdzeniem, że mrówka podaje się za słonia. Mówiąc tak, obraziłbym świat zwierzęcy, a tego nie chcę. Mrówka swoją słomkę dźwiga i nie próbuje dźwigać tej belki kilkusetkilowej, którą dźwiga słon. Niestety, w naszym gatunku, ludzkim, coś takiego się wytworzyło, że właśnie nie tylko mrówka podaje się za słonia, nie tylko usiłuje podnieść tę belkę, którą słon nosi... ale rzeczywiście ludzie mają wrażenie, że ta mrówka tę belkę podnosi. I oto malarz pokojowy, z całym szacunkiem dla tego zawodu, podaje się za Rembrandta. Autor tekstu reklamującego margarynę uważa się za poetę. Kompozytor kupletów kabaretowych i tandetnych melodyjek podaje się za Beethovena. I co gorsza, nie tylko podaje się... Oto nagle okazuje się, że przy wrzasku środków masowego przekazu, przy tym zgietku wizyjnym, powstaje coś takiego, że ludzie wierzą w to. Rzeczywiście wierzą, że mrówka stała się słoniem”.

Wojciecha Kilara cechowała wyjątkowa skromność i pokora. „Przez całe życie – jak pisze Maria Wilczek-Krupa w znakomitej biografii tego kompozytora – był pewien, że próżność i megalomania to główne narzędzie zła. Dlatego wystrzegał się pychy jak ognia, choć miał świadomość, że nie zawsze robił to skutecznie”.

Stanisław Sławomir Niciejka

Emilia Dłużewska

Jak płakać w miejscach publicznych

Znak Literanova, Kraków 2023



Książka Emilii Dłużewskiej wpisuje się w dwa mocne trendy. Pierwszy to niegasnąca popularność tzw. literatury konfesyjnej. Drugi to otwarte i stosunkowo szczere pisanie o chorobie psychicznej. Brzmi to jak plan na komercyjny sukces i... literacką katastrofę. Nie mam pojęcia, czy autorka sukces odniesie, ale wiem, że to książka udana. Nie ma tutaj nieznośnego patosu, poradnikowej nowomowy; jest lekko,

strawnie i momentami nawet przyjemnie. Formalnie mamy elementy felietonu, szkicu, dziennika trudów i znoju (szczęśliwie wydawca nie próbuje nas przekonać, że mamy do czynienia z powieścią), czyli modny dziś miszmasz gatunkowy. Autorka bawi się językiem, rzuca nawiązaniami i metaforami jak triumfator talarami. Nie ma tutaj mrocznej, długiej nocy w stylu Larsa von Triera, jest raczej splot mniej lub bardziej udanych, niekiedy kuriozalnych codziennych zdarzeń, jak w „Świecie według Kiepskich”.

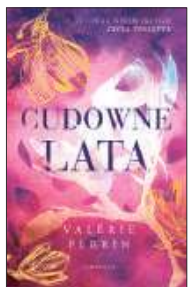
Rafał Piłkuła

Valérie Perrin

Cudowne lata

tłum. Joanna Prądyńska

Albatros, Warszawa 2023



Z perspektywy lat okres przechodzenia z dzieciństwa w dorastanie może się wydawać cudowny. Zostają w pamięci wygłupy, ulubione filmy i piosenki, zapachy, obrazy – mieszanina, w której najważniejsze jest poczucie, że niedługo porzuci się poszufłakowany światek francuskiego miasteczka i ruszy na podbój wielkiego świata, Paryża. Całą trójkę – Nina w środku, chłopaki po bokach, życi bardziej niż rodzeństwo. Ale tak naprawdę to dzieciństwo pozostawia głębokie rany: problemy z identyfikacją płciową, nękanie przez nauczyciela, brak matki. Tyle że potem nawarstwiają się złe decyzje, a przyjaźń się sypie. Co rozdzieliło nierozłącznych? Jeśli dostaną ostatnią szansę, co z nią zrobią? Tak jak wcześniej wydane „Życie Violette” to powieść z nurtu „zawsze jest nadzieja”: walcz, nadal możesz wybrać dobrze, znaleźć dla siebie miejsce, nie odbieraj sobie tego. Co ważne, książka żywa, z mocnymi postaciami, nie pogadanka motywacyjna.

Aleksandra Pańko

Tłok na Olimpie

Widowisko „Olimp” Wojciecha Kościelniaka według „Odysei” Homera zobaczyłem kilka miesięcy po premierze. Spektakl dyplomowy studentów kierunku aktorsko-wokalnego Akademii Teatralnej trzyma się krzepko, błyszczy świeżością jak premiera. Jak zawsze u Kościelniaka wszystko do siebie dopasowane, precyzyjnie połączone, w organicznym rytmie i z sensem. Specyfika dyplomu sprawia, że chodzi nie tyle o warsztatowy pokaz umiejętności inscenizatora, przecież dobrze znanych i podziwianych, ile o wykazanie stopnia przygotowania do zawodu ósemki wykonawców. Pod tym kątem skomponowany został scenariusz uwzględniający możliwość indywidualnej prezentacji młodych aktorów. Służył temu doskonały pomysł wpisania przygód Odysa w sekwencję koszmarów dziecięcych – przerzucenie mostu między współczesnymi lękami młodych ludzi a bohaterami antycznego arcydzieła spolonizowanego przez Lucjana Siemieńskiego. Okazało się, że bardzo im do siebie blisko.



Zresztą, od razu to trzeba podkreślić, młodzi wykonawcy świetnie się czuli w archaizowanym języku „Odysei”, nie akcentowali jego obcości, a jeśli czasem w ucho wpadała jakaś dziwność, to stała się rodzajem ozdobnika.

Dyplom potwierdził po raz kolejny, że uwieńczone sukcesem zabiegi Andrzeja Strzeleckiego, aby utworzyć specjalizację wokalną w Akademii Teatralnej, pięknie owocują. Zachwytowi nad energią i radością grania oraz przygotowaniem wokalnym i choreograficznym wykonawców towarzyszy świadomość, że taki spektakl można wykreować tylko tutaj, bo bez młodzieńczej werwy przedstawić tego się nie da. Kończący akademię rocznik pokazał, że naprawdę wiele się nauczył, toteż należą się gratulacje całemu zespołowi artystycznych opiekunów (porywająca muzyka i scenografia) i piekielnie uzdolnionych uczennic i uczniów. Ewa Bułaka (Kirke), Katarzyna Granecka (Sylla), Karol Gronek (Eurymachos), Adrianna Hanslik (Penelopa), Matusz Jakubiec (Ajol), Paulina Pytlak (Kalipso), Dawid Suliba (Polifem) i Maciej Marcin Tomaszewski (Odys) pokazali, jak się tworzy idealnie zgrany zespół, z którego wylaniają się soliści. A solistami są wszyscy.

Tomasz Miłkowski

„Olimp” według Homera, adaptacja tekstu i reżyseria Wojciech Kościelniak, tłumaczenie Lucjan Siemieński, Akademia Teatralna w Warszawie, spektakl 17 lutego 2023

Kolumnę przygotowała
Agata Gogólkiewicz

Dorota Fischer

Zaczynamy zwyczajnie, od ozdobienia prostego stoika. Tak, jak najbardziej lubimy. Potem jest już trudniej. Do stoika wędrują karteczki, na których zapisujemy nasze sukcesy, wydarzenia, które zostawiły w nas pozytywne wspomnienia, spotkania z ludźmi, którzy miło zapisali się w naszej pamięci. To zadanie warsztatów ma na celu umocnienie wiary w siebie i akceptację własnej osoby. Rozglądam się po sali. Niektórym uczestnikom szukanie pozytywnych momentów przychodzi z trudem, stoiki innych zapełniają się szybciej. Te „stoiki pozytywnych emocji” zabierzemy do domu. Będziemy do nich zaglądać, gdy będziemy tracić pewność siebie lub dopadną nas negatywne myśli.

Wspólnota przeżyć

Jestem uczestniczką warsztatów dla *survivors*, czyli młodzieży i młodych dorosłych po leczeniu onkologicznym. Od ponad 10 lat na Ranczu Palomino w Starych Żukowicach pod Tarnowem Fundacja Pani Ani – Psychoterapeutyczna Rehabilitacja Dzieci Chorych Onkologicznie prowadzi kilkunastu spotkań psychoterapeutyczne, których zadaniem jest przede wszystkim budowanie wiary w siebie i poprawa komunikacji młodego człowieka po chorobie nowotworowej.

Osobom, które nie miały styczności z onkologią, może się wydawać, że zakończenie leczenia to zakończenie choroby, a po opuszczeniu szpitala onkologiczny rekonwalescent wraca do normalnego życia. Do życia tak. Tylko że nie jest ono już takie jak przed chorobą. Szczególnie w przypadku ludzi młodych, gdy szybki rozwój osobowości w okresie dorastania prowadzi do dużych zmian w psychice. Bolesne, długotrwałe leczenie powoduje, że młody *survivor* po przerwie spowodowanej pobytem w szpitalu często nie jest w stanie nawiązać kontaktu z otoczeniem. A i jego rówieśnicy nie zawsze potrafią reagować na nowe, nieznane sytuacje, na „starego-nowego” kolegę czy koleżankę, którzy do domu wrócili z innego kalibru, traumatycznymi

Korepetycje z życia

Na Ranczu Palomino młodzież po chorobach onkologicznych zdobywa nowe umiejętności

doświadczeniami, z niekiedy zmienionym ciałem, zmienioną psychiką. Młodzież po chorobach onkologicznych nieraz zmaga się z depresją, brakiem poczucia wartości, samotnością, odrzuceniem przez grupę rówieśniczą, problemami z werbalizacją przeżyć. Zrozumiała nadopiekuńczość rodziców nie pomaga, wprost przeciwnie, działa deprymująco.

Jak z tego wyjść? Sposób na to znalazła Ania Buchacz, założycielka i prezeska Fundacji Pani Ani. Sama należy do *survivors*, chorowała jako nastolatka, więc doskonale zna te problemy. Jest ponadto psychoonkologiem i ma wieloletnie doświadczenie w towarzyszeniu młodzieży i młodym dorosłym podczas choroby onkologicznej i po niej.

Na Ranczu Palomino, w miejscu, gdzie w niezwyklej symbiozie żyją ludzie i konie, Ania zaczęła organizować warsztaty – psychoterapeutyczne spotkania dla młodych ludzi, którym trudno się odnaleźć w nowej rzeczywistości. Tu, z dala od zgiełku codziennego życia, od lekarzy i od rodziców, w towarzystwie mentorów, terapeutów, psychologów młodzież może opowiedzieć o swoich lękach, autoagresji, niezrozumieniu, depresji, braku wiary w swoje siły. Przełamać bariery, spróbować czegoś nowego, pobyć wśród rówieśników, których odczucia są podobne.

– Warsztaty na ranczu dają kontakt z drugim *cancer survivor*, z osobą, która przeszła to samo, co ja. To niezastąpiona relacja. Bo nikt nie zrozumie tego, co się przeszło, poza osobą, która przeszła taką samą drogę, emocjonalnie i traumatycznie. To buduje. Warsztaty są ponadto okazją do pracy nad sobą i do odkrywania siebie – mówi Magdalena Jaworska, *survivor*, uczestniczka i wolontariuszka wspierająca pracę Fundacji Pani Ani.

– Tu jest bezpieczna przestrzeń, bezpieczne miejsce, w którym przeżywa się mnóstwo emocji. Po całym dniu pracy nad sobą wiem, że jest coś, co chciałabym stąd wywieźć, mieć to nadal w głowie i stosować w życiu codziennym. To tak, jakby się dostało klucz do drzwi, które kiedyś bardzo chciało się otworzyć z ciekawości, i już nie można się doczekać, żeby wrócić do domu i pootwierać te drzwi.

Sens zabawy

Niektóre zadania terapii przez sztukę prowadzonej przez Magdalenę i Marcina Marszałkowskich z Wiednia pozornie wyglądają jak dziecięce zabawy. Mają jednak głęboki sens. Pomagają poznać własne ciało, przełamać barierę wstydu, zajrzeć do środka siebie, reaktywować pamięć. Przygotowywane przez uczestników scenki teatralne nie tylko pozwalają pracować wyobraźni, lecz także mają dodać odwagi w wyrażaniu życzeń i potrzeb. Umiejętność, którą *survivors* często muszą zdobywać na nowo, bo podczas choroby decydowali za nich z reguły inni – rodzice, opiekunowie, lekarze.

Marcin Marszałkowski, od 2019 r. towarzyszący młodym *survivors* podczas warsztatów Fundacji Pani Ani, wyjaśnia: – Warsztaty to wolność od swojej rodziny. Dystans daje możliwość koncentrowania się na własnych myślach. Za każdym razem widzę na tych spotkaniach przemianę młodego człowieka, on tutaj się otwiera. Było kilkoro uczestników, którzy tę metamorfozę przeszli w radykalny sposób, z osoby kompletnie pod kloszem rodziców troszczących się o jej zdrowie w osobę, która potrafi samodzielnie myśleć, zdecydować, nawet wyruszyć w podróż, żeby zobaczyć trochę świata.



Do tych przemian potrzeba przede wszystkim przestrzeni i odwagi. Ta przestrzeń to miejsce warsztatów i ludzie, którzy pracują z *survivors*. A odwaga? Tę przynoszą ze sobą uczestnicy – ci, którzy dopiero usłyszeli o takiej formie pomocy i zdecydowali się na przyjazd, i ci, którzy po raz kolejny biorą udział w turnusie terapeutycznym.

– Pierwszy raz przyjechałem na warsztaty jako uczestnik w 2011 r. I tak zostałem. Teraz jestem tu w innej roli, jako *survivor mentor*, ale i jako uczestnik. Tu jest cisza, spokój, to czas, kiedy można sobie pewne rzeczy przemyśleć, poukładać. Warsztaty dają nam narzędzia do tego, żeby operować swoimi myślami. Jeśli nie samemu, to z pomocą ludzi, którzy tutaj są i prowadzą panele warsztatów – opowiada Karol Gawel.

Konie. Ważną częścią pobytu jest możliwość jazdy konnej i pracy z końmi. Chociaż na początku lista chętnych do bliskiego spotkania z tymi niezwykle zwierzętami pozostawała pusta, na zajęciach na ujeżdżalni przyszli wszyscy uczestnicy. Niektórzy tylko jako obserwatorzy, inni odważnie dosiadali spokojnych, cierpliwych koni. Doświadczenie instruktorów jazdy konnej pozwoliło młodym ludziom zapomnieć o ograniczeniach ich ciała i psychiki. Na to jedno popołudnie

dosłownie „trzymali wodze fantazji” w swoich rękach. Na zakończenie warsztatowej sesji jeździeckiej Miłosz, jeden z *survivors*, powiedział: – Lubię konie. Jak byłem przy nich, to czułem takie ciepło i to, że jestem mocniejszy.

Nie trzeba szukać piękniejszego podsumowania.

Cztery dni pobytu młodych ludzi po chorobach onkologicznych na wzMOCNIŁonych Warsztatach mijają błyskawicznie. Czas wypełniają nie tylko zajęcia terapeutyczne. Bardzo ważne dla pozytywnego efektu terapii jest to, żeby uczestnicy mieli możliwość poznania się, wymienienia przeżyciami i myślami. Ta boleśnie doświadczona przez życie młodość ma w sobie niezwykłą uważność, otwartość na drugiego człowieka, zrozumienie, potrzebę bycia ze sobą. Bierze udział w zajęciach terapeutycznych, ale i razem spędza czas wolny – przy grillu, na porannych spacerach, na długich rozmowach. Jest zaduma, wymiana doświadczeń, ale także dużo śmiechu, odprężającej radości. Jedno pomaga drugiemu.

Słotki i wiara w siebie

– Celem naszych warsztatów jest aktywacja młodych *survivors* po leczeniu onkologicznym poprzez bardzo proste narzędzia, przestrzeń

Uczestnicy wynoszą z warsztatów nowe znajomości, wiarę w siebie, chęć spróbowania czegoś nowego, inne podejście do życia i do swojej choroby.

i czas, który spędzają razem. Uczestnicy mają miejsce na werbalizację emocji, komunikację, przełamanie własnych barier, bycie ze sobą. Podczas spotkań nie definiują się jako osoby z diagnozą, ten etap mają już jakby za sobą. To jest to, co w życiu realnym po leczeniu nie zawsze funkcjonuje, bo często jesteś postrzegany jako osoba po chorobie z późnymi lub ubocznymi skutkami. Wystarczy trzy-cztery dni i młodzież wraca do domu aktywowana i odświeżona. To jest ta magia warsztatów, tzw. poważna zabawa – podkreśla Ania Buchacz.

Tylko raz podczas całego turnusu zauważam smutne miny uczestników – podczas ostatniego śniadania. – My nie chcemy wracać. Chcemy tu zostać – oznajmiam zgodnie. Doskonale ich rozumiem. I ja nie mam ochoty stąd wyjeżdżać ani rozstawać się z moimi nowymi znajomymi. Zostało nam już niewiele wspólnych godzin. Jeszcze tylko sesja z Anią, podsumowująca warsztaty. Co zabierzemy ze sobą do domów? Wszyscy mówią podobnie: nowe znajomości, wiarę we własne możliwości, chęć spróbowania czegoś nowego, wiedzę o sobie, inne podejście do życia i do swojej choroby, poczucie bycia razem. No i słotki z pozytywnymi emocjami.

Magia trwa do ostatniej chwili, do pożegnania. Wszyscy chcą tu wrócić, na kolejne warsztaty, na spotkanie. Na Ranczo Palomino, cudowne miejsce na południu Polski, gdzie czas się zatrzymał, a młodzi *survivors* dzięki wolontariuszom Fundacji Pani Ani zdobywają nowe umiejętności i uczą się życia po chorobie.

Zegnam się z Jolą i Darkiem Luberami, twórcami Rancza Palomino, którzy wiele lat temu stworzyli swój dom i serca dla Fundacji Pani Ani. Zegnam się z Anią Buchacz, która daje możliwość psychoterapeutycznej rehabilitacji tym, o których system opieki zdrowotnej często zapomina. Zalecenie organizmu to nie koniec choroby. Pozostaje jeszcze psychika, której wpływ na proces zdrowienia jest niezwykle ważny. ■

Zuzanna Muszyńska

Arktyka to kawał lodu – zamrznięty Ocean Arktyczny, otoczony łądem zamieszkanym przez 4 mln ludzi i niedźwiedzie. Antarktyka to Antarktyda – piąty kontynent Ziemi, jej najzimniejszy punkt, pustynie, pingwiny i bezludzie – oraz otaczający ją Ocean Południowy i jego wyspy.

Prof. Monika Kusiak, geolog i geochemik izotopowy, pracowała zarówno na skrajnej północy, jak i na odległym południu globu – wzięła udział w siedmiu ekspedycjach polarnych. 8 stycznia 2022 r. o godz. 15.13 postawiła stopę w Oazie Bungera na Antarktydzie, gdzie nigdy wcześniej nie było Polki ani polskiego geologa.

Kobieta potrafi

Położona w Oazie Bungera Polska Stacja Antarktyczna im. Antoniego Bolesława Dobrowolskiego była nieczynna od 1979 r. Po przeszło 40-letniej przerwie dotarło do niej czworo polarników – Marek Lewandowski (kierownik wyprawy), Monika A. Kusiak, Adam Nawrot i Wojciech Miloch. Celem wyprawy było przywrócenie stacji do życia, oszacowanie jej potencjału naukowego oraz infrastruktury. – Wiedzieliśmy, że jedziemy do sprzątnięcia – podkreśla prof. Kusiak i prosi, żeby mówić jej po imieniu.

Rewitalizacja placówki to pomysł prof. Lewandowskiego. Stację wybudowali w 1956 r. Rosjanie nad Jeziorem Figurowym na Antarktydzie Wschodniej. Pierwsi polscy naukowcy dotarli na sezon 1958/1959 z 4. Radziecką Ekspedycją Antarktyczną. 23 stycznia 1959 r. stacja trafiła w ręce Polaków. Do 1979 r. odwiedziło ją 25 polskich naukowców.

Zgodnie z założeniami traktatu antarktycznego, podpisanego w 1959 r. w Waszyngtonie przez 12 państw (obecnie 55 sygnatariuszy, w tym Polska), nasz kraj zobowiązany jest do opieki nad Stacją Dobrowolskiego. W 2018 r. Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego przyznało środki na jej rewitalizację. – Polska nie ma lodołamacza, który mógłby dotrzeć do wybrzeży

W drodze na Marsa

Prof. Monika Kusiak jako pierwsza Polka postawiła stopę w Oazie Bungera na Antarktydzie



Na lodołamaczu z tulipanami otrzymanymi na Wigilię.

Antarktydy. Rosjanie pływają tam co roku, „paszportem” na ich statek była moja wiedza – tłumaczy Monika. Prof. Lewandowski ściągnął ją do Instytutu Geofizyki PAN w Warszawie jako osobę rozpoznawalną w świecie nauki. Jej spotkanie z Rosjanami, do którego doszło w Korei Południowej, okazało się bardzo owocne. Była zgoda na współpracę z Polakami. – I na mój udział w wyprawie – dodaje prof. Kusiak. – Przestała im przeszkadzać moja płeć, liczyło się doświadczenie geochemiczne w badaniach początków Ziemi. Odkryłam zjawisko tworzenia się koncentracji metalicznego ołowiu w cyrkonach i to uczyniło mnie jedyną na świecie.

– W sezonie 1958/1959 dotarła na Antarktydę wraz z rosyjską

ekspedycją pisarka Alina Centkiewicz, pierwsza Polka na tym kontynencie (szósta kobieta na świecie). Wtedy nie było zgody Rosjan na dalszą podróż Aliny z oddalonej o ok. 350 km stacji Mirnyj na południe, za Lodowiec Shackletona. Pozwolono jej jedynie spojrzeć na Oazę Bungera z okna samolotu. Podobny los spotkał w sezonie 1978/1979 prof. Marię Agatę Olech z Krakowa, pierwszą polską lichenolog polarną, która tuż przed ekspedycją dowiedziała się od Rosjan, że nie weźmie w niej udziału – opowiada Monika. Siedem lat później prof. Olech została trzecią Polką, która przeżywała na Polskiej Stacji Antarktycznej im. Henryka Arctowskiego. – Warto wspomnieć, że prof. Olech była również pierwszą



Uczestnicy 4. Wyprawy Geofizycznej do Polskiej Stacji Antarktycznej im. Antoniego Dobrowolskiego – Marek Lewandowski, Monika A. Kusiak, Adam Nawrot i Wojciech Miloch.



Polska Stacja Antarktyczna w Oazie Bungera.

kobietą na stanowisku kierownika całorocznej wyprawy polarnej. Była to 16. wyprawa do Stacji Arctowskiego na początku lat 90. – mówi Dagmara Bożek, specjalistka ds. komunikacji naukowej w IGF PAN, autorka projektu „Polarniczki”. – Dzięki jej staraniom udało się zachować tę stację, ponieważ w dobie przemian politycznych i gospodarczych pojawiły się głosy, że Polsce nie jest potrzebna placówka naukowa w odległej Antarktyce – dodaje.

Podróż lodołamaczem

Przed zeszłoroczną wyprawą odbyło się 99 spotkań – po jednym tygodniowo – zespołu DTF (Dobrowolski Task Force). – Dostaliśmy

duże wsparcie, odbyliśmy też ćwiczenia przygotowawcze, od zaawansowanych kursów pierwszej pomocy po treningi poruszania się po trudnym terenie, podczas których skakałam w ubraniu z łódki do jeziora, jesienią! – wspomina Monika. Cała wyprawa razem z dojazdem miała trwać mniej więcej dwa i pół miesiąca, ale z powodu COVID-19 zdecydowano, by zamiast lecieć do Kapsztadu, przepłynąć całą trasę. Czas podróży wydłużył się do czterech i pół miesiąca, z 37-dniowym pobytem na stacji włącznie.

W Bremerhaven Rosjanie pozwolili Polakom wejść na statek i obejrzeć kajuty. – Zarządziłam zakupy pościeli, czajników, kupiliśmy poza tym dużo jajek i wędlin na zapas. Na statku

mieliśmy cztery posiłki dziennie – relacjonuje Polka. W dwóch kontenerach płynęło 11 ton bagażu. Nikt z załogi lodołamacza, fachowców płynących na stacje całoroczne, pracowników kuchni czy niewielkiej grupy rosyjskich naukowców – w sumie 170 osób – nie władał angielskim. Wszystkie komunikaty wydawane były po rosyjsku. Polacy w ramach przygotowań do podróży mieli zajęcia językowe z Dagmarą Bożek, która jako tłumaczka języka rosyjskiego wspierała instytut w kontaktach ze stroną rosyjską i pomagała kolegom przygotować się do komunikacji zarówno w drodze, jak i podczas pobytu na Antarktydzie. Monika wzięła ze sobą podręcznik, korzystała również z biblioteki na statku. – Dziś mogę powiedzieć, że mówię biegle po rosyjsku – ocenia.

22 listopada w okolicach równika odbył się chrzest w prowizorycznym basenie. Personel kobiecy mógł korzystać z codziennych kąpieli, niestety o mało praktycznej porze, zaraz przed śniadaniem. Więż z żeńską załogą statku zacieśniała się też w saunie, w której Rosjanki szykowały specjalną ceremonię – z biczowaniem pachnącymi witkami i czajem. Do czyszczenia cery służyły fusy po kawie, jako maseczki na twarz – bita śmietana.

Na Wigilię Monika Kusiak zabrała małą choinkę, plastikowe gwiazdy betlejemskie, świąteczne czapki i po prezencie dla każdego z trzech towarzyszy podróży. Rosjanki zrobiły dla Polaków dwa ciasta, kucharz upiekł chleb, którym można było się przełamać. – Przez moją kabinę przewinęło się ponad 70 osób – wspomina prof. Kusiak. – A po zakończonej ekspedycji, kiedy ponownie wsiedliśmy na statek, nie było końca uściskom. Dostałam masę prezentów. Jedna z kobiet wydzierała dla mnie kapcie, inna wyhodowała trzy tulipany. Wręczyła mi je ze słowami: *Dla żenszczyzny, ktoraja rabotajet s mužczinami, czto by nie zabyła, czto ona ženszczyzna*. Wysuszone płatki do dziś w instytucie trzymam w słoiczku.

Jak podróżuje się lodołamaczem? – Trochę do przodu, poczekać – i do tyłu. Strasznie trzęsie. Kanał wodny na tyłach statku szybko zamarza. ►

► Płyniesz i widzisz w oddali góry lodowe, wszystko jest biało-niebieskie. Czasem widać inne statki, które utknęły na lodzie.

Nie zostawiamy po sobie niczego

Oaza Bungera o powierzchni 942 km kw. jest trzecią pod względem wielkości na Antarktydzie. Oaza, czyli miejsce, które nie jest pokryte lądolodem. Stacja Dobrowolskiego znajduje się ok. 80 km od brzegu oceanu, jest trudno dostępna. W odległości 270 m od niej leży rosyjska Bunger Oasis Station (kiedyś Oasis 2), a 7,5 km dalej, na skraju oazy, australijska Edgeworth David. – Są na Antarktydzie stacje położone bardziej w głębi lądu, ale to tu stykały się granice dawnych kontynentów, jest to więc jedno z najciekawszych, a jednocześnie najmniej poznanych geologicznie miejsc na świecie – tłumaczy Monika.

Transport ze statku może trwać kilka dni, w zależności od pogody. Dla polskiej ekspedycji zaskoczeniem było to, że helikopter jest w stanie udźwignąć jednorazowo 4,5 tony ładunku w kontenerze. Reszta musiała polecieć razem z uczestnikami wyprawy, w wielkiej siatce podwieszanej pod maszyną. Monika: – Na szczęście mieliśmy szczegółowy spis rzeczy, zabrałam się więc do przeszukiwania zawartości skrzyń i beczek według klucza: namioty, spiwory, żywność. I to świetnie się sprawdziło, gdyż z powodu silnego wiatru helikopter wrócił z resztą bagażu dopiero następnego dnia.

Na stację składają się małe budynki gospodarcze oraz dwa domki: Warszawa od strony północnej i Kraków od południa. Zbudowane z sosny syberyjskiej wymieszanej z bakelitem, są szczelne i ciepłe, choć wizualnie w opłakanym stanie. Monika zamieszkała w namiocie, który rozbiła na skraju obozowiska, w miejscu oczyszczonym z kamieni podczas jednej z poprzednich ekspedycji. Wyjaśnia: – Był pomysł, żeby spać w czwórce w jednym pokoju, na łózkach, które przywieźliśmy, ale ostatecznie w domku zamieszkał tylko Marek, dla którego osobiście

szorowałam podłogi oraz czyściłam ściany i sufit. Odpowiadał mi żywot na uboczu, gdzie mogłam być trochę sama ze sobą.

Toaleta pojawiła się w obozowisku bardzo szybko. – Na Antarktydzie nie zostawiamy po sobie niczego, zawartość toalety oraz odpady należy w miarę możliwości spalić. To, czego spalić się nie da, wraca z nami – zaznacza Monika Kusiak. – Wrócili również śmieci pozostawione przez poprzedników i gości stacji. Wszystko jest ważone, notowane i tym zajmowałam się głównie ja. Uprzątnęliśmy 381 kg śmieci.

W domku ogrzewanym prądem z generatora już trzeciego dnia dało się wytrzymać bez czapki. Temperatura w okresie lata antarktycznego wynosi kilka stopni na plusie. Najbardziej dokuczliwy jest wiatr. Widać na zdjęciach, jak Monika, drobna blondynka, z trudem opiera się jego sile. Nierzadko wędrowała dociążona wiadrzem z wodą. Wielokrotnie pokonywała z nim odległość od słodkowodnego jeziora do bazy. – 180 kroków pod górę – wylicza. Okazało się, że wody nie trzeba uzdatniać, można ją pić ot tak.

Codzienne mycie w wodzie oznaczałoby jeszcze więcej wycieczek z wiadrzem. Na szczęście Polacy mogli gościć co sobotę w saunie u sąsiadów. Tam prof. Kusiak zażywała kąpeli i robiła pranie. Na co dzień myła się przed wejściem do spiwora mokrymi chusteczkami. Śmieje się, że po powrocie dostała sporo komplementów za cerę bez zmarszczek i piękne, lśniące włosy. Najbardziej bała się, że wiatr zwieje jej namiot. – Wyobrażałam sobie moje rzeczy spadające z góry do jeziora, więc trzymałam wszystko spakowane i posortowane w torbach po obu stronach spiwora.

Praca odbywała się głównie na zewnątrz, toteż podstawą garderoby były trzy komplety białej termicznej i idealnie dobrane buty. Monika trafiła ze swoimi lepiej niż szef wyprawy, który na początku cierpiał, przemieszczając się po kamienistym podłożu. Mniej szczęścia miała za to do roboczych spodni, które zamówiono omyłkowo w rozmiarze 46 zamiast 36. – Trzech kolegów



Kuchnia z jadalnią.

wspólnymi siłami próbowało dopasować mi te ogrodniczki, aż w końcu się udało, na szczęście, bo były pułchate i ciepłe – mówi.

W poszukiwaniu próbek kamieni przeszła 200 km. W wyprawach towarzyszył jej Seva. Koledzy z polskiej ekipy twierdzili, że teren jest zbyt trudny (Antarktyda to kontynent o największej średniej wysokości – ponad 3000 m n.p.m.). – Już lepiej by się do tego nie przyznawali – śmieje się Monika. Na kamienistym płaskowyżu zdradliwa może się okazać jedynie pokryta śniegiem, zamrznięta tafla jeziora. Rosjanie zaprosili polską profesora na sześć krótkich wypraw helikopterem w okolice Lodowca Denmana. – Gdyby nie to, nie uzyskałabym próbek, jakich nie ma nikt inny na świecie. Znad pokryw lodowca sterczą maleńkie nunataki – opowiada.

Rozmowy z rodziną za pomocą komunikatorów satelitarnych były raczej trudne ze względu na huk wiatru. Ale Monika zapamiętała z wyprawy przede wszystkim niesamowitą ciszę. I bezpieczeństwo, wokół nikogo, kto mógłby zabrać twoje rzeczy. – Żaden robał nie wejdzie do otwartej puszkę z jedzeniem – dorzuca, jako polarniczka, która ma dobre porównanie: w Arktyce robaki są.

Polacy znaleźli w okolicy ślad po Amerykanach, którzy odwiedzili ten obszar w sezonie 1991/1992. Dale Anderson, astrobiolog z NASA, zostawił napis: Onward to Mars



Prof. Kusiak przy pracy.



Zima podczas antarktycznego lata.

– W drodze na Marsa. – To zbieżność ze słowami prof. Lewandowskiego, który promował naszą wyprawę jako praktykowanie w terenie podobnym do marsjańskiego – wyjaśnia Monika. Nawiązała już kontakt mejlowy z Dale’em i liczy na spotkanie. Na razie tu, na Ziemi.

Rób to, o czym marzysz

„Jedną z głównych lekcji, jakie daje nam geologia – pisze Andrew H. Knoll w książce „Ziemia” – jest uświadomienie sobie, jak ulotna, krucha i drogocenna jest nasza teraźniejszość”. Prof. Kusiak uważa, że jej zawód to zarządzanie Opatrznością: – Zawsze byłam niespokojnym duchem. Mój pierwszy fakultet

to muzyka, gram na flecie poprzecznym. Zdałam na chemię na UJ, bo najlepsza byłam z przedmiotów ścisłych, ale przeniosłam się za namową koleżanki na geologię ze specjalizacją mineralogia, gdzie studiowało się bardziej kameralnie. Skąd fascynacja surowym klimatem? Wcześniej sądziłam, że jestem ciepłolubnym stworzeniem. Zrobiłam doktorat z Górnośląskiego Zagłębia Węglowego (śmiech). Może zaczęło się od projektu w Japonii, gdzie pojechałam prowadzić badania nad początkami Ziemi. W Polsce nie ma skał w wieku 4 mld lat – są na Antarktydzie, Grenlandii, Labradorze i w Chinach.

Jej pierwsza przygoda z Antarktydą miała miejsce w 2011 r. Wyjechała na Wyspę Króla Jerzego do Stacji Arctowskiego ze swoim mentorem, śp. prof. Krzysztofem Krajewskim. Wyprawa trwała pięć tygodni, podczas których mąż Moniki Wojciech, dziennikarz radiowy, dużo pracował, a do dzieci przychodziła pani pomagać z lekcjami, inna sprzątała dom. – Tymczasem ja, wędrując wczesnym rankiem po zamrożonym morzu, rozmyślałam, czy raj to na pewno palmy, czy może pingwiny – żartuje matka dwójki dzieci, teraz już dorosłych. Dodaje, że jej zdaniem macierzyństwo jest najważniejsze, ale da się to wszystko pogodzić.

Rodzina przemieszczała się z nią po świecie pomiędzy Japonią, Australią, Szwecją, Niemcami, Krakowem i Warszawą. – Bo pasje są równie ważne, pozwalają wstać rano i biec do pracy, w której spędza się przecież mnóstwo czasu.

Do Oazy Bungereza zabrała ze sobą spódnice. Zakładała ją na statku, a potem wystroiła się do ceremonii powieszenia polskiej flagi w rocznicę powstania stacji. Do Polaków dołączyło 12 rosyjskich sąsiadów, pomogli ustawić maszt. Najbliższa kobieta była oddalona o ok. 300 km. – Wzorowałam się na Alinie Centkiewicz, która na filmie z wyprawy polarnej miała na sobie długą suknię i wielkie klipsy w uszach – wspomina Monika.

Następna wyprawa? W kwietniu, na Grenlandię. Prof. Kusiak jako jej kierowniczka na pewno nie pozwoli uczestnikom na spożywanie alkoholu. – Może jako matka jestem nadopiekuńcza, ale to się przydaje w warunkach ekstremalnych – oświadcza. Jest za równouprawnieniem, ale rozumie je nieco inaczej: – Gdy dobieram zespół, nie patrzę na parytety płci, ważne są kompetencje. Na ekspedycję nie jedzie przypadkowa składanka ludzi, jest dobrze, gdy wzajemnie się szanujemy i wykorzystujemy nasze różnice. Jeśli ktoś musi postukać młotkiem, niech zrobi to ten silniejszy, skoro tak go stworzyła natura.

Monika Kusiak została niedawno nominowana do grona stu polarniczek WiPS – Women in Polar Science. W swojej wiadomości dla świata napisała: „Rób to, o czym marzysz. Nie lękaj się bujać w obłokach i wyjdź z pudełka”. Marzenia Polek i Polaków o dostaniu się na Antarktydę są mniej realne, dopóki trwa wojna w Ukrainie. Polskim naukowcom nie wolno współpracować z rosyjskimi koleżankami i kolegami. Prof. Kusiak wystąpiła znajomym Rosjanom życzenia miłości i pokoju. Mówi: – Tam, gdzie ludzie są w ekstremalnych warunkach, a po drugiej stronie natura, albo sobie pomagamy, albo nie przetrwamy. Nie ma narodowości – liczy się człowiek.

Zuzanna Muszyńska
z.muszynska@tygodnikprzeglad.pl



Plac Tomáša Masaryka.

Ostrawa – miasto wizualizacji

W dawnym ośrodku przemysłu ciężkiego oddycha się dziś czystym powietrzem

Beata Dżon-Ozimek

Korespondencja z Ostrawy

O Ostrawie mówi się, że to miasto wizualizacji. W ciągu minionych 15 lat powstało np. kilka wizji przebudowy głównej stacji kolejowej i kształtu ostrawskiego niebotyku. Ostrava Tower ma być najwyższym budynkiem w Czechach (235 m) i właśnie dostał on zielone światło. Rozbudowa Domu Sztuki czy filharmonii też ma imponujące wizualizacje, w tworzeniu niektórych projektów uczestniczyli polscy architekci. Galeria Sztuki Współczesnej PLATO zyskała nową siedzibę w starej rzeźni dzięki projektowi Roberta Koniecznego.

Odwiedzam miasto w ważnym dla Czechów dniu – w 30. rocznicę powstania Czeskiego Narodowego Banku i czeskiej waluty, czyli oddzielenia

się od Słowacji. To pierwszy dzień emisji banknotu 1000-koronowego z okolicznościowym nadrukiem. Pod budynkiem banku narodowego stoi gigantyczna kolejka. Rocznicowe 1000-koronówki jeszcze tego samego dnia osiągną na aukcjach pięciokrotne przebicie.

Stoimy na wysokości 73 m na bardzo wietrznej, najwyższej w Czechach platformie wieży największego czeskiego ratusza i gwarzymy o ostrawaku Nohavicy, teatrze, książkach. Filip Witkowski, Polak z Katowic, siostrzanego miasta Ostrawy, jest studentem bohemistyki, koordynatorem polskich usług przewodnickich w Ostrawie. – Jak mówią Czesi, będziemy sobie tykać, a nie wikać – uśmiecha się Filip. Czesi zwyczajowo jednak się nie tykają, mają formę „wy” jako oficjalną, zamiast „pan/pani”. A na mieszkańców Ostrawy

w regionie mówią ostrawak, a nie ostrawianin.

W dawnym ośrodku przemysłu ciężkiego oddycha się czystym powietrzem, potwierdzają to rankingi, np. portal IQAir. Zamiast licznych kopalń, kombinatu hutniczego i kokosowni mamy tu nietrujące postindustrialne zabytki pełne kultury, sztuki i dobrego jedzenia.

Karwina, podobnie jak Miedzianka

– Z moich obserwacji i rozmów z czeskimi znajomymi wynika, że literatura jest dla nich bardzo ważna i żywa. Cały czas na tapecie są klasyki, ale i nowa literatura ma szansę, świadczy o tym choćby liczba odwiedzających podczas naszego festiwalu literatury, tym razem 3-4 marca. Z racji innego stylu życia, również

tego rodzinnego, Czesi więcej czasu poświęcają na wspólne czytanie z dziećmi. Jeżeli np. u nas na wieży pojawia się jakaś nowa publikacja o Ostrawie, historii regionu lub coś podobnego, to niektórych musimy odprawić z kwitkiem, bo nakład się wyprzedza – wylicza Witkowski. Magdaléna Staňková z Galerii Sztuk Pięknych (Dom Sztuki) GVUO mówi mi o książce „Šikmý kostel” (Krzywy kościół) Karin Lednickiej, która porwała Czechów do poznawania lokalnych historii. Magdaléna ma polskie korzenie, mieszka w Žyvočicach niedaleko Karwiny, tej z rzeźwistym „krzywym kościołem”. Ta historia górniczej osady, nieistniejących obiektów, ludzi, którą Lednická ożywiła ku wielkiemu zainteresowaniu czytelników (coś jak nasza „Miedzianka” Filipa Springera), bardzo mocno obchodzi mieszkańców tych okolic. Spektakle w Ostrawie i w Czeskim Cieszynie były oblegane. Magdaléna mówi, że właściwie każda rodzina stamtąd odnajduje część swojej historii w tej lokalnej sadze.

– Sztuka mną wstrząsnęła, bo znam historię, znam język czeski i polski, pochodzę z Katowic, z typowo śląskiej rodziny górniczo-hutniczej, więc te emocje, jeśli dochodzi do wypadku, są mi znane. Kiedy mój ojciec pracował na kopalni, zawsze najważniejsze dla mnie było dowiedzieć się, gdzie był wypadek, żeby wiedzieć, czy wszystko jest w porządku – przyznaje Witkowski. Podkreśla, że codzienna obecność sztuki wydaje mu się ukrytą cechą Czechów, o której wie mało Polaków: – Widzi się tylko piwośzy, a często to piwo towarzyszy właśnie książce czy sztuce teatralnej.

Przekonuję się o tym wieczorem, gdy widzę tłum odświętnie ubranych ludzi w Teatrze Antonina Dworžaka na śpiewanej po czesku operze komicznej. Przede mną kupowała bilety niewidoma młoda kobieta.

Zauważam ją na widowni, wygląda na szczęśliwą.

Historia kolekcji i zakarpacka Ruś

W śródmieściu, przy ulicy Nádraží, zaciekawia kawiarnia Elektra w przedwojennym Domu Górnik. Trochę tam dekadensko. Budynki w tej części Ostrawy zachwycają, wiele z nich to modernizm w czystej postaci. W pobliżu Dom Sztuki GVUO – zbudowany jako galeria sztuki w wyniku publicznego przetargu w 1926 r. Cegła, proste kształty, dużo szkła. Pod ziemią piwnice na magazyny i jedyny w kraju specjalny skaner do dzieł sztuki, jeden z 30 takich na świecie. Kolekcja jest nieprzerwanie gromadzona od 100 lat, brakuje miejsca na pokazanie wszystkiego, przyznaje dyrektor dr Jiří Jůza. Ciekawa jest wojenna historia kolekcji. Jeden z mecenasów,

właściciel kopalni, miał letni dom w Kończycach, dokąd pod pretekstem ślubu córki przeniósł stary, drewniany kościółek z zakarpackiej Rusi. – Tam ukrył i przechował 2 tys. dzieł sztuki – opowiada dyrektor, który pełni tę funkcję już 15. rok. Jego rodzice byli tu kuratorami, więc czuje się w GVUO jak w domu. Bywa tu polska sztuka, obecnie we współpracy z Fundacją Katarzyny Kozyry jest wystawiana Urszula Broll, artystka wielu stylów. Była twórczynią poszukującą, świeżą i ciekawą wszechświata. Właśnie minęły trzy lata od jej śmierci, za chwilę świętowałyby 90. urodziny.

Galerie w Ostrawie żyją, są odwiedzane, obserwowałam to przez kilka dni. Oprócz gości zaglądała telewizja państwowa z Ostrawy, trzeci największy ośrodek czeski, albo z Pragi. Przyszli ludzie z psem, stali bywalcy; panie z obsługi zajęły się pieskiem, podkreślają, że dla Czechów zwierzę domowe to członek rodziny.

– Pod koniec ubiegłego roku mieliśmy międzynarodową wystawę „HIDDEN/Zwierzęta w antropocenie” we współpracy z berlińską galerią. Swoje zdjęcia wystawiał fotograf zwierząt z Polski, odmawiano mu ich pokazania w waszych galeriach. Dopiero po naszej wystawie ktoś z Polski do niego zadzwonił z zaproszeniem – opowiada dr Jůza. – Obserwujemy, że u was trudno się przebić z pewnymi tematami – dodają Magdaléna Staňková i Jana Maláček Šrubařová z PR-u galerii.

Przed rosyjską agresją na Ukrainę wystawiano tu rosyjskiego malarza Ilię Riepina z własnej kolekcji. – Kiedy wybuchła wojna, pomagaliśmy, zawoziliśmy na Ukrainę materiały, które miały zapobiec niszczeniu rzeźb stojących poza galeriami. Teraz uchodźcy mieszkają w naszym mieszkaniu gościnnym. Jedna z koleżanek, Marina, już u nas pracuje na pełny etat, bardzo nam pomaga – mówią Magdaléna i Jana.



Pomnik Věry Špinarovéj.

► **Generał i Jaromir**

Na ulicach wciąż wiszą plakaty z wyborów prezydenckich. Czesi z dumą podkreślają, że frekwencja wyniosła 70%, są zadowoleni z wyboru gen. Petra Pavla. Bo nawet ci mniej przekonani cieszą się, że jeden z najbogatszych Europejczyków, Andrej Babiš, mimo uruchomienia swoich kosztownych „szamb” i straszenia, że wnuki, w ogóle wszyscy,

nazwa małej harmonii, na której grywa Nohavica – przyp. aut.). Wszystkie koncerty barda są wyprzedane. Ostrawki pamiętają mu medal od Putina, ale... – Wydaje mi się, że Czech z pokolenia Nohavicy dalej go słucha. Wytłumaczył sobie, wybaczył, uznał, że ważniejsza jest sztuka. Niektórzy nawet twierdzą, że nie ma czego wybaczać, ale wielu początkowo odwróciło się od niego – mówią zgodnie Magdálana i Jana.

gości z zagranicy – to knajpka Nha Cretcheu, co z języka kreolskiego tłumaczy się jako moja miłość. Gotuje pochodzący z Wysp Zielonego Przylądka Jamie Santos. Tu rzeczywiście widać, że najpierw je się oczami: kwiaty, barwy, obrazy do zjedzenia. Dzieci, psy nikomu nie przeszkadzają.

– Czesi lubią żartować z siebie, a przy piwie zawsze można resztę przegadać – uśmiecha się Filip Witkowski. Na kilku scenach ostrawskich grywa się lokalne sztuki, skecze o ostrawakach, brniakach i prażakach, wyśmiewające przede wszystkim tych ostatnich, jednym

z aktorów jest radny miasta. Obok Nohavicy dla ostrawaków ważną artystką była Věra Špinarová. Piosenkarka zmarła kilka lat temu. Miasto szybko ustawiło jej niewielką sylwetkę na „płycie winylowej” koło kościoła ewangelickiego, ale rzeźba nie jest bardzo udana, jak słyszę, a potem widzę. – To lokalny fenomen, jest strona na Instagramie „Co dzisiaj u Špinarki?”. Każdego dnia publikuje się, co tam fani jej zostawili. A zostawiają różne rzeczy: kwiaty, doniczki, do rąk wtykają papierosa czy kostkę do gry na gitarze. Raz ktoś postawił dużą planszę figurek z McDonalda, które ze sobą walczyły – mówi recepcjonista z pobliskiego hotelu Maria.

Ostrawa powstała na węglu, przypomina o tym m.in. imponująca hałda, 315-metrowy Ostrawski Wezuwiusz. Węgiel jest też częścią wystroju stylowej kawiarni Daniel na trzecim piętrze kamienicy przy ulicy Nádraží – kawałki węgla kamiennego znajdują się w ornamentach florystycznych. Tymczasem nie można być pewnym, że ostrawskie wizualizacje są ostateczne – wizje zmieniają się niemal z dnia na dzień. Wspomniany na początku tekstu ostrawski niebotyk nie będzie jedną wieżą. Aktualnie mają powstać dwie połączone, jak planowano wcześniej, w 2020 r. To czwarta poprawka dla tej inwestycji. Ostrawa zaskoczy zapewne niejednym. Mogę się przyznać: Ostrawa, Nha Cretcheu.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

Wyemitowane w 30. rocznicę oddzielenia się Czech od Słowacji okolicznościowe 1000-koronówki osiągały pięciokrotne przebicie.

pójdą do wojska, przegrał. – W Czechach też działa propaganda, pokazały to wybory, anty-LGBT jest oczywiście najgorsza, ale nie ma tego podparcia religijnego, jak w Polsce. Współczuję wam – rozmawiam przy kofoli z uroczym mistrzem pizzy i barmanem w Café Marilyn w Dolnych Witkowicach, potężnych pozostałościach po XIX-wiecznym kombinacie górniczo-hutniczym. Niemal wrzucił mnie, kiedy poczęstował mnie kofolą za darmo, gdy nie mogłam zapłacić kartą, bo terminal nie działał, a koron nie miałam.

Niedaleko jest klub muzyczny Jaromíra Nohavicy, Heligonka (to

Czesi dobrze zrobili po zmianie ustroju, że wszystkie teczki służb odtajnili i wiadomo było, co kto ma za uszami. Teraz czas Petra Pavla, 62-letniego prezydenta elekta, który zacznie rządzić 9 marca. Niewierzący, nie będzie sięgać do sił wyższych, tylko do własnych.

Moja miłość i węgiel

Czas lunchu w Ostrawie to czas na spokojne wyjście z pracy. Widać, że mieszkańcy jadają na mieście. Jest takie popularne miejsce, gdzie można spotkać dyrektorów wszystkich galerii, pracowników kultury,

Pomóż swoim mediom!



STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZY
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ



prosi o wsparcie i pomoc dla naszych seniorów.

Aby wesprzeć działalność naszej organizacji poprzez przekazanie na konto SDRP 1,5% podatku dochodowego - należy wpisać w PIT-36 lub PIT-37 w sekcji „wniosek o przekazanie 1,5% podatku na rzecz Organizacji Pożytku Publicznego” następujące dane:

STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZY RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
Zarząd Główny - NR KRS: 0000043110

Za każdy gest dobrej woli serdecznie dziękujemy.

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

II maestro finito

Prehistoria dyrygentury zaczyna się od Jeana-Baptiste'a Lully'ego, który pilnował rytmu gry, wystukując zespołowi tempo swoją laską. Musiał to robić z dużym impetem, bo tę technikę ostatecznie zakończyła jego śmierć – raz, zamiast w podłogę, barokowy kompozytor uderzył się w stopę i tak zranił, że wkrótce umarł na gangrenę. Dzisiejsi dyrygenci wyładowują swoją energię, tnąc powietrze batutą, którą trudniej się skaleczyć, ale zdarza im się zadawać zabójcze rany emocjonalne. Niewiele jest zawodów, których charakter dopuszcza, a nawet zakłada władzę tak bezwzględną i nieznoszącą sprzeciwu; praca w orkiestrze symfonicznej opiera się na posłuszeństwie i dyscyplinie, w przeciwnym razie nigdy nie zdołano by porządnie wykonać żadnej symfonii.

„Tár” Todda Fielda, wspaniały portret psychologiczny wielkiej dyrygentki, to kinowe must-see, nie tylko z uwagi na osiągnięcie Cate Blanchett, przebijające nawet jej wybitną kreację z „Blue Jasmine” Woody’ego Allena (trzeci Oscar dla aktorki jest wysoce prawdopodobny). To nade wszystko film bardzo bezczelnie „wykluczający” widza pozbawionego kompetencji kulturowych, wymagający od pierwszych scen: kilkunastominutowej, erudycyjnej rozmowy dwojga intelektualistów o muzyce Mahlera i chwilę później niewielu krótszego branżowego dialogu o smaczkach dyrygentury. Todd Field nie bierze jeńców, zrobił prawie trzygodzinny obraz, którego bohaterka spędza czas między próbami w berlińskiej filharmonii a pracownią, po drodze wpadając na chwilę do domu, który dzieli z partnerką skrzypaczką i córką – muzyka poważna i rozmowy o niej wypełniają lwią część filmu.

Lydia Tár jest apodyktyczną, bezlitosną, kostyczną postacią, dla większości widzów jednoznacznie antypatyczną, w dodatku niemal nie schodzi z ekranu. W repertuarze multipleksów taki film to prawdziwy występ – w blockbusterowym czasie projekcji żadnej gumy do żucia dla oczu, oprócz magnetyzmu i hieratycznego piękna Blanchett brak łatwych atrakcji. Na domiar dobrego Field bez silenia się na poprawność wkłada kij w mrowisko wszystkich najgorętszych dyskursów woke-lewicy, z dogmatem kancelacji na czele. Podczas zajęć na akademii bohaterka rozkosznie znęca się nad milenialsem, który „nie jest zainteresowany Bachem”, bo lipski kantor był heteroseksualnym, cisplciowym

białym i co gorsza religijnym bykiem rozplodowym, który doczekał się dwadzieściorga dzieci. Erystycznie rozkłada go na topatki, w dodatku pozwala sobie przez moment przytrzymać jego telegraficznie roztelepane udo (młodzieniec ewidentnie cierpi na zespół niespokojnych nóg). W odpowiedzi zostaje nazwana suką, a z czasem oskarżona o molestowanie i mobbing za pomocą spreparowanego nagrania. I już czytam symetryczne głosy oburzenia, że co prawda student nie wykazał się rozsądkiem, stosując rygory współczesnych radykałów do realiów XVIII w., ale przecież każdy ma prawo do swoich poglądów.

Z innej, feministycznej flanki trwa ostrzał, bo zamiast uczynić bohaterem odpychającego mężczyznę, reżyser w tak zmaskulinizowanym zawodzie prowokacyjnie wymyślił sobie wstręciuchę. Nagle rozpoznała się w niej najbardziej wzięta obecnie żeńska batuta świata, Marin Alsop. Jedną z moich żon powtarzała zawsze z cudowną

Niewiele jest zawodów, których charakter dopuszcza, a nawet zakłada władzę tak bezwzględną i nieznoszącą sprzeciwu jak dyrygentura

ironią: „Pamiętaj, jeśli przyjdzie ci do głowy mnie opisać w książce, mogę być najgorszą żoną, ale mam być piękna” – wedle tej reguły Alsop powinna być Fieldowi wdzięczna, Cate Blanchett pięknieje z wiekiem ponad ludzką wytrzymałość, pozostawałbym pod jej urokiem, nawet gdyby zagrała komendantkę Buchenwaldu. Nie jestem zatem obiektywny, jako sapioseksualny esteta trzymam stronę bohaterki do samego końca – pomimo skrajnego braku empatii, który ostatecznie łamie jej karierę, a innym serca i życia. Nie jest złą kobietą, jest arcyłudzka w swoim egotyzmie, skłonności do manipulacji, słabostkach i narowach, które zostałyby wybaczone everymanowi, lecz nie postaci ze świecznika.

Na pytanie, czy wielkim artystom wolno więcej, film zdaje się odpowiadać, że wolno im już zgoła niewiele, coraz mniej – lada moment nie wolno im będzie nawet istnieć. Niestety, Field postanawia dopowiedzieć i ujednoznaczyć odpowiedzialność swojej bohaterki za krzywdę, którą wyrządziła, ale nie umniejsza to wielkości jego filmu. ■

Gwiazdy, celebryci i top modelki

Versace był pierwszym, który odkrył wartość sław w pierwszym rzędzie na pokazach mody

Iwona Kienzler

Wprawdzie styl lansowany przez Versace zdobył uznanie bywalców salonów i gwiazd czerwonych dywanów, a także zawojował europejskie i amerykańskie ulice, ale początkowo największe magazyny mody, „Vogue” i „Haper’s Bazaar”, wydawane w Stanach, odnosiły się do kolekcji Gianniego z dużą rezerwą. Teatralność pokazów przypadła amerykańskim dziennikarzom do gustu, ale kolekcje Versace uznano za zbyt krzykliwe, a nawet kiczowate, a co za tym idzie – nienadające się dla pracujących Amerykanek. Butiki Versace funkcjonowały w kilku miastach USA, jednak żaden dom towarowy nie miał ubrań tej marki w swojej ofercie, a tymczasem, „w amerykańskich warunkach,

to, wprowadzając swoje spojrzenie do największych światowych mediów”.

Jednym z pierwszych celebrytów i gwiazd świata rozrywki, który pokochał kreacje Versace, był brytyjski piosenkarz Elton John. Muzyk jest nie tylko nieuleczalnym zakupoholikiem, ale pozostaje wręcz uzależniony od stylu proponowanego przez Versace – podczas jednorazowej wizyty w londyńskim sklepie tej marki kupował aż sto jedwabnych koszul z krzykliwymi nadrukami. W garderobie Eltona już wcześniej gościły ubrania projektu Gianniego, ale dopiero w 1986 r. przy okazji wizyty we Włoszech miał okazję osobiście poznać projektanta, który na wieść o przybyciu tak ważnego klienta czym prędzej popędził do sklepu. Tak zaczęła się ich przyjaźń, trwająca aż do śmierci Gianniego.

w nowych kreacjach, czym mile łęchał jego próżność. Wokalista w rzeczywistości był szeroki w pasie i wąski w ramionach, a zakupione przez niego ubrania często wymagały przeróbek krawieckich. Doskonale zdając sobie sprawę ze znaczenia Eltona dla popularności marki, wdzięczny Gianni zaprojektował za darmo kostiumy na kilka jego tras koncertowych: skórzane smokingi, kamizelki z picassowskimi motywami oraz krzykliwe, wyszywane kapelusze.

Co ciekawe, początkowo wśród sław korzystających z usług Gianniego byli wyłącznie mężczyźni, i to nie tylko homoseksualni. To właśnie Versace zaprojektował kostiumy do teledysku Paula McCartneya i Michaela Jacksona „Say, say, say”, ubierał także Stinga. Do grona jego klientów należał również Eric Clapton, który jednak zdradził go dla innego włoskiego projektanta – Giorgia Armaniego. Na modowym rynku znalazło się dość miejsca dla nich obu, zwłaszcza że prezentowali drastycznie różne podejście do mody – Armani stawiał na klasyczną elegancję, podczas gdy Versace wybierał ekstrawagancję i seksapil, zresztą sama Sophia Loren mawiała, że ubiera się u tego pierwszego, bo nie chce wyglądać jak choinka. Gianni, pomny na przykre doświadczenie z Claptonem, starał się wprawdzie pilnować swoich klientów, by nie przechodzili do konkurencji, ale oficjalnie w wywiadach bagatelizował rywalizację z Giorgiem. Jak mantrę powtarzał, że Armani ubiera żony, a on – kochanki.

Z czasem wśród celebrytów korzystających z usług Versace pojawiły się również sławne kobiety, jak chociażby Demi Moore, która na ceremonię wręczenia Oscarów w 1992 r. przybyła w błękitnej sukni

Versace powtarzał, że Armani ubiera żony, a on – kochanki.

jeśli nie ma cię w domach towarowych, to nie istniejesz. Projekty Versace postrzegano jak coś ekstrawaganckiego, co może trafić do ograniczonej liczby klientów”.

Pomimo zabiegów bardziej przedsiębiorczego z braci, który dwoił się i troił, żeby przekonać dyrektorów wspomnianych domów do umieszczenia produktów Versace w ofercie, amerykański rynek był dla nich zamknięty. Miało się to jednak wkrótce zmienić, głównie za sprawą ówczesnych gwiazd oraz supermodelek. Jak słusznie zauważyła wieloletnia redaktorka naczelna prestiżowego „Vogue’a”, Anna Wintour: „Versace był pierwszym, który odkrył wartość celebrytów w pierwszym rzędzie na pokazach mody, wartość supermodelek. Wykorzystał

Elton John był niebywale ważną postacią w życiu bohatera naszej opowieści, który to właśnie od niego czerpał wiedzę na temat show-biznesu, kultury i sztuki masowej, co potem wykorzystywał do promowania swoich kolekcji. Z kolei na borykającego się z problemami natury psychicznej i licznymi uzależnieniami muzyka wylewny Gianni działał jak balsam. Rozmawiali ze sobą każdego dnia przez telefon, często robiąc sobie rozmaite psikusy. Sam Elton John stał się chodzącą reklamą Versace, zresztą zostawiał w butikach tej marki przy każdej wizycie kwoty rzędu 250 tys. funtów. Gianni wiedział, jak zdobyć jego przychylność: kiedy projektował dla niego ubrania, przysyłał mu szkice przedstawiające smukłego piosenkarza



Słynąca z wybuchowego charakteru Naomi Campbell, pracując dla Gianni'ego, stawiała się wcieleniem łagodności.

z kwiatowym gorsetem, czy Courtney Love, która na tej samej gali pięć lat później pojawiła się w prostej, minimalistycznej białej sukni. W latach 90. do klientek Gianni'ego dołączyła sama księżna Diana. Po raz pierwszy jeden ze współpracowników Versace zasugerował mu, że mógłby ubierać księżną Walii, już w 1981 r., kiedy pałac Buckingham ogłosił jej pierwszą ciążę, ale projektant nie wyobrażał sobie nawet, że miałby projektować dla ciężarnej kobiety.

Sprawa wróciła w latach 90., gdy osobista stylistka Anna Harvey podsunęła Dianie zdjęcie Naomi Campbell w sukni Versace ozdobionej licznymi koralikami. Tym razem projektant zareagował na propozycję współpracy entuzjastycznie, w owych czasach bowiem księżna z nieśmiałego dziewczątka przeobraziła się w pewną siebie, seksowną kobietę, prawdziwą ikonę stylu, godną nosić projekty Gianni'ego. Pierwszą suknię Versace zaprezentowała w 1991 r. i została w niej uwieczniona na okładce „Vogue'a”, ale ich współpraca nabrała tempa po separacji księżnej i Karola, kiedy

Diana nie chciała być już postrzegana jako reprezentantka brytyjskiej rodziny królewskiej. Ponieważ nie krępowały jej nakazy i zakazy dworskiego protokołu, postanowiła zmienić styl, manifestując swój seksapil i niezależność. Projekty Versace, który w tym samym czasie zrobił woltę w stronę minimalizmu, okazały się do tego wręcz idealne.

Suknie wieczorowe Gianni'ego Versace miały w sobie werwę, która odmieniała sylwetkę.

Gianni projektował dla księżnej kostiumy na eleganckie i oficjalne okazje, ale uwagę skupiały głównie noszone przez Dianę stroje wieczorowe projektu Versace, jak chociażby prosta biała sukienka ze sprzączkami na ramiączkach, w której pokazała się na koncercie Pavarottiego, czy długa, fioletowa, doskonale podkreślająca jej wysportowaną sylwetkę, nogi i piękną linię ramion. Największą furorę zrobiła jednak w Sydney, kiedy pokazała się w długiej sukience na jedno ramię, w kolorze turkusowym.

Wprawdzie księżna doskonale dogadywała się z projektantem, ale pogłoski o ich rzekomej przyjaźni są zdaniem biografów Gianni'ego mocno przesadzone. W 1997 r., wbrew wcześniejszym obietnicom, wycofała się nawet z promocji jego książki „Rock and Royalty”. Do zmiany zdania przekonała ją gotowa publikacja, którą jej przystało, okazało się bowiem, że fotografie członków brytyjskiej rodziny królewskiej sąsiadują w niej ze zdjęciami rozneglizowanych modelek.

Modelki odgrywały ważną rolę w życiu Gianni'ego i w promocji jego kolekcji, co bardzo różniło go od konkurującego z nim Armaniego. Ten drugi wybierał na pokazy jak najmniej znane dziewczyny, obawiając się, że osobowość i uroda modelek przyćmią prezentowane stroje. Versace nie miał takich obiekcji, na jego pokazach modelki lśniły równie mocno, jak jego kreacje, i w niczym mu to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie – stawiał na nazwiska znane w świecie mody, jak: Naomi Campbell, Cindy Crawford, Christy Turlington, Linda Evangelista, Claudia Schiffer, Helena Christensen czy Carla Bruni. Dla świata mody i kariery modelek, ówczesnych i przyszłych, przełomowym momentem okazał się pokaz Versace jesień–zima 1991/1992: „Freedom! '90”. Show był inspirowany piosenką George'a Michaela

o tym samym tytule. W finałowym wyjściu pojawiły się Naomi Campbell, Cindy Crawford, Christy Turlington i Linda Evangelista, które wcześniej wystąpiły w teledysku do wspomnianej piosenki, a teraz śpiewały ją, idąc po wybiegu. Pokaz uznano za wydarzenie artystyczne ustanawiające zupełnie nowe standardy w branży modowej – dowiedziono, że wybieg, podobnie jak film i scena, jest miejscem oddziaływania kulturowego. Obecnie mówi się, że to w tym dniu narodziły się supermodelki.

„Gdybym miała określić czas, w którym stałam się supermodelką, to powiedziałabym, że to właśnie ten występ podczas pokazu Versace”, przyznała po latach Cindy Crawford, której gwiazda wówczas rozbłyśła. Gianni rozpieszczał swoje modelki, obсыpywał je komplementami, przysyłał prezenty lub serdeczne liściki, a po pokazie zawsze dziękował za udział w show. W efekcie nawet słynąca z wybuchowego charakteru i agresji wobec współpracowników Naomi Campbell, pracując dla Gianniego, stawiała się wcieleniem łagodności. Zaprzysiężyła się także z jego siostrą i często wpadała do jej domu na spaghetti.

Za sprawą Donatelli na wybiegu Versace znalazła się także Kate Moss, której pojawienie się w modelingu zwiastowało erę modelek anorektyczek o chłopięcej sylwetce.

Na jego pokazach modelki lśniły równie mocno, jak jego kreacje, i w niczym mu to nie przeszkadzało.

Gianniemu wychudzona modelka zupełnie nie przypadła do gustu, nazwał ją wręcz chuderlawym czupiradłem, ale jego siostra była uparta i Kate ostatecznie prezentowała kolekcję jej brata.

Donatelli swą karierę zawdzięcza po części także kolejna supermodelka, Elizabeth Hurley. Dziewczyna zwróciła uwagę mediów, gdy pojawiła się na premierze filmu „Cztery wesela i pogrzeb”, w którym główną rolę grał jej ówczesny partner, Hugh Grant. Wystąpiła wówczas w sukni projektu Versace, zresztą wypożyczonej, na zakup tak drogiej kreacji początkującej modelki nie było bowiem stać. Nawiasem mówiąc, nie miała specjalnie wyboru – dom mody Versace był jedynym, który zgodził się wypożyczyć nikomu nieznanej Hurley jedną ze swoich kreacji. Sama sukienka niezbyt jej się podobała, była zbyt odważna. Pochodząca z kolekcji na sezon wiosna-lato 1994 jedwabna, długa, czarna sukienka, z pęknięciem wzdłuż tułowia spiętym sześcioma złotymi agrafkami z motywem Meduzy, miała głęboki dekolt oraz odważne

rozcięcie na dole, sięgające górnej połowy uda. Po raz pierwszy została zaprezentowana przez supermodelkę Helenę Christensen na pokazie mody w Mediolanie. Ale wówczas nie zrobiła takiego wrażenia, jak owego wieczoru, kiedy wystąpiła w niej dziewczyna Hugh Granta. Donatella, widząc ją na ekranie telewizora, z miejsca namówiła brata, by zatrudnił Elizabeth, której karierę odtąd nabrała tempa. Odważne i drapieżne kreacje wieczorowe Gianniego także zaczęły się cieszyć większą popularnością, a delikatna i subtelna uroda panny Hurley sprawiła, że wreszcie przestano je postrzegać jako wytwór chorej wyobraźni projektanta, nadający się do noszenia wyłącznie przez wyzywające, wulgarne kobiety. Owa sukienka stała się jedną z najstojniejszych „małych czarnych” w historii mody.

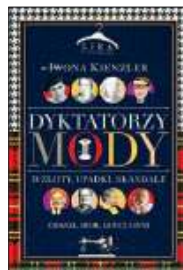
Z czasem kunszt Gianniego doceniły także Amerykanki, z dziennikarkami „Vogue’a” na czele. „Wystarczyło przymierzyć sukienkę od Versace, by cycki się podniosły, tyłek wypiął, a talia wciągnęła – stwierdziła Joan Juliet Buck, publicystka tego prestiżowego magazynu. – Suknie wieczorowe Gianniego Versace miały w sobie werwę, która odmieniała sylwetkę. To wszystko działało się dzięki tej wewnętrznej architekturze”.

Ponieważ jednak, poza nielicznymi wyjątkami, kontakty z celebrytami męczyły Gianniego, nieprzepadającego za nocnym życiem, ciężar współpracy z różnej maści VIP-ami spadł siłą rzeczy na Donatellę. On sam wolał wykorzystywać wolny czas na wizyty w teatrze lub operze. Tymczasem jego młodsza siostra realizowała się w tej roli znakomicie. Kiedy postanowiła zwerbować dla domu mody jakąś znaną postać, zaczynała od obdarowywania jej strojami od Versace, z których każdy kosztował

co najmniej kilka tysięcy dolarów. Gdy tylko gwiazda łyknęła przynętę, Donatella przekonywała ją, aby zasiadła w pierwszym rzędzie na widowni kolejnego pokazu, obiecując, że wyśle po nią prywatny samolot i zakwateruje, oczywiście na koszt firmy, w najlepszym hotelu. Bywało, że zapraszała celebrytów także do prywatnej rezydencji nad jeziorem Como. Wprawdzie kiedy w ręce Gianniiego dostały się rachunki za prezenty dla kogoś, kogo nie lubił, wpadał we wściekłość, ale obrona przez jego siostrę strategia przynosiła pożądany skutek – kiedy media informowały o kolejnej znakomitości oglądającej pokaz Versace, wskaźniki sprzedaży natychmiast szły w górę.

Za sprawą Donatelli klientką firmy została chociażby Madonna, która nawet zgodziła się na występ w reklamie marki, czy jedna ze Spice Girls, Victoria Beckham. Wkrótce także sama Donatella wyrosła na gwiazdę pierwszej wielkości, a w modowym imperium Versace przybrała funkcję przynależną żonie imperatora. Mało tego, jak zauważyła biografka projektanta, Donatella „swym rozbuchaniem przewyższała brata”, podczas swoich wojaży zajmując chociażby całe piętra najdroższych hoteli, podczas gdy Gianniemu wystarczył apartament. Poza tym notorycznie popadała w dług, które jej ukochany brat postuszenie spłacał. Kiedy miała zły humor, szła do najbliższego salonu Cartiera, by sprawić sobie jakąś błyskotkę za kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Podróżowała wyłącznie prywatnymi odrzutowcami, a bywało, że kiedy wystrój jakiegoś miejsca nie przypadł jej do gustu, przywoziła własne meble. Santo rwał włosy z głowy, lecz Gianni był bardzo cierpliwy wobec swojej muzy, aczkolwiek kiedy Donatella skonfliktowała się z jego partnerem, stosunki między nimi uległy drastycznemu pogorszeniu.

Fragment książki Iwony Kienzler *Dyktatorzy mody. Wzloty, upadki, skandale*, Wydawnictwo Lira, Warszawa 2023



Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Kiedy zjedzą nas telefony

Przecież, które emancypują się od ludzi i zaczynają nie tylko wieść własne, świadome życie, ale także bezpośrednio nam zagrażać, są stale obecne w kinie i telewizji. Samych złowrogich laleczek jest kilkanaście. Przypomnijmy tylko najpopularniejsze filmy, w których występują: „Annabelle”, „Laleczka Chucky”, „Martwa cisza”, „Ukochana laleczka”, „Władca lalek”, „The boy”, „Lalki”. Mordercze samochody to też klasyk. Tu królową jest oczywiście słynna „Christine”, auto naprawdę agresywne (i zazdrosne). Film Johna Carpentera na podstawie powieści Stephena Kinga zainspirował innych reżyserów – tak powstały „Super Hybrid” czy „Blood car”. Zresztą nawiedzone zegary, skrzynie, szafy, pozytywki, butelki i puzderka oraz mrugające lampy tak często straszają nas w horrorach, że stały się jednym z elementów gatunku. Całe pokolenia oglądały przecież wirujące zabawki w dzieciennym pokoju bohaterów „Ducha”. Od tej pory już żaden klaun ani misiek nie wyglądał niewinnie.

Niedawno do maniakałnych, opętanych przedmiotów dołączyły smartfony. Nadzieje pokładane w nowych technologiach są tak samo intensywne jak związane z nimi lęk. Mimo że tak powszechny, high-tech nadal wydaje się nam niesamowity, gotycki. Wykorzystują to oczywiście kino i platformy streamingowe, proponując widzom kolejne filmy o nawiedzonych smartfonach. Stacjonarne, tradycyjne telefony też miały swoje złote lata w kinie. Przerażonego bohatera lub bohaterkę ze słuchawką w ręku nadal możemy zobaczyć, oglądając wiekowe już produkcje, takie jak „Przepraszam, pomyłka”, „Kiedy dzwoni nieznajomy”, „Zagubiona autostrada” czy „Krzyk”. Ale smartfony to co innego – tu wchodzi w grę także lęk przed sztuczną inteligencją, niekontrolowanym rozwojem nowych technologii czy przejęciem naszych danych. A przede wszystkim przed tym, że w zasadzie nie wiadomo, kto w danym momencie do nas pisze – grożąc nam, oferując coś albo po prostu flirtując. Czy to na pewno zwykłe boty?

Jednym z najbardziej groteskowych, a jednocześnie dziwnie magnetycznych filmów o nawiedzonych telefonach komórkowych jest „Personal Shopper” z Kristen Stewart w roli głównej. Tytuł brzmi zniechęcająco, a film jest historyczny, dziwnie operowy, przegina się w stronę kampu. Ma w sobie coś manierycznego i pretensjonalnego. Pokazuje świat celebrytów, blichtr

i piękne apartamenty. A jednak jest w nim zawarta pewna sprzeczność, jakby film sabotował swój świat, własne obrazy i postacie. Nad obrazem wisi atmosfera zagrożenia i obłędu, w który wpędza bohaterkę... smartfon. Maureen zaczyna dostawać wiadomości tekstowe od nieznanego nadawcy. Przez chwilę myśli, że to jej nieżyjący brat komunikuje się z nią w ten sposób. Anonim zachęca ją do zaspokajania zakazanych pragnień. Maureen zaczyna nosić ubrania swojej klientki Kyry i masturbuje się w jej łóżku. Przy czym jest coś niezamierzonego śmiesznego w scenach, kiedy niemal mierzy się na spojrzenia z własnym telefonem, wiję się pod jego wpływem i miota mokrymi od potu włosami w prawo i w lewo. Oczywiście nie ma niczego piękniejszego niż nadąsana Kristen Stewart, nawet jeśli zaatakują ją telefon.

Na jednej z platform streamingowych pojawił się ostatnio kolejny serial Young Adult – brytyjski thriller „Red Rose”. Jednak tym razem zamiast nawiedzonego domu, zwodniczego lasu czy morderczego samochodu straszy nas apka, którą pobierają bohaterowie. Oczywiście w chwilach słabości i ci najbardziej samotni. Wkrótce apka, która wygląda obiecująco i wydaje się, że „zaopiekuje się” bohaterami, „wysłucha”, a w końcu spełni ich pragnienia – zaczyna wydawać polecenia z piekła rodem. Ich wykonanie może się zakończyć dla bohaterów śmiertelnie. Niewykonanie też. Apka atakuje i przejmuje wszystkie urządzenia w pobliżu, infekując internet, telewizory, obieg prądu, system alarmowy itd. Brytyjski serial – może poza próbą zarysowania perspektywy klasowej – jest pełnym umowności i sztucznych dialogów przeciętnym dramatem dla nastolatków. Ale muszę powiedzieć, że najmniej niewiarygodna jest w nim właśnie ta zarządzająca bohaterami i ich światem apka.

Nowe technologie to na pewno nie zbiorowy Mefisto naszych czasów, to nie część tej siły, która, wiecznie zła pragnąc, wiecznie dobro czyni. Ale w kinie oglądamy je tak naprawdę od dawna: od „Terminatora” po „Żony ze Stepford”. I może dlatego bardziej mnie cieszy posiadająca zdolności parapsychologiczne opona („Mordercza opona”) czy nawiedzona kurtka z kultowego „Deerskin”. Cóż, przedmioty nawiedzają nas codziennie, prawda? I nie trzeba czarodziejskich apek, żeby ukradły nam czas i pieniądze.

**Przedmioty nawiedzają nas codziennie.
I nie trzeba czarodziejskich apek,
żeby ukradły nam czas i pieniądze.**

Konrad Malec

Niewielu uczniów, a i dorosłych, lubi „Przedwiośnie” Żeromskiego. Nic dziwnego, Żeromski jest trudny w odbiorze. Mimo to należy do moich ulubionych pisarzy. Ale tu nie o literaturze będzie, lecz o jednym z najciekawszych momentów w przyrodniczym kalendarzu.

Przednówek

Tytuł powieści Żeromskiego nawiązuje do odrodzenia państwa polskiego. Autor, nazywany sumieniem polskiej literatury, ukazał okrutną biedę większości narodu, który mimo to był gotów walczyć za ojczyznę, i zawiedzione nadzieje na lepszy byt w odrodzonym państwie. Władysław Reymont w „Chłopach” opisuje zaś trudy przednówka, w znacznej mierze pokrywającego się z przyrodniczym przedwiośniem. Ratowano się wtedy nadpsutą żywnością i tym, co dało się wyrwać z wcześniej budzącej się do życia przyrody. Zbierano np. komosę białą, zwaną lebiódką. To jeszcze stosunkowo smaczne danie jak na dziką kuchnię (dzisiejsza dzika kuchnia, zachwalana w modnych dietach, z tą sprzed wieku ma niewiele wspólnego), niemniej moja babcia popłakała się, gdy zobaczyła, jak eksperymentuję z ową rośliną w kuchni. Zbyt dobrze pamiętała przedwojenną biedę. Innym chłopskim daniem na przednówku było podkorze, czyli tyto i kambium, najczęściej z lip. To pożywienie bobrów o tej porze roku, jednak one, by je dobrze przyswoić, zjadają własne odchody (co nazywamy cekotrofią), ludzie tej umiejętności nie posiadają. Pokarm wyjątkowo ciężkostrawny, mało wydajny energetycznie, ale pozwalał przetrwać do wiosny, podobnie jak perz. Wykopywano także niewielkie bulwki ziarnopłonu wiosennego, ale z nim trzeba było uważać – gdy roślina zaczyna puszczać pąki kwiatowe, staje się trująca. Wiedzą o tym dziki, które je uwielbiają, tyle że do pomocy mają czuły węch. Nasi przodkowie musieli liczyć na własne



Wawrzyniec wilcze tyto...

Przedwiośnie

Pierwiosnek to jeden z pierwszych ptaków zwiastujących wiosnę. Podobnie jak noszący tę samą nazwę kwiat

oczy, a te niekiedy z braku witamin zawodziły.

Leśne rabaty kwiatowe

Odrywając się od niedostatków naszych przodków, pocieszymy oczy kwiatami. Wspomniany ziarnopłon nazwę zawdzięcza intensywnie żółtym kwiatom. Ale nie tylko on cieszy

cieszą moje oko w ogródku. Warto wiedzieć, że to roślina chroniona, nie wolno jej pozyskiwać z natury. Chroniony jest także wawrzyniec wilcze tyto, piękny krzew, który właśnie obsypuje się różowym kwieciami. Uważajcie na niego, cała roślina jest śmiertelnie trująca, w tym słodkawe owoce i pięknie pachnące kwiaty! Jeśli słyszeliście, że żadne kwiaty nie są trujące, to ktoś wprowadził was w błąd. To bardzo szkodliwy mit.

Też trujące, choć nie śmiertelnie, są owoce bluszczy pospolitego. Dojrzały zimą, ale do tej pory nikt ich nie ruszył. Teraz zjadają je ptaki, głównie drozdy. Mimo że dla nich owoce nie są trujące, ptaki jedzą je niechętnie. Bluszcz to cwaniak, nie dość, że oszczędza na pniu, wspinając się po drzewach czy murach, to jeszcze kwitnie na przedzimiu, gdy nie ma już roślin miododajnych, a owady są skazane na jego skąpe porcje nektaru w zamian za przeniesienie pyłku.

Chłopskim daniem na przednówku było podkorze, czyli tyto i kambium, najczęściej z lip.

oko na przedwiośniu. Wraz z nim kwitną zawiłe gajowe. To te białe kwiaty, które w lasach pojawiają się łanami. Często widzę zrywających je spacerowiczów. Tyleż to romantyczne, co pozbawione sensu, zerwane kwiaty szybko więdną i zwykle lądują w rowie. Również na biało kwitną śnieżyczki przebiśniegi, które już

W owoce także niewiele inwestuje, zawierają mało cukrów, za to sporo ciężkostrawnych garbników, lecz „z braku laku dobry i opłatek”.

Dla mnie najpiękniejszym kwiatem przedwiośnia jest przylaszczka pospolita. Dawniej uważano, że Bóg przekazuje ludziom wskazówki, co dana roślina leczy, nadając jej kształt stosownego narządu. Zasada ta nazywa się homeopatią i choć różni się od współczesnej homeopatii, jest tak samo nieskuteczna. W przypadku przylaszczki liście mają kształt płata wątroby, dlatego stosowano ją na dolegliwości tego organu. Naukowe badania wykazały, że nie tylko nie leczy wątroby, ale nawet jest lekko trująca.

w takim stopniu, że większość roślin wkrótce straci liście i zaśnie aż do kolejnego przedwiośnia. Wśród wczesnych zapylaczy gros stanowią pszczoły samotnice. Wiele z nich, jak murarki, wylęga się latem, ale pozostają w swoich schronieniach do przedwiośnia. Dopiero

Uważajcie na wawrzynek wilcze tyko, cała roślina jest śmiertelnie trująca.

teraz je opuszczają, przystępują do jedzenia i godów. Dla nich wcześniej kwitnące rośliny są bezcenne, bo w przeciwieństwie do pszczół miodnych nie mają zapasów z minionego roku.

znajdziemy podbiał pospolity. Często słyszę: „O! Mlecz już zakwitł”. Oczywiście nie chodzi o mniszka lekarskiego (mlecz to pokrewna roślina, mogąca osiągnąć 1,5 m wysokości), ale właśnie o podbiał. Kwiat zaiste jest podobny, ale kwieciciu mniszka towarzyszą liście, u podbiału pojawia się one po przekwitnięciu. Zapewne słysze-
liście o podbiałe z reklam cukierków na gardło. Tu ciekawostka – im wyżej

i bliżej wody, tym większe liście podbiału. W takich miejscach możemy też się natknąć na lepiężnik różowy. On także najpierw kwitnie, później wytwarza liście i podobno również ma właściwości lecznicze. Ponoć najbardziej lubi towarzystwo dobrze natlenionych wód płynących, ale ja go widuję na Pulwach, kurpiowskich bagnach, obecnie przerobionych na podmokłe łąki, najczęściej w pobliżu rowów melioracyjnych, gdzie woda płynie, ale leniwie i z pewnością nie jest dobrze natleniona.

Na zalewowych łąkach rośnie też knieć błotna, lepiej znana jako kaczęce, którymi zachwyca się większość turystów. Ale to nie dla nich kwitną te rośliny. A dla kogo? Widać to po oświetleniu ich latarką ultrafioletową. Możemy zobaczyć wówczas linie, doskonale widoczne dla owadów. Dzięki temu owad szybko odnajduje drogę do pożywienia, ku obopólnej korzyści.

W trzcinach i bajorach

Na mokradłach już pod koniec lutego można spotkać żaby trawne, sunące na gody. Samce nabierają sinej barwy i ochryple, powoli rechoczą. Można je zobaczyć nawet na lodzie w odmarzających stawach. Krótco po nich ruszą żaby moczarkowe, których samce są błękitne, i ropuchy szare. Te ostatnie często widać już połączone w pary, zwane amplexusem. Niekiedy samice dźwigają takich delikwentów nawet przez 3 km! Nic dziwnego, że są sporo większe od chłopaków, najbardziej wyrosnięte panie są o 30% większe od największych samców. Zwykle, gdy je przedstawiam początkującym miłośnikom przyrody, spotykam się ▶



... i śnieżyczki przebiśniegi w warszawskim Ogrodzie Botanicznym PAN.

Z kolei liście kopytnika pospolitego przypominają odcisk końskiego kopyta. Jego kwiaty nie rzucają się w oczy, do tego są zapylane przez muchy, podobnie jak w wypadku kokornaków, jego egzotycznych krewnych. Z tym że kopytniki pachną pieprzem, a większość ich krewniaków padliną. Wszystkie te rośliny rosną w lasach liściastych i z wyjątkiem bluszczu śpieszą się z kwitnieniem, by zdążyć, nim drzewa puszczą liście. Wówczas bowiem w lesie robi się ciemno i zapylacze miałyby trudności z odnalezieniem kwiatów, choć i na tę trudność są sposoby. Drzewa pochłoną światło

Owady polecą również w korony drzew, gdzie kwitnie jemioła. Ostatnimi laty obserwuję ją coraz częściej, i to na sosnach! Do niedawna było to zjawisko marginalne. To efekt braku zimy i suszy, czynników, które wpływają na zwiększoną produkcję nasion tego półpasożyta. Na sosnach rośnie podgatunek zwany jemiołą rozpierzchłą, na drzewach liściastych zobaczymy typową. Jeśli chcecie uwarzyć magiczny napój jak Pano-ramix z serii komiksów o Asteriksie, pamiętajcie, by zbierać tylko typową. A! Ona też jest trująca dla ludzi.

Przedwiośnie widać nie tylko w lesie. Na łąkach, a nawet trawnikach

z objawami odrazy, a nawet strachu. Ongiś wierzano, że samo dotknięcie ropuchy sprowadza na człowieka śmierć. Tak straszny los spotkał jednego z Medyceuszów na początku renesansu. Przedstawiciel jednego z najbardziej uczonych rodów epoki już gotował się na spotkanie ze Stwórcą, ale zjawił się światły medyk, który kazał księcia zaszyć w wybebeszonym osle, tak by wystawały mu tylko głowa i członki. Kuracja odniosła skutek. Ropuchami zachwycał się George Orwell – twierdził, że mają najpiękniejsze oczy w świecie zwierząt. Mylił się, mają drugie miejsce, po żyrafach.

W trzcinowiskach do łęgów przystępują gęgawy, jedyne rodzime gęsi gniazdujące u nas. Poza nimi mamy jeszcze bernikle kanadyjskie, ale na razie to w Polsce rzadkość, w przeciwieństwie do zachodniej i północnej Europy, gdzie jako ekspansywny obcy gatunek przysparzają poważnych problemów. Na podmokłych łąkach do łęgów przystępują czajki. To jedne z najszybciej wracających do kraju ptaków, kiedyś przybywały w początkach maja, a gdy spadł śnieg, wycofywały się, by powrócić z roztopami. Zdarzało się, że śnieg zastawał te ptaki na jajach, wtedy siedziały

Dołóżmy do tego waleśjące się psy i koty, nadliczbowe za sprawą człowieka lisy i przyczynę naturalną – wzrost liczby krukowatych. To ostatnie samo w sobie pewnie by nie zagrażało czajkom, gdyby miały one dawną liczebność i nie mierzyły się z zagrożeniami sprowadzonymi przez nasz gatunek.

Wraz z czajkami pojawiają się inne ptaki siewkowate, np. słonki, bataliony czy siewki złote. Wszystkie, a także, zagrożone. Bataliony właściwie już z Polski się wycofały, w ostatnich latach ich lęgi miały miejsce sporadycznie. Ciągłe możemy się nimi cieszyć podczas przelotów, obserwować ich tokowiska, jednak lęgi wolą odbywać na północy. Przyczyną jest ocieplenie klimatu i zanik bagien. Generalnie ptaki mokradła są najbardziej zagrożoną grupą. Siewki złote wymarły w Polsce półtora wieku temu. Co prawda, słonki według czerwonej listy zagrożone nie są, ale ich liczebność nie przekracza 30 tys. par. Mimo to nadal się na nie poluje, choć na szczęście niedawno zakazano polowania w czasie ciągów, czyli lotów godowych. Ofiarą padają samce, oblatujące swoje terytorium. Opis takich łowów uwiecznił Tolstoj w „Annie Kareninie”.

Bataliony właściwie już z Polski się wycofały, w ostatnich latach ich lęgi miały miejsce sporadycznie.

wytrwale, licząc na powrót ciepła. Piszę w czasie przeszłym, ponieważ śnieg stał się rzadkością, czajki również. Z ponad miliona par na początku stulecia zostało nam mniej niż 70 tys., a ich liczebność ciągle spada. Dlatego trafiły na Czerwoną listę ptaków Polski, opisującą zagrożone gatunki. Podobnie jest w całej Europie. Czajki giną m.in. z powodu osuszania podmokłych łąk. Co gorsza, proces osuszania jest przyspieszany przez zmiany klimatu. Gdy spadną ulewne deszcze, jest jeszcze gorzej – wysuszony grunt nie przyjmuje wody, a ta zalewa jaja lub wychładza pisklęta. Zmienia się też rolnictwo, dziś sianokosy zaczynają się w maju, gdy młode jeszcze nie umieją latać, co przedwcześnie kończy ich życie.

Wróćmy na mokradła, bo słonka to nietypowy bekas, żyjący w lasach. Nad mokrymi łąkami, ale i nad polami krążą błotniaki stawowe. Jasne samce o ciemnych końcach skrzydeł i ciemne, większe od partnerów samice, z gorejącą w słońcu plamką na głowie. Tak się różnią, że kiedyś brano je za dwa gatunki. Ich cechą rozpoznawczą jest szybowanie nad otwartymi przestrzeniami ze skrzydłami ułożonymi w kształt litery V. Nieco podobnie szybują myszolewy, ale ich V jest znacznie płytsze. No i ptak znacznie masywniejszy. Błotniaki to łąkowi piraci, z powodu dość ażurowej budowy trudno im w locie capnąć zdobycz, jak robią to jastrzęb czy orzeł. Przeważnie lądują obok niej i doganiają ją pieszo. Ich

długie, zakrzywione szpony dają radę całkiem pokaznym przeciwnikom. W ten sposób chwytają płazy i gryzoni, większe owady, ryby na płycznach i pisklęta, ale ich największym przysmakiem są jaja innych ptaków.

Klangorem przedwiośnie się zaczyna

Z trzcinowisk już od marca dobiegają niskie pohukiwania, jakby ktoś dmuchał w butelkę. To bąk, jedyna poligamiczna czapla. Samce wydają te pohukiwania w kilkusekundowych odstępach, po czym następują konkurentów. Samice na podstawie tych nawoływań wybierają najlepszego kandydata na ojca dla samotnie wysiadanych jaj. Bąki według czerwonej listy są bliskie zagrożenia. To kategoria oznaczająca, że wprowadzie jeszcze nie są zagrożone, ale ich sytuacja systematycznie się pogarsza i jeśli nie podejmiemy działań, znajdą się w zagrożeniu. Przyczyny? Osuszanie terenów podmokłych i intensyfikacja hodowli ryb oraz ekstremalne zjawiska pogodowe, towarzyszące ociepleniu klimatu. Te ostatnie zmniejszają przeżywalność młodych.

Na mokradłach, bliżej lasów, słychać klangor żurawi. Ptaki śpiewają w duecie, raz po raz unosząc głowy, oznajmiają sąsiadom zajęcie terytorium. Przynajmniej one nie zanikają, a nawet wręcz przeciwnie. Gdy pierwszy raz, jako szczeniak, wybrałem się w teren z moimi przyszłymi nauczycielami, nad Nerem spotkałymi parę żurawi, dającą czadu. Ich potężny, nieco trąbiący głos bierze się z zawiniętej na kształt trąbki tchawicy. Wówczas było ich w Polsce mniej niż tysiąc par, dziś – może nawet 30 tys. Stąd pomysł pisowskiego eksministra Ardanowskiego, by do tych ptaków strzelać. Na szczęście z tego pomysłu, podobnie jak z planów strzelania do kilku innych gatunków wskazanych przez tego pana, nic nie wyszło. Oberwały tylko bobry, ale w ich przypadku legislacyjnych oprawców było więcej. Przy takim wzroście populacji żurawi najlepsze miejsca łęgowe szybko się skończyły i cztery lata temu, podczas monitoringu pospolitych ptaków łęgowych, ku niemałemu zdumieniu

ujrzałem żurawia na gnieździe tuż przy wiejskiej szosie! Choć mieszkał po sąsiedzku z ludźmi, na mój widok cichcem się oddalił, udając, że o żadnym gnieździe nic nie wie.

Żurawie powoli przestają być symbolem przedwiośnia, coraz częściej zostają w Polsce na zimę. Jakiś czas temu zagadnął mnie sąsiad, nieco nadużywający trunków, czy mógł słyszeć żurawie. Zima była, nawet trochę śniegu leżało, a on był wyraźnie zaniepokojony. Gdy potwierdziłem, że żurawie u nas zimują, na twarzy sąsiada ujrzałem ulgę. Wprawdzie zimują nieliczne, w większości to ptaki z północy lub wschodu, ale to również efekt zmiany klimatu – dużym ptakom nie opłaca się daleko migrować, jeśli mają pod dostatkiem pożywienia u nas. Mniejsze nie mogą sobie na to pozwolić, bytujące na mokrych łąkach świergotki łąkowe przylecą za chwilę. Swoje terytorium oznaczają śpiewem, wznosząc się w górę, po czym opadają na rozpostartych skrzydłach, a wraz z nimi opada wysokość ich piosenki.

Także nad łąkami, ale i zupełnie suchymi polami, od końca lutego możemy usłyszeć pieśń skowronka. Jest najliczniejszym ptakiem w naszym kraju (ok. 10 mln par), ale i jego populacja zaczyna maleć. To efekt intensyfikacji rolnictwa. Ptaki krajobrazu rolniczego giną niemal tak szybko jak te z terenów podmokłych. Lepiej jest z ptakami leśnymi, tych w większości przybywa. Częściej też zamieszkują nasze

z rodzicami w sanatorium rodzinnym. Jako dziecko z miasta miewałem kłopoty z drogami oddechowymi, a pobyt w takich miejscach bardzo mi pomagał. Gdy system się zmienił, sanatoria zniknęły z naszego życia rodzinnego. Podczas jednego z ostatnich wyjazdów zobaczyłem wyłaniające się spod topniejącego na górkim zboczu śniegu piękne kwiaty. Byłem zachwycony i widok ten nadal noszę w sercu. Ta sceneria

Skowronek to najliczniejszy ptak w naszym kraju – ok. 10 mln par.

ogrody. W moim podleśnym ogrodzie już wyczekuję pierwiosnka. Jego nazwa wskazuje, że to jeden z pierwszych ptaków zwiastujących wiosnę. Podobnie jak noszący tę samą nazwę kwiat.

Wymyśliłem Czytelników ciągłym pisanem o zmianach klimatu. Niestety, wraz z nimi utracimy to, czym było przedwiośnie. Czy przebiegnięci w ogródku mnie cieszą? Oczywiście! Ale pamiętam moje pierwsze z nimi zetknięcie. Byłem

była o wiele piękniejsza od dzisiejszej, szaroburej. Ze zmianami klimatu powinniśmy walczyć nie tylko z powodu przebiegnięci, ale też we własnym interesie – przed nami kolejny suchy rok, bo bez śniegu zimą nie nawilżymy łąk i pól. A bez tego znikną nie tylko rośliny i ptaki, na spotkanie z którymi Państwa zabrałem, znikną również uprawy, bez których nie przeżyjemy!

Konrad Malec





**FUNDACJA
DAJEMY
DZIECIOM
SIŁĘ**

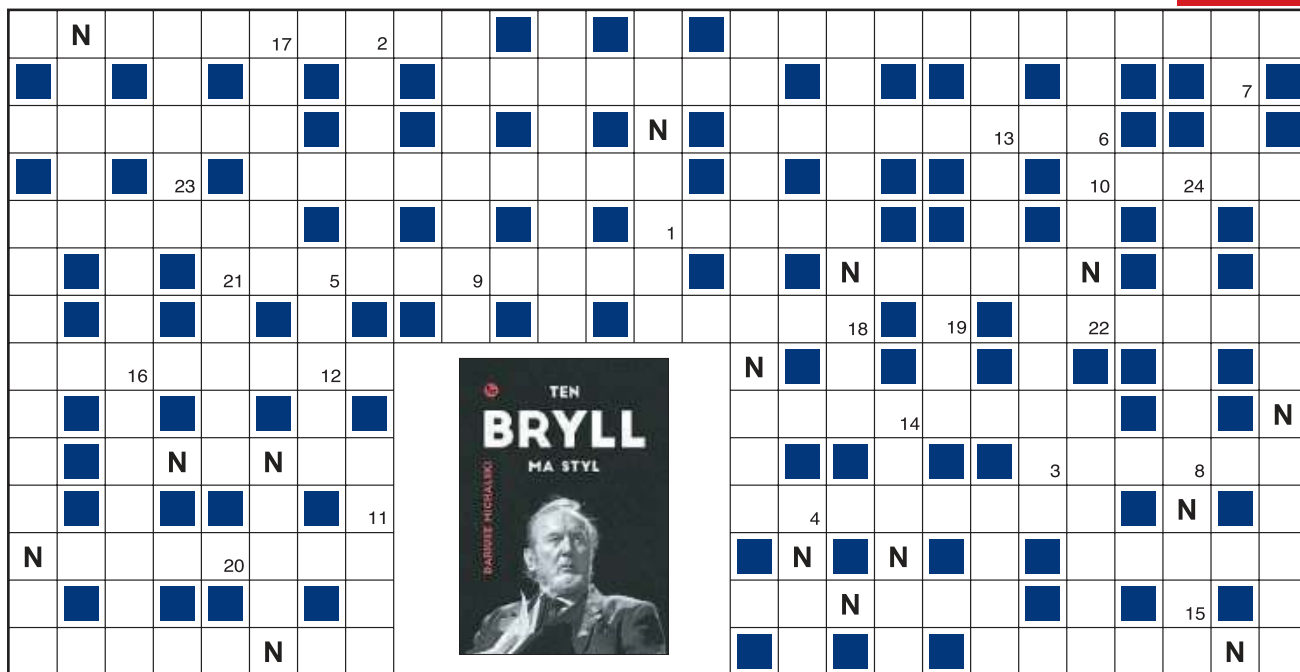
**CODZIENNIE
ODBIERAMY TELEFONY
Z WOŁANIEM O POMOC**

Dzieci często dzwonią do nas w nocy.
Problemy i lęki nie pozwalają im spać.
Słuchamy ich. Wspieramy.
Jesteśmy dla nich zawsze.

Przekaż **1,5%**
Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę
i wspieraj telefon zaufania **116 111**

KRS 0000 20 44 26

wspierajtelefon.pl



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów.

Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery N ujawniono.

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 24 utworzą końcowe hasło.

- dwie wykluczające się możliwości
- i rzeka, i wojownicza z greckiej mitologii
- ziółko jak owoc
- stan całkowitego zobojętnienia
- stolica Tajlandii
- mąż, pačka
- ten kolor to kier
- połowa połówki jabłka
- ...kotów to kłócenie się
- potocznie o czymś lichym, tandetnym
- Jej... – dyktatorka w „Seksmisji”
- Herbert jako autor „Barbarzyńcy w ogrodzie”
- to nie bukieciarstwo, to sztuka
- z pecetami za pan brat
- szachistka Rajlich lub paraolimpijka Faron
- kropelka do łączenia
- do otwarcia butelki wina
- coraz szersze może zataczać afera
- tamowany opaską uciśkową
- odrobina (ani... – wcale)
- miesięcznik „...na Świecie”
- państwo ze stolicą w Lilongwe
- Kot w Butach o swym panu: ...de Carabas
- stamtąd kefir, śmietana
- za nim panny sznurem
- w lampie Łukasiewicza
- leczy choroby układu nerwowego
- sformułował trzy zasady dynamiki
- mocne włókno syntetyczne
- i liczników, i prelekcja
- o szybkim uzyskaniu dystansu, np. od peletonu
- „...i szpieg” o sprawie Dreyfusa
- wybór jednej z możliwości
- kuratela, piecza
- szachrajka, kombinatorka
- imię autora „Wojny futbolowej”
- między rho a tau w alfabecie greckim
- oskarżona po usłyszeniu wyroku
- spiskowa ...dziejów
- klatka piersiowa, popiersie
- z tego miasta Krystyna Loska
- Kampała jej stolicą
- panna lub pani z turnusu niekoniecznie trzeciego
- operetka „Wesoła...”
- serdeczne uczucie wobec dobroczyńcy
- brać pod niego – pochlebiać
- Hefajstos dla Kronosa
- formuła słowna o magicznej mocy
- ...węży – gra im na pieszczalce

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1107”. Do rozlosowania książki „Ten Bryll ma styl” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 12 marca 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1104” z nr. 7: Rzeka w górę nie popłynie.

Nagrody otrzymują: Zofia Biszewska ze Szczecina, Józef Lebek z Zabrza, Adam Wnęk z Olsztyna.

Jednego chce, drugiego musi

Będzie więc, jak zapowiadaliśmy – Zbigniew Rau wystawia Andrzeja Papierza w sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych jako kandydata na ambasadora w Czarnogórze. Każdy będzie mógł go posłuchać i obejrzeć w środę, 8 marca, w Sejmie.

To zresztą będzie bardzo ciekawe posiedzenie sejmowej komisji – bo Rau wystawia tego dnia dwóch kandydatów na ambasadorów. Tego, którego chce, i tego, którego musi.

Zacznijmy od tego, którego chce – to Maciej Chmieleński, kandydat na ambasadora w Australii. Chmieleński nie ma nic wspólnego z dyplomacją ani z polityką zagraniczną, jest profesorem Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Łódzkiego, pracuje w Katedrze Doktryn Polityczno-Prawnych. Tak, tak, w tej samej katedrze, z której wywodzi się obecny szef MSZ. Zbigniew Rau i Maciej Chmieleński są zatem kolegami, razem napisali zresztą książkę „Umowa społeczna i jej krytycy w myśli politycznej i prawnej”.

Innymi słowy, minister funduje koledze miłą posadę ambasadora w Australii. To piękne miejsce, wygodne do życia i z pensją z tych lepszych. Dodajmy do tego jeszcze jedno – placówka w Canberze od lata nie ma ambasadora. Poprzedni, Michał Kołodziejcki, zakończył misję w lipcu 2022 r., dziś jest wicedyrektorem Departamentu Azji i Pacyfiku. Przez prawie rok szukano więc w MSZ człowieka, który mógłby do Australii pojechać. Co kompromituje i MSZ, i ministra, który nie potrafił w porę przygotować dla Kołodziejskiego następcy.

Przejdźmy do kandydata numer 2, czyli tego, którego Rau za granicę wysłać musi. Wcześniej, szczególnie

za ministra Jacka Czaputowicza, Andrzej Papierz był szarą eminencją w MSZ, prowadził własną politykę kadrową, wyrzucał ludzi albo nagradzał, wszystko działo się spod dużego palca, o czym świadczą sprawy sądowe, które wytoczyli ministerstwu liczni pokrzywdzeni i w których on występuje. Witold Waszczykowski nazywał go Rasputinem. Ten pseudonim po części korespondował z opowieściami o licznych skandalach, które nasz bohater wywoływał na placówkach, na których urzędował.

Gdy Rau przejął MSZ w kwietniu 2021 r., zdjął Papierza ze stanowiska dyrektora generalnego, wychodząc z prostego założenia, że ministerstwo dwóch szefów nie potrzebuje. A spokój też się przyda. Argumentem było to, że Papierz przygotował nową ustawę o MSZ, której wdrożenie miało ministerstwo nic nie kosztować, tymczasem kosztowało krocie.

Po tym wszystkim przez prawie dwa lata Papierz funkcjonował gdzieś na obrzeżach MSZ, w niełasce u Raua. Nawet jego żona została wysłana na placówkę do Rzymu, a on czekał. I teraz, prawie po dwóch latach, się doczekał. Ten wielki dyplomata ma jechać do Czarnogóry.

Trudno przypuszczać, by Rau wysyłał go w ambadorski stan pełen radości, bo mógł to zrobić od kwietnia 2021 r. wielokrotnie, ale jakoś zwlekał. Raczej jest to deal, który musiał zawrzeć. A ponieważ patronem Papierza jest szef MSW Mariusz Kamiński, możemy się domyślać, jakie to były działania. Coś za coś. Może za zgodę na wyjazd Chmieleńskiego? 8 marca zobaczymy.

Attaché



Mohammed Alaa al-Jalil, który już w czasie wojny w Syrii pomagał zwierzętom, opiekuje się kotami uratowanymi z gruzów po trzęsieniu ziemi. 24 lutego 2023 r.



PENETRACJE

MONDE
diplomatique

JAROSŁAW URBAŃSKI,
SOCJOLOG, DZIAŁACZ ZWIĄZKOWY

Historycznie rzecz ujmując, społeczeństwo rosyjskie nigdy nie pozostawało bierne wobec tej czy innej autorytarnej władzy usadowionej na Kremlu. Radykalne sekty, narodnicy i ruch anarchistyczny, dysydenckie i rewolucyjne ugrupowania, ale przede wszystkim masowe ruchy protestu dowodzą czegoś zgoła przeciwnego. To tylko europocentryczna czy atlantykokocentryczna wizja świata nie chce tego dostrzec. Dla niej Rosja wciąż kojarzy się z białymi niedźwiedziami, trzaskającymi mrozami, mongolskimi hordami i dziurami w ziemi zamiast sedesów. Liberalne i konserwatywne media ciągle szerzą kompromitujące je stereotypy o „obcych” ze Wschodu.

odra

PROF. MACIEJ DYMKOWSKI,
PSYCHOLOG

Rządząca na Kremlu prawica spodziewa się, że ujawniający gen samozagłady jej ideowi kuzyni znad Wisły mimo swojej rusofobii będą ją wspierać. A jeśli nie, to przynajmniej powstrzymać się od polityki strategicznie dla niej niekorzystnej. Rzeczywiście, żyjąc w wykreowanym przez siebie świecie, wielbiciele wielkiego pisowskiego prezesa – zakompleksieni, autorytarni, roszczeniowi i przepełnieni nienawiścią do rozmaitych „innych” – już dziś oślabiają Europę swoimi wrogimi działaniami wobec niej. Tym samym podcinają jedyną gałąź, na której mogą wygodnie i bezpiecznie siedzieć.

STYL

EWA EWART,
DZIENNIKARKA

Żyję w obszarze trzech języków – polskiego, angielskiego i hiszpańskiego. Jestem absolwentką iberystyki i uwielbiam zagłębiać się w słowniki, by porównywać, jak te same treści wyrażane są w różnych językach. Szukam synonimów, wyrazów bliskoznacznych. To moja nieustająca pasja. Zmieniając kraje i miejsca zamieszkania, zawsze wozilałam ze sobą swoje słowniki. Zajmowały dużo miejsca i sporo ważyły, więc w pewnym momencie rozstałam się z nimi. Teraz mogę korzystać z publikacji online, więc zagłębiać się w słowniki w sieci. I cały czas mnie to kręci!

VIVA!

JOANNA TRZEPIECIŃSKA,
AKTORKA

Czuję się silna. Jestem samodzielna. Znajomi śmieją się, że mam cechy siłaczki. Nie muszę się na nikim opierać, by istnieć. Bez czułości, bez szacunku i lojalności jest pusto. Takich związków jest wiele w imię stabilizacji. Miłość nie musi być jednoznaczna ze stabilizacją. Mam tendencję do rozpieszczania mężczyzn i dawania im poczucia bezpieczeństwa. Fatalna cecha. To ja buduję domy, sadzę drzewa i rodzę synów. No niełatwo się przy mnie wykazać. Ale mimo ich niedoskonałości świat bez mężczyzn byłby mniej ciekawy.

ANAGRAMY

Przestawiając litery, utwórz wyrazy z podanych słów.

Wyrazy z sześciu liter

S A D 1
+ N U R
=
[][][][][][]

P A S 2
+ L E K
=
[][][][][][]

Wyrazy z siedmiu liter

C E N T 3
+ R A Z
=
[][][][][][][]

K I N O 4
+ W A N
=
[][][][][][][]

Wyrazy z ośmiu liter

C H A M 5
+ R A N O
=
[][][][][][][][]

K L U B 6
+ A R E S
=
[][][][][][][][]

ROZWIĄZANIA: ANDRUS, KAPSEL, TANCERZ, NOWINKA, MONARCHA, BRUKSELA



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzegląd.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ożimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikula, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław

Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirska-Socząwa

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoreporterzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Aby język giętki...

JERZY BACZYŃSKI O JUDYMIE

Wybór „Ludzi bezdomnych” jako szyldu dla programu wyposażania w wille działaczy PiS to jest cynizm bardzo w stylu Kaczyńskiego.

JERZY SKOLIMOWSKI

O TYM, CO GO IRYTUJE W POLSCE

Chamstwo, prymitywizm, brud, przekleństwa, nieporadność, niepunktualność.

DOROTA MASŁOWSKA

O MEDIACH SPOŁECZNOŚCIOWYCH

Dewoci i różni histerycy całymi dniami zajeżdżają tych, którzy nie chcą spełnić ich wyśrubowanych wymagań poprawności.

AGATA PASSENT

O KONSEKROWANYCH DZIEWICACH

Coś musi być nie tak z tradycyjną rodziną, jeżeli rośnie liczba konsekrowanych dziewcząt. Kobiety wolą się wiązać z Jezusem niż z hetero-Polakiem.

MATEUSZ WALIGÓRA

O WĘDRÓWCE NA BIEGUN

Zabrałem 60 kg jedzenia i paliwo na 60 dni. Moje sanie ważyły na początku 1300 kg.

MAGDALENA ŁAZARKIEWICZ

O MARCINIE DOROCIŃSKIM

Zdobył serca widzów, bo ma w sobie fajną dojrzałość męską, ale to nie jest styl macho.

EWA KASPRZYK O PARTNERZE MICHAŁE

Mówi o mnie kobieta elektrownia. I coś w tym jest. Ze mną może być czasem ciężko, ale nie nudno.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

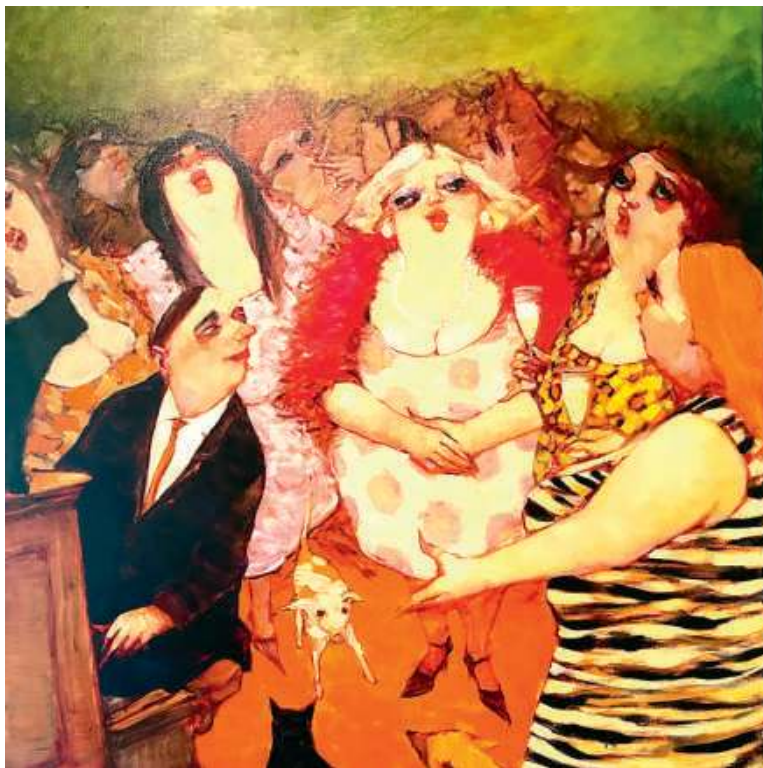
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Koncert



Dzień dziecka

Andrzej Umiasztowski

Urodzony w Sopocie w 1956 r. artysta ukończył malarstwo w 1984 r. w gdańskiej Akademii Sztuk Pięknych. W jego malarstwie istotną rolę odgrywają kolor i światło oraz postacie ludzkie przedstawiane w symboliczno-groteskowy sposób. Obrazy Andrzeja Umiasztowskiego były prezentowane na ponad 130 wystawach indywidualnych w Europie. Mieszka i tworzy na kaszubskiej wsi Koleczkowo.



Piwo



Wieczór

Wirydarz Galeria Sztuki
Lublin, ul. Grodzka 19
do 17 kwietnia

• TEATR CAPITOL •

PRZEBOWE KOMEDIE • GWIAZDORSKIE OBSADY • PRZEDSTAWIENIA DLA DZIECI

PRZYWOŁAJ WIOSNĘ ŚMIECHEM!



• KUP

BILET
TEATR CAPITOL

• www.teatrcapitol.pl •

Międzynarodowy Dzień Teatru

27 marca

Czy Ty To Ty?

KONGO *musical*



Premiera 10 marca 2023



BASEN ARTYSTYCZNY

Telefon Medium

Prezentowane na licencji G. Schöner Inc. i Associated Music Publishers właścicieli praw autorskich



Gian Carlo Menotti

Kierownictwo muzyczne: Kuba Wnuk
Reżyseria: Jakub Przebindowski
Scenografia: Witold Stefaniak
Kostiumy: Tomasz Ossoliński
Wizualizacja multimedialna: Hektor Werios
Przekład: Michał Wojnarowski

SPEKTAKLE 11, 17, 18 MARCA 2023

BASEN ARTYSTYCZNY WARSZAWSKIEJ OPERY KAMERALNEJ UL. M. KONOPNICKIEJ 6

25.04.2023